



*Jestem taka jak inne, to wiem na pewno.
Matki, żony i kochanki. Kobiety w połowie życia...*

MAGDALENA
WITKIEWICZ

Cześć,
co słychać?

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

MAGDALENA
WITKIEWICZ

Cześć,
co słychać?

FILIA

Ani Choińskiej – z wdzięcznością

PROLOG

Cześć, co słyhać? Dawno się nie widzieliśmy...

Czasem mijam przez przypadek kogoś, kto pachnie Tobą. Odwracam głowę, chcę chwycić za ramię, by zatrzymać chociaż ten zapach przy sobie. Niestety to nie Ty. Zamykam wtedy oczy i chociaż przez chwilę w moich myślach jesteś przy mnie.

Czasem zwykłe codzienne czynności przypominają mi Ciebie. Takie zupełnie niepozorne, takie na które wcześniej wcale nie zwracałam uwagi.

Dawno się nie widzieliśmy. Dawno jest pojęciem względnym. W naszym przypadku, gdy budziliśmy się przy sobie każdego ranka, a teraz nie widzimy się prawie wcale, mogę napisać, że bardzo dawno się nie widzieliśmy. Wieki.

Co u Ciebie słyhać?

Może znowu spróbujemy kroczyć tą samą ścieżką? Wyboistą, krętą, przeważnie pod górę, ale razem?

Kocham Cię.

Zuzanna

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

TO JUŻ DWADZIEŚCIA LAT

Nigdy nie spodziewałam się, że ten ostatni rok przed moimi czterdziestymi urodzinami przyniesie tak wiele zmian w moim życiu. Myślałam, że dalej przez moją codzienność będę podążać spokojnym, niespiesznym krokiem, tak jak zwykle. Byłam pewna, że dni będą upływały nudno, bez większych ekscesów. Zupełnie tak, jak do tej pory. Trochę chyba nawet tęskniłam za szaleństwami.

Jednak teraz wiele bym oddała za nudę codziennych małżeńskich poranków, za wieczorne wspólne rytuały, nawet za to, że gdy kogoś się dobrze zna, milczeniem można wyrazić wszystko, co chce się powiedzieć.

Przez ten rok nauczyłam się, że fajerwerki są piękne, ale z dala ode mnie. Mogę na nie patrzeć, gdy ktoś inny jest w centrum. Nie ja. Mogę oglądać je w telewizji i czytać o nich w książkach. Teraz wiem, że gdy są zbyt blisko mogą poparzyć i bardzo mocno przestraszyć.

Nie tylko ja byłam przerażona i zraniona fajerwerkami, które niczym nierozsądny nastolatek wyjęłam po kryjomu z głębokiej szuflady i nie zważając na nic i nikogo, od razu wszystkie podpaliłam, mając nadzieję na wielkie, fascynujące widowisko.

Wybuchły tuż obok mnie.

Blisko mnie i mojej rodziny. Przyniosły wiele złego. Mam nadzieję, że da się jeszcze powrócić do tego, co było kiedyś. I o tym właśnie jest ta historia.

Zanim te wszystkie zdarzenia miały miejsce, moje życie upływało zupełnie spokojnie. Skończyłam trzydzieści dziewięć lat i coraz częściej zastanawiałam się nad tym, co już udało mi się osiągnąć w życiu, a na czym poległam. Jakie marzenia zrealizowałam, a o jakich zupełnie zapomniałam. Niektórzy z moich znajomych zarabiali duże pieniądze, budowali wille z ogrodami, a mi się wydawało, że ja jeszcze mam na to czas. Czasem byłam zaskoczona, że ktoś, kto jest znanym aktorem, politykiem czy dziennikarzem jest w moim wieku albo nawet młodszy. Jak to udało mu się osiągnąć w tak krótkim czasie?

Zapominałam, że ten czas, który przeżyłam, wcale nie był taki krótki. Można było bardzo wiele osiągnąć, ale też można było wiele stracić. Małżeństwa, pieniądze, a nawet życie.

Czasem zastanawiałam się, jak się zmieniłam w stosunku do tej dwudziestolatki, która wkraczała pewnym krokiem w dorosłe życie i czy w ogóle się zmieniłam? Przecież byłam wciąż taka sama! Tylko mogłam więcej. I musiałam być bardziej odpowiedzialna. Ale też

miałam większe ograniczenia. Świat mnie ograniczał, sama się ograniczałam i ograniczała mnie świadomość konsekwencji moich czynów. Chociaż – jak się miało okazać później – nie do końca.

Byłam dorosła. A czasem czułam się jak małe dziecko. W dalszym ciągu miałam wątpliwości co do wielu spraw, tylko teraz często nie wypadało mi prosić o radę. Powinnam umieć rozwiązywać swoje problemy. To ja powinnam być autorytetem dla moich dzieci, a czasem wcale się tym autorytetem nie czułam. Czasem chciałabym być znowu małą dziewczynką, którą ktoś posadzi sobie na kolanach, przytuli, pogłaszcze i powie, by niczym się nie martwiła. Bo wszystko będzie dobrze.

W psychologii mówi się o zjawisku kryzysu połowy życia.

Jaki kryzys? Jaka połowa życia? Nigdy nie traktowałam tych stwierdzeń poważnie. Bo co za różnica, czy mamy lat czterdzieści, czy trzydzieści pięć?

Życie pokazało, że jednak coś w tym jest. W połowie życia ludzie są zdolni do najbardziej zaskakujących posunięć, czasem zupełnie niepasujących do ich osobowości. Przełamują rutynę, wyłamują się z do tej pory uznawanych przez siebie zasad i norm. Również tych moralnych.

Niektórzy psychologowie traktują alkoholizm, depresję, samobójstwa, ekscesy seksualne i rozwody właśnie jako objawy nieradzenia sobie z kryzysem połowy życia. Bo w tym czasie chyba jest tych zdarzeń najwięcej.

Podobno koło czterdziestki mężczyźni odkrywają kobiecą stronę osobowości, a kobiety męską. Moja męska strona była mroczna. I bardzo niemoralna, kochająca wszelakie ekscesy. Również te związane z seksem. Nie radziłam sobie z kryzysem połowy życia? Ależ uważałam, że sobie radzę doskonale! Chwilami byłam bardzo szczęśliwa. Oślepiąca i ogłuszona niebezpiecznymi fajerwerkami.

Historia miała swój początek w maju ubiegłego roku. Agnieszka, moja koleżanka z liceum, zamieściła post na Facebooku, w którym przypomniała, że właśnie mija dwadzieścia lat od naszej matury. Pewnie post pozostałby niezauważony pośród wielu innych pokazujących koty, psy i małe dzieci, ale Aga rzadko coś pisała i uznałam, że warto się tym zainteresować.

Dwadzieścia lat. Szmat czasu. Gdy miałam lat osiemnaście zupełnie sobie nie wyobrażałam mnie czterdziestoletniej. Myślałam, że czterdziestka to już niemalże starość! Zmarszczki, drugi podbródek, powolne szykowanie się do grobu.

Czy nasze dzieci i ich rówieśnicy tak mnie postrzegają teraz?

Nie czuję się stara. Jeszcze nie. Tak sobie myślę, że czuję się nawet lepiej sama ze sobą niż wtedy, gdy zdawałam maturę. Na pewno częściej się do siebie uśmiecham, bardziej akceptuję.

Nic nie muszę. Wszystko mogę. Czy to nie jest piękne? Gdybym chciała, mogłabym wyjść w środku nocy i na bosaka skakać po kałużach. Gdybym chciała.

Niestety coraz rzadziej mi się chce.

Mogę kupić koronkową bieliznę i kusić męża wieczorami. Mogę obejrzeć film zdecydowanie nie dla dzieci. Mogę – tak jak marzyłam jako dziecko – nie spać całą noc.

Dopiero teraz. Oczywiście dom, rodzina, dwoje małych dzieci wymusza mnóstwo obowiązków. Rozsądek stoi bacznie na straży zbyt oryginalnych zachcianek.

Jak się miało później okazać, czasem rozsądek przysypia i nie budzi się wcale, gdy najbardziej jest potrzebny.

Gdy się obudzi, czasem może być zbyt późno.

„To już dwadzieścia lat! A jak jeden dzień! Pamiętacie te chwile? Ostatnio trafiłam na zdjęcia ze studniówki – poznajecie te dzieciaki?” – napisała Agnieszka na Facebooku, dodając zeskanowane zdjęcie bardzo poważnych młodych ludzi tańczących poloneza. Ja, uśmiechnięta na pierwszym planie. Z Pawłem, moim ówczesnym chłopakiem. Potem kilka zdjęć młodych dziewczyn, które ten pierwszy raz chciały udawać dorosłą. Ja miałam włosy rozpuszczone, Paweł nie chciał żadnych koków. Mówił, że nie zniesie, gdy będę miała kalafior na głowie. Pozostałe dziewczyny właśnie takowy kalafior miały. Cóż. Moda się zmienia, a o gustach się nie dyskutuje.

Kliknęłam na profil Agnieszki.

Agnieszka, szczęśliwa mężatka, matka nastoletniego już syna. Na tych nielicznych zdjęciach, które pokazywała na Facebooku jawiła się idylla. Dom z ogrodem na przedmieściach Gdańska, przystojny mąż, syn w firmowych ciuchach robiący sobie selfie najnowszym modelem telefonu z nadgryzionym jabłkiem. Życie jak z familijnego serialu z happy endem. Przynajmniej to było widać na zdjęciach z Facebooka. Zapomniałam tylko, że i w tych idealnych serialach bohaterowie skrywają tajemnice. W szczególności szczęśliwe żony mieszkające na przedmieściach i gotowe na wszystko.

„To już dwadzieścia lat?” – odpisałam.

„To niemożliwe, byśmy były już takie stare! Ja dopiero zaczynam żyć” – napisała Monika, nasza koleżanka, którą prosto z matury zawieszono na porodówkę.

„Dwadzieścia lat, a u mnie nic się nie zmieniło” – dodała Iwona.

U mnie się zmieniło wszystko.

Gdy miałam osiemnaście lat, byłam szaleńczo zakochana w Pawle. Tym ze zdjęcia ze studniówki i tym, który nie chciał „kalafiora” na mojej głowie. Mówiłam na niego „Pablo”. W zasadzie chyba wszyscy tak mówili. Łącznie z nauczycielkami w szkole. Być może z racji jego hiszpańskiej urody. Na początku właśnie zakochałam się w tym błysku oka torreadora... Teraz to mi się wydaje śmieszne, ale wtedy kusiło. I nie tylko wtedy...

Pablo był wysoki, wtedy wydawało mi się, że potężnie zbudowany. Nieliczne zdjęcia, które zostały, pokazują mi zupełnie co innego. Chuchro! Miał brązowe oczy, które błyszczały, gdy się czymś interesował, lekko kręcone przydługie włosy, opadające mu często niesfornie na czoło. Spoglądał wtedy przez te włosy, najwyraźniej nic nie widząc, odgarniał je nerwowym ruchem. Kochałam ten gest. Do tej pory czasem, gdy zamykam oczy, widzę właśnie ten gest i jego spojrzenie, gdy zostałam przyłapana na wpatrywaniu się w niego. Powiększyłam sobie jego zdjęcie na monitorze. Bardzo dawno nie oglądałam zdjęć z tamtego okresu. Pablo wywoływał u mnie uśmiech, ale też lekkie kołatanie serca

w tęsknocie za tamtym beztroskim szaleństwem. Sentyment?

Moje codzienne życie zgubiło gdzieś beztroskę. Całkiem fajny mąż, ten sam od piętnastu lat, dwoje dzieci. Moje zajęcia ograniczały się do pracy, domu, zakupów i wożenia dzieci w tę i z powrotem. Gotowanie obiadu, lekcje, kolacja, buzi na dobranoc. Rutyna.

Codzienne obowiązki, kalendarz z Małym Księciem zapisany drobnym maczkiem. Na zielono sprawy związane z domem, na czerwono z pracą. Co poniedziałek angielski dzieci, co środę zajęcia plastyczne, a każdy czwartek, czasem sobota, basen. Tydzień w tydzień tak samo. Dni świra.

Sama łapałam się na tym, że jakakolwiek rzecz, która zmieniała precyzyjnie ustalony przeze mnie plan, wyprowadzała mnie z równowagi. Bardzo dużo czasu zajmował mi powrót na właściwe tory. Lubiłam ten mój świat. Lubiłam siebie w tym świecie. To chyba duże szczęście „lubić siebie”? Szczególnie w tych czasach.

Kochałam wieczory, gdy siadywałam w fotelu z kubkiem ciepłej herbaty w dłoni, a wszyscy domownicy już spali. Ceniłam ten domowy spokój. Nie od razu zaczęłam tęsknić za szaleństwem. Tę tęsknotę obudziła Iwona. Ale to już było nieco później.

Kilka dni po wspomnieniach Agnieszki zajrzałam na Facebooka po raz kolejny. Dziewczyny już się umawiały na spotkanie. Spotkanie po latach. Nikt nie uczestniczył poza nami w tej rozmowie, więc najprawdopodobniej spotkanie będzie babskie.

Bez Pabla.

Podświadomie łudziłam się jednak, że przyjdzie. Nie widziałam go już tak długo, a myśl o nim wciąż wywoływała lekkie kołatanie serca. Nie, nie kochałam go, ale wspomnienia, mimo iż niemalże całkowicie zamazane, przywoływały ogromną tęsknotę za tamtym nastoletnim uczuciem.

Oczywiście wydawało mi się, że pamiętam jego twarz, ale nie była już tak wyraźna. Dziwne... Bo czy można zapomnieć twarz, która kiedyś była nam tak bardzo bliska? Samo brzmienie słowa „Pablo” też wydawało mi się zupełnie obce. Paweł był niczym bohater z książki, którą dawno czytałam albo aktor w dawno oglądanym filmie. Pamiętałam uczucia, zapomniałam Pawła.

Czasem mi się śnił. W tych snach jego twarz była zamglona, niewyraźna. Ja po prostu czułam, że to on. Miałam kilku chłopaków tuż po tym, jak zerwaliśmy. Czasem spotykałam ich gdzieś przez przypadek, rzucałam się im na szyję z radosnym uśmiechem, wspominaliśmy miłe chwile, bez żadnej nostalgii. Z Pablem było inaczej.

Bolało.

Wspomnienie o nim wywoływało u mnie nostalgiczną tęsknotę. Chyba nie chciałam go zobaczyć. Bałabym się, że to spotkanie może poruszyć moje czułe struny. Kiedyś widziałam go z daleka. Nie zauważył mnie. A może nie chciał zauważyć?

Ale czy to nie było dziwne, że przez prawie piętnaście lat spotkałam go zaledwie dwa razy? Nie rozmawialiśmy wtedy ze sobą, wolałam patrzeć na niego z daleka. Chyba bałam się go spotkać. Czy to nie zaskakujące, że odkąd się rozstaliśmy, chodziliśmy zupełnie różnymi ścieżkami? Może celowo unikaliśmy miejsc, w których razem czuliśmy się bardzo dobrze?

Nie chciałam go spotkać, bo byłam szczęśliwa. Może brakowało mi trochę szaleństwa, ale myślałam sobie, że szaleństwo już za mną. Nie czułam się stateczną matroną, w żadnym wypadku, mimo że już nie proszono mnie o dowód, gdy kupowałam alkohol i wszyscy mówili do mnie „proszę pani”. Byłam szczęśliwa i czułam się bardzo bezpiecznie w moim świecie.

Wojtek, mój mąż, był najbardziej stabilną i pewną przystanią, jaką mogłam sobie wymarzyć. Zupełne przeciwieństwo Pawła. Wojtek to domator, nieustająco zakochany we mnie i w dzieciach.

Rzadko kłóciliśmy się, bo tak naprawdę poukładaliśmy sobie ten nasz świat w taki sposób, by wszystko pasowało do siebie w drobnych szczegółach. Ja decydowałam o wielu rzeczach – on się nie sprzeciwiał. Po tylu latach wciąż byliśmy świetnymi przyjaciółmi. Lojalnymi, mogącymi na siebie liczyć w każdej sytuacji. Może nie było już tego ognia namiętności, motyle w brzuchu też gdzieś poznikały, ale Wojtek był moją codziennością. Szczęśliwą codziennością. Pasującą częścią układanki składającej się na całe moje życie.

Czy gdybym wiedziała, jak to życie się zmieni odpisałam Agnieszce? A może zamknęłam Facebooka, klikając „wyloguj” czy nawet „usuń konto”.

Jeszcze jakiś czas temu odpowiedziałabym z uśmiechem – pewnie, że odpisałam! Niczego nie żałuję!

Teraz, w moje czterdzieste urodziny, gdy siedzę zupełnie sama z butelką wina w ręku, gdy nie mam siły ani ochoty celebrować moich przełomowych urodzin, myślę, że lepiej by było, gdyby do tego babskiego spotkania nigdy nie doszło. Gdybym tej informacji nie przeczytała, nie miała konta na Facebooku. Mówią, że jeżeli nie masz tam konta, nie istniejesz. Może lepiej abym wtedy, przez tę krótką chwilę, nie istniała? Nawet za cenę odnowionej przyjaźni z Agnieszką, Moniką i Iwoną. Chociaż może byłby inny pretekst do spotkania? Inna impreza, inny katalizator, który spowodowałby, że zrobię to, co zrobiłam?

Nie wiem. Często zastanawiamy się „co by było gdyby”, ale zapominamy o tym, iż nie mamy już wpływu na przeszłość. Zamiast skupić się na przyszłości zastanawiamy się, jak cofnąć czas, by w przeszłości wybrać inną życiową ścieżkę. Zupełnie bez sensu!

Dziś zastanawiam się nad przyszłością. Co czeka mnie w drugiej połowie mojego życia? Czy kolejne urodziny również będę spędzać samotnie z kieliszkiem w ręku?

Ten rok był dla nas wszystkich przełomowy. Dla mnie, dla mojej rodziny przede wszystkim, ale też dla moich przyjaciółek. Prawie czterdziestolatek. Ten rok każdą z nas czymś zaskoczył. Niektóre z nas bardzo pozytywnie, a niektóre wręcz przeciwnie.

Rok zmian.

Kryzys połowy życia? Nie wiem. Na pewno przełom.

Wydarzenia, które miały miejsce, pokazały mi, że jednak psychologowie mają rację co do tego szczególnego czasu. Miał nadejść czas zmian. Dla każdej z nas. Ale wtedy, gdy Agnieszka pisała na Fejsie o dwudziestoleciu matury, jeszcze o tym nie wiedziałyśmy.

ROZDZIAŁ 2

SKOK NA BUNGEE

Bardzo bałam się tego spotkania z dziewczynami. Nasze drogi dziwnym trafem się rozeszły, każda z nas poszła w inną stronę. Oczywiście obiecywałyśmy sobie częste spotkania, ale los chciał inaczej. Wybrałyśmy różne studia, miałyśmy inne zainteresowania. Potem zafascynowane dorosłym życiem uciekłyśmy każda w swój świat. Trochę szkoda, bo w liceum byłyśmy nierozłączne.

Mówi się, że przyjaźń nawiązuje się właśnie w liceum albo w dzieciństwie. Nasza przyjaźń chyba nie przetrwała. Oczywiście, składałyśmy sobie życzenia urodzinowe, bo Facebook zwykle nam o tym przypominał, lubiłyśmy wzajemnie swoje zdjęcia, posty, czasem dawałyśmy zdawkowe komentarze w stylu: „ładna kiecka”, „fajny pies”, „o matko, a twoja Julia już taka duża”.

To wszystko. Żadna z nas nie czuła zbyt dużej potrzeby, by to zmienić. A może to była wina zabieganego świata? Byłyśmy w tym samym wieku, łączyło nas wiele wspólnych wspomnień, miałyśmy wspólnych znajomych, jednak każda z nas żyła zupełnie inaczej. I mimo bliskich czterdziestych urodzin osiągnęła zupełnie inny etap swojego życia.

Przeglądałam wiele razy zdjęcia dziewczyn. Zdarzało się, że pół nocy klikałam jedno po drugim. Czasem zostawiałam komentarz, często nie pozostawiałam śladu po sobie. Kierowałam się tylko i wyłącznie klasyczną babską ciekawością. Bardzo mnie interesowało, jak zmieniły się moje przyjaciółki i jak im się wiedzie. Która ma zmarszczki i czy może utyłła więcej niż ja przez te wszystkie lata. Jasne, prościej było zadzwonić i zapytać. Ale czas biegł tak nieubłaganie, że nawet nie miałybyśmy się pewnie kiedy spotkać.

Najbardziej ekstrawertyczna była Iwona. Co chwilę coś wrzucała na Facebooka. Wiedziałam, co akurat jadła, co piła, jakie buty sobie kupiła i jaką opcję polityczną popiera, a jaką wręcz przeciwnie. Selfie z licznych knajp, zdjęcia z Kilimandżaro, kilkaset zdjęć z siłowni, w tym dwa umięśnionego brzucha – chyba swojego, lot parolotnią i skok na bungee. Iwona na tle bujnej podwodnej roślinności w stroju nurka, pokazująca, że wszystko jest okej. Mnóstwo kolorowych fotografii.

Czy faktycznie było u niej wszystko w porządku? Zdjęcia zawsze pokazywały uśmiechniętą dziewczynę w przeróżnych miejscach naszej Ziemi. Pewnie gdyby ją było stać na lot na księżyc, też by poleciała. Może wkrótce poleci?

Ja nie lubiłam ryzyka, nie lubiłam bungee. Kiedyś zastanawiałam się, ile musiałabym dostać pieniędzy za to, by w ogóle skoczyć. Stwierdziłam, że nawet za milion bym się na to nie zdecydowała.

– Ty chciałabyś jakąś kasę jeszcze za to dostać? Przecież za to się płaci! – Wojtek się zdziwił.

– No właśnie. W życiu bym nie zapłaciła. To mi musieliby płacić – stwierdziłam.

– Ale czego się boisz? – zapytał mnie mój mąż.

– Bo skakanie na bungee jest zupełnie takie bezsensowne – powiedziałam. – To kompletne igranie z losem. Ja w ogóle nie rozumiem po co.

– Przecież to jest bezpieczne. Tylu ludzi skacze – droczył się ze mną. – Cudnie podnosi adrenalinę.

– Adrenalinę ty mi podnosisz. – Roześmiałam się. – Wojtek. Zawsze istnieje ten jeden procent albo promil ryzyka, że się nie uda.

– Oddam ci jedną całą pensję, jak skoczysz. – Wyciągnął do mnie rękę.

– Chyba żartujesz. – Pokręciłam głową. – Never.

– Za mało? – zapytał zaskoczony.

– Tak. Za mało. Chyba nie ma takich pieniędzy, za które bym to zrobiła. Nie ma takich pieniędzy, bym zaczęła igrac z losem. – Wzruszyłam ramionami. – Ja lubię tę naszą kanapę, na której siedzimy wszyscy razem, kocham ten nasz koc, mimo że trochę podarty i naprawdę jestem szczęśliwa, że nikt nie musi podejmować żadnego ryzyka.

– Życie to też ryzyko.

– Ja nie ryzykuję. Wiesz, że wolę spokój i bezpieczeństwo.

Wiedział o tym. I taką mnie kochał. Naprawdę wtedy wydawało mi się, że wolę spokój i bezpieczeństwo.

Po tym zwariowanym roku, pełnym niepewnych sytuacji podnoszących adrenalinę, znowu tak myślę. I jestem stuprocentowo pewna, że nie ma takich pieniędzy, za które rzuciłabym się w przepaść na cienkiej linie, tak zupełnie bez sensu. Zawsze stąpałam pewnie po ziemi, wszystkie moje decyzje były dokładnie przemyślane. To ja w domu byłam od ważkich decyzji. I od tych mniej ważnych również. Ja decydowałam o tym, gdzie spędzamy urlop, kiedy robimy remont łazienki i na co idziemy do kina. Trochę nosiłam spodnie w tym związku, ale zupełnie mi to nie przeszkadzało. Wojtek też był zadowolony. Byliśmy szczęśliwi. Chociaż teraz widzę, że nad wszystkimi ustaleniami jednak czuwał i sprawował kontrolę. Był dla nas zawsze niesamowitym wsparciem.

Poznaliśmy się zaraz po tym, jak zaczęłam pracę w szkole. Tuż po studiach, zupełnie niedoświadczona, objęłam wychowawstwem klasę pierwszą „ce” w szkole podstawowej z basenem na Przymorzu. To było wyzwanie od pierwszych dni. Trochę musiałam poznać ten świat wyjątkowo cwanych, sympatycznych i inteligentnych małych ludzi, by umieć w nim funkcjonować. Poszło mi nawet szybko. Kochałam dzieci, a one kochały mnie.

Wojtka mijałam czasem na szkolnych korytarzach. Myślałam, że jest ojcem któregoś z moich uczniów, chociaż wydawał się zbyt młody na ojca, ale mając w pamięci Monikę, wiedziałam, że różnie się układają ludzkie losy.

Poznaliśmy się przez zupełny przypadek. A raczej trzy przypadki. Ja psułam ksero, a on je naprawiał. Zwykle kserowałam coś dla moich maluchów. Ksero w szkole było jedno, pilnowane przez panią w sekretariacie jak oko w głowie, a każda biała kartka była na

wagę złota i z każdej musiałam się rozliczać. Kserowanie szlaczków dla dzieci było postrzegane przez panią Irenkę jako zupełnie niepotrzebna fanaberia, ale nie przejmowałam się tym i robiłam to dalej. Kiedyś przyszedłam wcześniej rano. Pani Irenka z wyraźnym zadowoleniem w głosie oświadczyła mi, że nic z tego.

– Ale jak to nic z tego? – zapytałam zdenerwowana. Obiecałam dzieciom kolorowanki ze Shreckiem. Wtedy dopiero wszedł na ekrany kin i wszystkie dzieciaki, łącznie ze mną, całkiem niepoważną panią nauczycielką, były nim zafascynowane.

– Popsute. – Wzruszyła ramionami. – Coś jęknęło, zabłyszczało i zaśmierdziało. I po kserze. Do książek je pani zagoni, a nie kolorowanki jakieś – powiedziała wyraźnie oburzona. – Kto to pomyślał, by dzieci cały dzień rysowały?

– A mogę to gdzieś zgłosić? – zapytałam.

– Do konserwatora – odpowiedziała, odwracając głowę. Widać już skończyła ze mną rozmawiać.

No wiadomo. W naszej szkole cokolwiek nie działało, musiało być zgłoszone do konserwatora. I on najpierw określał zasadność zgłoszenia, a dopiero potem ewentualnie podejmował kroki w celu rozwiązania problemu. Tak też miało być i tym razem. Naburmuszona wyszłam z sekretariatu. Lekcje miały się zacząć dopiero za piętnaście minut, więc konserwatora z pewnością jeszcze nie było w szkole. W drzwiach minęłam uśmiechniętego wysokiego mężczyznę. Później się dowiedziałam, że to właśnie Wojtek. Nawet nie zatrzymałabym się, gdybym nie usłyszała uroczego (o matko, nie wiedziałam, że ona potrafi być urocza!) głosu pani Irenki.

– Wojtusi kochany, jak dobrze, że pan przyszedł. Kawki się pan ze mną napije? Mleko mam tym razem. Znowu sobie nie mogę poradzić z tym moim komputerem, ostatnio jak pan go naprawił była chwila spokoju, a teraz znowu coś.

– Nie trzeba tyle przesiadywać na niegrzecznych stronach, pani Irenko.

Irenka zachichotała.

(O Boże! Ta kobieta umie chichotać! I to rubasznie!)

– Ależ Wojtusi, no co pan. – Zarumieniła się, udając oburzenie.

– A ksero też umie pan naprawiać? – Weszłam z powrotem do sekretariatu. Od razu poczułam na sobie przenikliwy i zupełnie nieprzychylny wzrok pani Irenki. Gdyby spojrzenie mogło zabijać, leżałabym już martwa, a pani dyrektor musiałaby szukać szybko kogoś na zastępstwo.

Wojtek spojrzał na mnie zaskoczony. Potem śmiał się zawsze, że wtedy, gdy widział mnie po raz pierwszy, wyglądałam bardzo wojowniczo. Policzek miałam brudny od tonera – dwie równoległe kreski idące od ucha do ust malowały na mojej twarzy barwy wojenne. W rękę, niczym tarczę, trzymałam kolorowankę ze Shreckiem i Fioną w objęciach.

– Umie pan? – powtórzyłam, nie zważając na panią Irenkę, która już przestała być gwiazdą w tym przedstawieniu. – Czy nie?

– A co się stało? – zapytał Wojtek.

– Nie kseruje – oznajmiłam zgodnie z prawdą.

– No, jak ksero nie kseruje to kłopot. – Uśmiechnął się.

– No raczej – odburknęłam. Nie miałam ochoty wtedy na filozoficzne dysputy na temat wykorzystania ksera do innych niezbędnych do życia czynności. – Coś podobno błysnęło.
– Błysnęło – powtórzył badawczo.
– Jęknęło i zaśmierdziało – powiedziałam mechanicznie to, co usłyszałam od pani Irenki. W oczach mężczyzny zobaczyłam iskierki śmiechu.
– Z tego ksera to jakiś jęczący śmierdziel jest! I do tego błyszczący! – powiedział. Nie mogłam się nie roześmiać.
– Umie pan to naprawić czy nie? – Spojrzałam na zegarek. – Bo ja muszę iść do moich dzieci.
– Proszę mi to zostawić. Zobaczą, co się da zrobić. – Uśmiechnął się. – W jakiej sali pani będzie? Przyniosę pani te obrazki, jak się uda.
– W trzynaście. To ten rysunek z Fioną w objęciach Shrecka czternaście razy poproszę, a Shrek – ściszyłam głos ze względu na panią Irenkę – puszczający bąki, też czternaście. Wie pan, dla dziewczyn inne, dla chłopaków inne. – Wzruszyłam ramionami.
– Dla dziewczyn przytulanie, a dla chłopaków bąki? – zdziwił się.
– No cóż. Widać od dziecka taki podział... – Westchnęłam.
– Nie wpasowuję się – powiedział. – Ja bym wolał kolorować Fionę. I przytulać też bym się w sumie mógł.
Uśmiechnęłam się. Sama nie wiedziałam, co ja bym chciała pokolorować. Ale miał rację co do przytulania... W każdym razie piętnaście minut po rozpoczęciu lekcji, gdy dzieci zaczynały być już ewidentnie znudzone szlaczkami, zapukał ktoś do drzwi i przyniósł plik kartek.

Mężczyzna z sekretariatu.

– Udało się pokonać jęczącego śmierdziela – szepnął, nachylając się do mojego ucha. – Nie była to łatwa walka! – dodał.
– Dziękuję jeszcze raz. – Uśmiechnęłam się.
– Gorzej było udobruchać panią Irenkę. Ale dałem radę – oznajmił z dumą. – Tu moja wizytówka. Gdyby pani jeszcze raz miała kłopoty, proszę dzwonić.
„Wojciech Małachowski” – przeczytałam na wydrukowanej na zwykłej drukarce wizytówce. Poniżej adres i numer telefonu. Nic więcej. Nie było napisane „specjalista od naprawiania nienaprawialnego”.

Schowałam wizytówkę do kieszeni. Nie spodziewałam się w najbliższym czasie kolejnych starć z jęczącym śmierdzielem, jak to już zaczynałam nazywać kserokopiarkę, ale warto było mieć koło ratunkowe w postaci całkiem sympatycznego pana Wojtka. Pana? Był w moim wieku, pewnie gdybyśmy się spotkali na imprezie, mówilibyśmy na „ty”, ale tutaj w szkole wszyscy tacy oficjalni. Począwszy od pani sprzątaczkę aż do pani dyrektor. Wszyscy byli na pan–pani. Nie mówiąc o pani Irencie.

Kolejne spotkanie nastąpiło kilka dni później. Kserokopiarka tym razem zgrzytnęła i zamarła, wciągając kartkę do środka.

Tym razem ja jęknęłam.

– Niestety – powiedziała jak zwykle zadowolona z moich niepowodzeń pani Irenka.

– Pani Irenko. – Udałam, że nie widzę jej radości. – A może zadzwonimy po tego pana Wojtka? – Wyjęłam jego wizytówkę z kieszeni.

– On teraz na kolokwium czy jakimś egzaminie – odparła stanowczo. – Powiedział, że mam kciuki trzymać cały dzień.

– To może po egzaminie mógłby przyjechać? – zapytałam.

– Ja za dwie godziny wychodzę – powiedziała pani Irenka. – Mnie nie ma, to po co ma przyjeżdżać?

– Ale ja będę.

Pani Irenka spojrzała na mnie, jakbym powiedziała coś bardzo dziwnego. Przecież nie było możliwości, by Wojtuś przyjeżdżał wtedy, gdy jej nie było. Wzruszyła obrażona ramionami.

– Róbcie sobie, co chcecie.

Zanurzyła nos w papierach.

Wtedy wpisałam sobie numer Wojtka do swojego telefonu. Miałam moją ukochaną turkusową Nokię. Szczyt marzeń. Prezent od Mikołaja. Wtedy wydawała mi się cudem techniki i, co najważniejsze, mogłam ją wielokrotnie zrzucić na podłogę, a nawet pomoczyć i nic jej nie było. Nie to co teraz ze smartfonami...

„Panie Wojtku, znowu się popsuło” – napisałam do niego kilka godzin później.

„Śmierdziel błyszczący?” – dostałam odpowiedź.

Ja: „Dokładnie tak! Tym razem zgrzytał!”

Pan Wojtek Ksero: „Mogę być za 40 minut. Będę w pobliżu. Załatwimy Śmierdziela!”

Ja: „OK. Kończę za 50 minut lekcje.”

Przyjechał wtedy kilka minut przed dzwonkiem. Z przerażeniem spoglądał na krzyczące dzieci wybiegające z klasy.

– Powie mi pani, dlaczego one tak wrzeszczą? – zapytał wyraźnie zainteresowany.

– Odkąd tu pracuję, to się nad tym zastanawiam – przyznałam szczerze.

– I z jakim skutkiem?

– Z marnym. – Roześmiałam się.

– No tak. To zupełnie jak Hamlet.

– Jak Hamlet? – zdziwiłam się.

– Też miał pytania, na które nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

– Myśli pan, że gdyby ktoś mu zadał pytanie, dlaczego dzieci z klasy pierwszej wrzeszczą, nie znalazłby odpowiedzi?

– Zdecydowanie nie. Wolałby się dalej zastanawiać nad być albo nie być. – Uśmiechnął się. – Dobra, pacjent u siebie?

– U siebie. Pójdę po klucz, bo nie ma pani Irenki.

– Ojej. To kto mi kawę zrobi?

– Ja umiem robić kawę! – Udałam oburzenie.

– Naprawdę? Ja nigdy nie wiem, czy woda, którą nastawiłem była na jajka, czy na herbatę – powiedział poważnie. – Nie umiem ugotować nawet jajek – oświadczył.

Jakiś czas później miałam się przekonać, że po prostu żartował. Wojtek był świetnym

kucharzem. Gotował lepiej od mojej mamy. Oczywiście nigdy jej tego nie powiedziałam, bo by się na nas śmiertelnie obraziła, ale taki był fakt. Nie chodziliśmy w zasadzie do żadnych restauracji, bo oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że w domu wszystko jest smaczniejsze.

Wzięłam klucz z sekretariatu i otworzyłam drzwi. Włączyłam czajnik, a Wojtek zabrał się do pracy.

– Jak kolokwium? – zapytałam. Spojrzał na mnie wyraźnie zaskoczony. – Pani Irenka cały dzień kciuki trzymała. – Roześmiałam się.

– No tak. Na nią zawsze mogę liczyć.

– No to jak to kolokwium?

– A może porozmawiamy o pogodzie? – zaproponował.

– Pogoda bezpieczniejsza. – Znowu się roześmiałam.

– Bo ja bardzo lubię studiować. – Spojrzałam wyczekująco. – Studiuję już siódmy rok i wydaje mi się, że to jeszcze trochę potrwa.

Uśmiechnęłam się.

– A co pan studiuje?

– Informatykę. – odpowiedział. – Już w zasadzie koniec, kilka rzeczy mi zostało. Napisanie pracy i obrona.

– No to już!

– Nie mam czasu, bo śmierzdziele naprawiam – stwierdził i zaczął rozbierać kserokopiarkę.

– Czuję się winna... – powiedziałam cicho.

– Taki też był mój zamiar!

– Wzbudzić we mnie poczucie winy?

– Tak, bo wtedy będziesz... Będzie pani chciała jakoś mi to wynagrodzić.

– Zuzanna. – Wyciągnęłam rękę.

– Wojtek. – Uścisnął moją dłoń, spoglądając mi w oczy.

Poszperał trochę we wnętrzościach kserokopiarki, wyciągnął do połowy zjedzoną kartkę z Muminkami.

– Nie lubiłem Muminków.

– Ja też nie! – Spojrzałam zaskoczona. – Ale nie mogę tego głośno powiedzieć, bo wszyscy lubią Muminki. Podobno do Muminków trzeba dojrzeć.

– No, być może. – Przyznał mi rację.

– Widać jestem zupełnie niedojrzała – stwierdziłam.

– No aż tak zupełnie to chyba nie? Pełnoletnia chociaż?

– Jak najbardziej. – Uśmiechnęłam się. – Dziękuję za pomoc. Znowu.

– Nie ma problemu.

– A jak się z tobą rozliczyć?

– Zaproś mnie na kawę – zaproponował. – A na poważnie, szkoła mi płaci. Ryczałtowo. W zasadzie tylko z sentymentu tutaj przyjeżdżam, jakieś sto lat temu to ja się darłem tutaj na tym korytarzu. Zacząłem pracę już na cały etat i z innych zrezygnowałem.

Hm. „Na poważnie”. Czyli sugestia, że mamnie zaprosić na kawę była najwyraźniej żartem. No cóż. Szkoda. Coraz większą miałam wtedy ochotę, by wypić z nim tę kawę.

– To nie masz czasu na studiowanie.

– Nie mam – przyznał. – No, ale cóż. Jak zacząłem to skończę. Poza tym papier zawsze się przyda. Jedziesz teraz do domu? Podwieźć cię gdzieś?

Nie wiem, dlaczego założył, że nie mam samochodu. Miałam. Jeździłam starym oplem mojego taty, chociaż w tamtym momencie wolałabym nie mieć samochodu wcale. Miałam rację, że tata stał na straży mojej moralności i trzeźwości, dając mi samochód na czwartym roku studiów. Na imprezy jeździłam prawie zawsze autem, dlatego prawie nic nie piłam. Ale też imprezowałam niewiele. Gdy byłam z Pablem – więcej, bo był on królem parkietów. A ja – chcąc nie chcąc – królową. Ale chyba tylko ze względu na niego. Jednak wtedy, gdy Wojtek zaproponował mi podwiezienie do domu, wolałam o przeszłości z Pawłem jeszcze nie myśleć. Pablo był bardzo kłującym w serce wspomnieniem. Próbowałam go wymazać z pamięci wiele razy, ale się nie udawało.

– Niestety mam samochód – wymusnęło mi się.

– Niestety? – Zmrużył figlarnie oczy. Nie poczekał na odpowiedź, tylko założył kurtkę, schował w swój plecak narzędzia, rzucił zdawkowe „Do zobaczenia” i wyszedł.

– Do zobaczenia – mruknęłam. Z jednej strony, byłam zła, że tak szybko sobie poszedł, a z drugiej uśmiechałam się sama do siebie. Prawdę mówiąc, nie mogłam się doczekać, kiedy znowu popsuje się ksero.

Niestety następnego dnia pani Irenka przywitała mnie bardzo złą nowiną. Jeszcze miesiąc wcześniej ta wiadomość by mnie ucieszyła, ale teraz zupełnie nie.

– Będziemy mieli nowe ksero – oświadczyła, przekładając papiery.

Zmartwiłam się. Nowe ksero oznaczało, że Wojtek nie będzie już przychodził. Wtedy nawet nie wpadłam na pomysł, by po prostu do niego zadzwonić i się umówić. Gdybym miała taką wiedzę na temat życia, jaką mam teraz i przeniosła się na chwilę do tamtego czasu, od razu bym wiedziała, co robić.

Wtedy trochę miotałam się niczym ćma lecąca do światła. Bałam się, że jak zbliżę się zbyt blisko, to zostanę zraniona. Teraz sobie myślę, że co miałam do stracenia? Przecież Wojtka wtedy widziałam zaledwie kilka razy. Ale przyjemna była taka niepewność. Kocha? Nie kocha?

Gdybym była na łące pełnej stokrotek, pewnie bym sprawdziła.

Jasne, że nie kocha. Po tych kilku spotkaniach? A może jest coś takiego, jak miłość od pierwszego wejrzenia? Chyba jest. W filmach, w książkach. Ale czy w życiu?

Nowe ksero mieli przywieźć dopiero za miesiąc. Do tego czasu musiałam zrobić coś, by Wojtek przyszedł znowu. Zupełnie nieoczekiwanie uzyskałam sprzymierzeńca w postaci pani Irenki.

Kilka dni później znowu stałam przy kserze i zastanawiałam się, w jaki sposób mogę je popsuć. Zdaję sobie sprawę, że to dziecinne i zupełnie nierozsądne, ale cóż. Widać byłam dziecinna i bardzo nierozsądna.

Niestety, jak na złość, kserokopiarka funkcjonowała nad wyraz dobrze. W momencie,

gdy próbowałam wcisnąć strzępki kartek do środka, by zablokować mechanizm, do sekretariatu weszła pani Irenka.

Spojrzała na mnie, miała spojrzenie jak kot moich rodziców – nic niemówiące, a raczej wyrażające pełne politowanie.

– Spinaczem trzeba – powiedziała, podreptała do biurka i podała mi pudełko spinaczy.

– Spinaczem?

– Tak. Zszywka też daje radę.

– Ale... – Zupełnie nie wiedziałam, o co jej chodzi. Co ja mam robić tym spinaczem?

– Jak do środka się dostanie spinacz, to się zatnie – powiedziała bez żadnej mimiki na twarzy.

– Ale...

– I będziesz mogła po niego zadzwonić. – Spojrzałam na nią wnikliwie. – Nie powiem nikomu. Cóż... Kiedyś byłam młoda. Byłam młoda i też robiłam dziwne rzeczy. – Po raz pierwszy w życiu zobaczyłam niewyraźny grymas na twarzy pani sekretarki. Najwyraźniej musiał być to uśmiech. – Pokiwałam głową ze zrozumieniem, chociaż rozumiałam coraz mniej. – Źle to robisz. – Podeszła do ksera i wsunęła spinacz w mały otwór. Położyła u góry rysunek, który trzymałam w ręku i wcisnęła przycisk. Zgodnie z oczekiwaniami zazgrzytało, wciągnęło kartkę i tyle.

– O! – krzyknęłam.

– O! – powtórzyła pani Irenka z zadowoleniem. – Teraz do niego dzwoń. Albo pisz. Jak to wy te esemesy piszecie.

– Pani Irenko...

– Mhm? – Spojrzała, stukając dwoma palcami w klawiaturę.

– Dzięki! – powiedziałam i spontanicznie pocałowałam ją w policzek.

Przez chwilę, bardzo krótką chwilę miałam wrażenie, że moja reakcja nawet sprawiła jej przyjemność. Jednak szybko wytarła dłonią policzek i bez słowa zabrała się dalej do pracy. A ja, jak na skrzydłach, pobiegłam do mojej klasy. W czasie przerwy napisałam esemesa do Wojtka.

Ja: „Znowu się popsulo... Czy może miałbyś czas około 14?”

Po chwili usłyszałam dźwięk przychodzącej wiadomości.

Pan Wojtek Ksero: „No jak nie może być kawa, to chociaż ksero naprawię. Będę”.

Ja: „Kawa też będzie. Irenka już czeka”.

Pan Wojtek Ksero: „A ty?”

Ja: „Czekam”.

Ja: „Bo nie mogę dzieciom nic skserować” – dodałam po chwili.

Pan Wojtek Ksero: „Szkoda, że tylko dlatego. Do zobaczenia o 14”.

Uśmiechnęłam się. Nie tylko dlatego.

Gdy po lekcjach schodziłam do sekretariatu, minęłam panią Irenkę.

– Uczesz się – poradziła. – Rozczochrana jesteś. Grzebień masz?

– Mam. – Próbowałam się nie roześmiać.

– To dobrze. Ja wychodzę dziś wcześniej. No. – Po chwili dodała: – Jakby nie mógł

naprawić, niech przyjdzie jeszcze raz. Potem się nad nim zlitujemy i powiemy o spinaczu.
– Zachichotała.

Wojtek przyszedł punktualnie. Do dzisiaj jest punktualny. Słowny, zorganizowany i punktualny. Mimo tego, że studiował dziesięć lat... Tam punktualność go nie obowiązywała.

Ksero naprawił. Wyjął spinacz i spojrzał na mnie podejrzliwie. Udałam, że nie wiem, o co chodzi. Uśmiechnął się kątem ust, figlarnie przymrużył oczy.

– To co z tą kawą? – Obracał spinacz w rękę.

– Jutro? – zapytałam.

– Jutro. Gdzie? – Popatrzył wyczekująco. – Może przyjadę po ciebie? – dodał.

– Jasne. – Wyjęłam kartkę z ksero i napisałam mu swój adres. Mieszkałam wtedy jeszcze z rodzicami. Z nauczycielskiej pensji ciężko byłoby mi coś samej wynająć.

– Jutro o siedemnastej? – zaproponowałam.

– Nie za późno na kawę? – zapytał Wojtek. Marszczył czoło. – Dobra, coś wymyślimy.

Do zobaczenia.

– Pa!

Najwyraźniej na świecie umówiłam się na randkę. Miałam wrażenie, że na randce nie byłam już sto lat. Teraz sobie myślę, że mając lat dwadzieścia kilka, częściej czułam się stara niż teraz. Częściej wydawało mi się, że nie wypada czegoś robić, że pewne rzeczy są tylko dla młodzieży. Teraz chce mi się z tego śmiać. To, ile mamy lat, zależy tak naprawdę tylko od nas. Oczywiście może kondycja fizyczna, może zdrowie stoją na trochę niższym poziomie niż wcześniej, ale to też tylko od nas zależy.

Gdy mamy czterdzieści lat, często zaczynamy sobie zdawać sprawę, że w większości przypadków jesteśmy kowalami swojego losu. To, jak postępujemy, co robimy w każdej minucie naszego życia jest istotne. Wtedy wydawało mi się, że dosłownie wszystko jest dziełem przypadku. Nie potrafiłam pokierować swoim życiem tak, by iść we właściwą stronę. Na szczęście na mojej ścieżce stanął Wojtek. Do tej pory mam przed oczami Wojtka sprzed piętnastu lat. Potargany blondyn z przenikliwie niebieskimi oczami, ubrany w ciemne, sprane dżinsy, kremową bluzę z pacyfką i czarne przybrudzone niezniszczalne martensy. Te martensy do dziś stoją w naszej szafie. W mojej szafie. Nie pozwala mi ich wyrzucić.

Nasza pierwsza randka skończyła się u niego w domu. Mieszkał sam w dwupokojowym mieszkaniu po dziadkach w Oliwie. Nie, wtedy byliśmy grzeczni. Ugotował kolację. Chińszczyzna.

– Mówiłeś, że jajek nie umiesz ugotować! – Zdziwiłam się.

– Jajek nie umiem – przyznał. – Nigdy nie wiem, ile powinny się gotować, by były twarde, średnie, miękkie.

– Ja zawsze gotuję jajka na „jak wyjdą”. – Roześmiałam się.

– I to jest słuszna koncepcja – stwierdził. – Lepiej mi wychodzi chińszczyzna. – Wyjął z szuflady drewniane pałeczki.

– Nigdy nie próbowałam. – Pokręciłam głową.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz. – Złapałam pałeczki w dłoń. Zupełnie nie wiedziałam, jak to robić. – Zobacz. Łapiesz tutaj. – Dotknął mojej dłoni i ułożył palce na drewniakach, które wydawały mi się zupełnie nieprzydatne.

– A w razie czego dasz mi widelec? – poprosiłam.

– Nie ma. Dzisiaj jest wieczór azjatycki w tym lokalu. Jak będzie wieczór europejski, droga pani, do dyspozycji będą widelce.

– Brutal!

– A tam, zaraz „brutal”. Po prostu stanowczy i konsekwentny mężczyzna. Osiągający zawsze to, na co ma ochotę – powiedział zadziornie.

– A teraz na co masz ochotę? – zapytałam prowokująco.

– Na chińszczyznę! – odpowiedział z uśmiechem. – Jedzoną pałeczkami.

– A ja widelcem – jęknęłam.

– Widać jesteś mniej konsekwentna niż ja.

– Mniej? Też zawsze mam to, czego chcę.

– A czego teraz chcesz? – Uśmiechnął się.

– Widelca!

– Nie ma. – Pokręcił głową – Na „w” możesz dostać wino.

– Niech będzie – zgodziłam się niechętnie.

Nalał do kieliszków śliwkowe wino.

– Zdradzę ci sekret – powiedział. – W niektórych restauracjach mają takie specjalne pałeczki dla dzieci. Na gumkę. Jak pójdziemy następnym razem, to weźmiemy.

– Łaskawca – prychnęłam.

– No dobra. Przyniosę ci ten widelec. – Poszedł do kuchni i wyjął z szuflady sztucce. – Proszę. – Wyciągnął przed siebie i gdy tylko sięgnęłam po niego, natychmiast schował rękę za plecy.

– Nie dasz mi go? – Udałam zmartwioną.

– Dam. – Przybliżył się do mnie. Nie odsunęłam się. – Za chwilę dam.

Położył sztucce na stół. Chciałam się schylić, by je wziąć, ale był szybszy. Przytrzymał moje ramiona. Musnął dłonią po policzku. Wziął moją dłoń w swoją i pocałował.

Nie odsunęłam się. Chciałam tego. Potem nachylił się, by musnąć ustami moją szyję, policzek, aż w końcu nasze usta się połączyły. Chińszczyzna stygła, ale to nie było ważne.

– Mówiłem, że zawsze mam to, czego chcę – powiedział, całując przeguby moich dłoni.

– Chciałeś, bym jadła pałeczkami. – Uśmiechnęłam się. – Będę jadła widelcem.

– To był bluff. Chodziło mi zupełnie o coś innego. – Położył palec na moich ustach. – Teraz jemy. Gotowałem z myślą o tobie.

– Przez żołądek do serca?

– Mam taką nadzieję.

– To się okaże. – Uśmiechnęłam się. – Jak zjem.

Trafił do mojego serca nie tylko gotowaniem. Może nie była to miłość tak szaleńcza, jak

w przypadku Pabla. Na pewno była mniej dziecinna, a bardziej dojrzała.

I była niezwykła. Niezwykła i niepowtarzalna. Szkoda, że człowiek dowiaduje się o pewnych sprawach dopiero po czasie. Szkoda, że do pewnych wniosków dochodzi dopiero, gdy nabierze doświadczenia, jak przeżyje trochę życia i zobaczy, czym jest samotność.

Samotność była z pewnością spędzaniem czterdziestych urodzin przy winie pitym prosto z butelki i muzyce z YouTube.

ROZDZIAŁ 3

RYSA NA SZKLE

Ślub wzięliśmy kilka miesięcy później. Oczywiście wszyscy nam odradzali, bo za szybko, bo pospiesznie. Wiele osób gratulowało potomka.

Nie było żadnego potomka, po prostu chcieliśmy być ze sobą. W dzień i w nocy. Nie planowaliśmy wspólnego zamieszkania przed ślubem. Nie byliśmy oboje zbyt religijni, bardziej zrobiliśmy to dla zasady. Byłam pewna, że jak się kogoś kocha, to i przed ślubem będzie cudnie, i po ślubie również. Czy teraz chciałabym, by moje córki zamieszkały ze swoim chłopakiem przed ślubem? Tak. Zdecydowanie tak. Zupełnie inaczej wygląda codzienne życie razem, a zupełnie inaczej spotkanie się wtedy, gdy się ma na to ochotę. Złe humory, dąsy, nieporozumienia są na porządku dziennym.

Fajnie, gdy się ma dwa pokoje. W kawalerce, gdy w zasadzie jedyne drzwi, którymi można trzasnąć i sobie pójść, prowadzą do łazienki, jest dużo trudniej. My przetrwaliśmy. Przetrwaliśmy te piętnaście lat i byliśmy naprawdę dobrym małżeństwem. Rzadko trzaskaliśmy drzwiami, mimo iż gdy się dzieci urodziły, zmieniliśmy mieszkanie na dużo większe i naprawdę było czym trzaskać. Na szczęście często tego nie robiliśmy. Staraliśmy się rozwiązywać nasze konflikty, jeszcze zanim położyliśmy się do wspólnego łóżka. Idealnie? No prawie. Ale na pewno nudno, przewidywalnie i mdło.

Jednak w życiu najbardziej pożądane jest to, czego nie lubimy w dobrym kinie. Przewidywalna spokojna fabuła, która powoli prowadzi nas do przodu, bez zwrotów akcji i bez przerażających momentów jest często tak naprawdę naszą wymarzoną życiową drogą. Przekonujemy się jednak o tym dopiero wtedy, gdy dramatyczny zwrot akcji właśnie nastąpił. I to nie ten w filmie sensacyjnym, a w naszym życiu. Wtedy pozostaje nam wierzyć, że trafiła nam się klasyczna komedia romantyczna, z happy endem. Jak wiemy – różnie z tym bywa.

W pierwszą ciążę zaszłam planowanie. Kwas foliowy, tran i witaminy pół roku przed, dla pewności pomiary temperatury, by wykluczyć jakiegokolwiek nieprawidłowości. I już. Za pierwszym razem się udało. Tyle wokół się słyszało o niepowodzeniach. Tylu naszych znajomych nie mogło mieć dzieci, a my? Mieliśmy niesamowite szczęście. Jak w zegarku. Ciąża przebiegała poprawnie, chociaż mój lekarz stwierdził, że skoro pracuję w szkole, to nie powinnam się przemęczać. Pracowałam do końca pierwszego trymestru, potem już były wakacje, a po wakacjach poszłam na zwolnienie.

Iga urodziła się w sylwestrowy wieczór zdrowa i najpiękniejsza na świecie. Oczywiście, jak teraz oglądam zdjęcia, zastanawiam się obiektywnie nad jej pomarszczoną pięknnością od razu po porodzie, ale wtedy byłam przeświadczona, że na świecie pojawił się kolejny

cud natury.

Miałam już wracać do pracy, gdy okazało się, że znowu jestem w ciąży. Trochę nie spodziewaliśmy się tego. Ja chciałam odpocząć od pieluch, a Wojtek chyba w ogóle nie zastanawiał się nad drugim dzieckiem. On brał życie takim, jakie jest. Dlatego też stan rzeczy zaakceptował, a w miarę mojego rosnącego brzucha nawet zaczynał się cieszyć.

Życie jawiło mi się wtedy jako pasmo nieustających wyzwań. Jakby ktoś u góry pokazywał mi, że do tej pory sobie życie przeżyłam jak chciałam, a teraz będą niespodzianki. Och, patrząc z perspektywy czasu, jakże przyjemne były te niespodzianki. I wbrew nazwie nie były takie niespodziewane.

Pola urodziła się w sierpniu. Wczesne macierzyństwo latem było dużo przyjemniejsze niż w styczniu, gdy niemowlak prawie nie wystawał spod warstw ubrań, a nim go ubrałam, już sama byłam mokra i spocona.

Latem tamtego roku całe dni spędzałyśmy na dworze. Spacerowałyśmy we trójkę nad morzem, bawiłyśmy się w piasku. Byłam zmęczona macierzyństwem, ale jakże szczęśliwa! Wojtek pomagał mi, jak tylko potrafił. Czego można było chcieć więcej? Wtedy nie chciałam niczego.

Zachciało mi się kilka lat później. Chyba po spotkaniu z dziewczynami. Tym z okazji dwudziestolecia naszej matury, mimo iż dopiero udało nam się spotkać po wakacjach. Bo Agnieszka oglądała fiordy w Norwegii, Iwona wdrapywała się na Kilimandżaro, a Monika wylegiwała się na plaży gdzieś w egzotycznych krajach.

Trzeba zacząć od tego, że wcale nie miałam ochoty iść na to spotkanie.

– Wiesz, ale ja naprawdę nie wiem, o czym będę z nimi rozmawiać – mówiłam Wojtkowi, przymierzając sukienkę. – Od czasu matury utylam szesnaście kilo! – Patrzyłam w lustro przerażona. – A nawet chyba sześćdziesiąt...

– Myślisz, że to istotne? – Wojtek się dziwił. – Czy ty idziesz spotykać się z ich dodatkowymi kilogramami czy z nimi?

– One nie mają dodatkowych kilogramów. – Pokręciłam głową.

– Skąd wiesz?

– Widziałam na Fejsie.

– A czy ty na Fejsie pokazujesz swoje dodatkowe kilogramy? – zapytał, śmiejąc się. – I uwypuklasz zmarszczki?

Gdyby spojrzenie mogło zabijać, poległby na miejscu.

– Nie mam zmarszczek!

– No jasne, że nie masz.

Spojrzałam w lustro.

– One też chyba nie mają. Ale pewnie mają botoks. Albo kwas hialuronowy.

– I sztuczne cycki – dodał.

– Myślisz? – zastanowiłam się, wyciągając komórkę i przeglądając zdjęcia na profilach moich koleżanek. – No, ale która?

– Zuza, żartuję! Nie mam pojęcia, która z nich ma sztuczne cycki, bo nawet nic o nich nie wiem. Poza tym, co mi opowiadałaś, a ja pewnie na dodatek nie słuchałem.

– No super.

– Chyba jesteś zadowolona, że mnie inne baby nie obchodzą?

Spojrzałam na niego, nadąsana.

– No może...

– Chodź do mnie – powiedział. – Może jeszcze zdążymy się trochę przytulić?

– Jeżeli masz na myśli seks, to na pewno nie – odmówiłam kategorycznie.

– Bo? – zapytał. – Dziewczyny przecież już śpią?

– Bo mam majtki i rajstopy – powiedziałam, jakby to, że mam założone majtki i rajstopy

było jednoznacznym argumentem za tym, by nie uprawiać seksu z własnym, od piętnastu lat tym samym mężem.

Wojtek miał zdziwioną minę.

– Nie rozumiem.

– Kupiłam sobie wyszczuplające gacie. – Wzruszyłam ramionami. – Beżowe. Takie, jak obiecałam sobie w wieku lat dwudziestu, że nigdy nie będę nosić, bo są babcine.

– Myślisz, że mnie babcine majtki odstraszą? – Wojtek nadal nic nie rozumiał.

Pokręciłam głową.

– Nie. Ledwo je wcisnęłam – przyznałam ze wstydem. – I na to ledwo wcisnęłam takie specjalne obciskające rajstopy. Naprawdę nie każ mi ich zdejmować.

Wojtek już teraz był rozbawiony.

– Dżizus. To na spotkanie z dziewczynami trzeba się tak stroić? To nie wystarczy się umyć i machnąć dezodorantem pod pachami? – Pokręciłam głową. – Jak dobrze, że ja na męskie spotkania nie muszę zakładać obciskających gaci. – Podniósł oczy do sufitu. –

Dziękuję, że nie jestem czterdziestoletnią kobietą!

– Jaką czterdziestoletnią! Jeszcze nie! – ofuknęłam go.

– Przepraszam. Trzydziestodzieciolatnią. – Chciał mnie uszczypnąć w pośladki, ale jego palce zsunęły się po opiętej majtkami i rajstopami pupie.

Wzruszyłam ramionami. Skończyłam się ubierać.

– Jest ok? – zapytałam.

– Super – powiedział.

– Super? Przecież nawet nie patrzysz?

– Nie patrzę, ale zawsze jest super. Od ponad piętnastu lat. Gdyby coś się zmieniło, to bym ci powiedział.

Uderzyłam go lekko torebką.

– Tylko nie pij za dużo – przestrzegł.

– Przecież jadę samochodem. – odparłam. – Wcale nie będę piła.

– Kochana, herbatki nie pij, soczków nie pij...

– Bo?

– Bo siku ci cię będzie chciało, a przecież gaci nie możesz zdjąć! – Roześmiał się.

– Wojtek! – Zamachnęłam się torebką jeszcze raz, ale się odsunął. Trafiła w ramkę z naszym ślubnym zdjęciem. Niestety szkło, zza którego oboje się uśmiechaliśmy, pękło na pół. – Kurcze! – krzyknęłam.

– Nie przejmuj się. To tylko szkło. Naprawi się.

Faktycznie. Było to tylko szkło. Ale ta rysa na szkle była już zawsze dla mnie symbolem czegoś, co przez drobną nieuwagę, nieuważny gest zupełnie się potłukło. Mam na myśli nasze małżeństwo.

Spotkałyśmy się w Cafe Ferber w Gdańsku. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam wieczorem w jakiejś knajpie. Raz do roku z Wojtkiem chodziliśmy na sushi. Dzieci wtedy szły do babci, jednej lub drugiej, a my mieliśmy czas dla siebie. Kino, sushi i noc, kiedy mogliśmy spać nago, bo mieliśmy pewność, że nikt nie wejdzie do naszej sypialni, by się w środku nocy do nas przytulić. Potem już nawet nago nie spaliśmy, chyba człowiek nawet od tego się odzwyczaja. Nie znałam najnowszych knajp, nie wiedziałam, gdzie się chadza potańczyć. W ogóle wydawało mi się, że ludzie w moim wieku siedzą w domu z dziećmi i nigdzie nie wychodzą. Myliłam się! Idąc na Długą, widziałam pełno ludzi w bardzo różnym wieku. Miałam ochotę krzyknąć i zapytać:

– Hej! A z kim zostawiliście wasze dzieci?

Oczywiście zaraz potem pomyślałam, że oni nie mają dzieci i natychmiast poczułam wyrzut sumienia, że ja tu sobie spaceruję po Długiej w przyciasnych majtkach i rajstopach, które z tychże majtek zsunęły mi się już do pół uda, a one tam biedne same w domu, pozostawione na pastwę ojca.

Przed wejściem do kawiarni zadzwoniłam jeszcze do Wojtka.

– Wszystko okej?

– Jasne – przytaknął.

– Dziewczynki śpią?

– Śpią.

– No dobra. To ja idę.

– Baw się dobrze! I nie pij zbyt dużo!

Uśmiechnęłam się, ale zaraz przypomniałam sobie o zbitej szybie w ramce z naszym zdjęciem. Natychmiast popsuł mi się humor. Miałam ochotę zawrócić do domu, do Wojtka i dzieci, gdy nagle ktoś mnie objął od tyłu.

– Cześć kochana!

– Agnieszka? – Odwróciłam się i zobaczyłam tuż za mną śmiejące się oczy.

– Agnieszka! – potwierdziła.

– O matko! Jak ja cię dawno nie widziałam!

– Dziesięć lat? – zapytała i zamyśliła się na chwilę. – Nie. Piętnaście. Ostatni raz chyba na twoim ślubie. Nie byliśmy na weselu...

– Pamiętam! Rodziłaś!

– No nie tak od razu, ale dwa dni później.

– O matko, to ile on już ma lat? Konrad?

– Kordian.

– No tak. Polonistka musi mieć Kordiana.

– Fascynacja. Pamiętasz. – Uśmiechnęła się.

– Pamiętam. I nieustająco się dziwię. – Roześmiałam się. – Wiesz, że bardziej mi już twój mąż pasuje.

– No tak, Tristan.

– Mam nadzieję, że szczęśliwsza niż Izolda?

– Wiesz, jak w życiu. Różnie bywa. Ale jest okej – ucięła krótko.

– To najważniejsze. Chodź do środka.

Agnieszka zupełnie nie postarzała się przez te wszystkie lata. Z pewnością schudła. Zawsze była raczej korpulentna, a teraz? Chyba szczuplejsza ode mnie. Z długowłosej blondynki zrobiła się krótkowłosą szatynką. Ja chyba nie odważyłabym się na tak radykalne zmiany. Moje włosy wreszcie osiągnęły długość taką, o jakiej w liceum mogłam tylko marzyć. Sięgały za ramiona. Nie wyobrażałam sobie, by je obciąć na krótko. Zresztą moja fryzjerka powiedziała, że jak kobieta obcina włosy na krótko, to mąż ją zdradza. Nie wierzę w przesady, ale na wszelki wypadek... Chociaż Wojtek był ostatnią osobą, którą podejrzewałabym o niewierność. Jednak włosy miałam długie, aż do łopatek.

Agnieszka zobaczyła, że się jej przyglądam.

– Wygodniej mi tak. Rano szybko głowę umyję i do pracy. – Uśmiechnęła się. – Spać lubię dłużej.

Ja też lubiłam spać. Dlatego może zbyt często związywałam moje włosy w niedbały kok na czubku głowy, by nie widać było, że są nieulożone. Może zbyt często? Chociaż moja fryzjerka o korelacji koka i zdrady nic nie wspominała.

Agnieszka uśmiechnęła się. Z nią najdłużej się trzymałam, studiowałyśmy razem filologię polską. Obie byłyśmy zafascynowane literaturą, pełne marzeń i planów.

Agnieszka na piątym roku wyszła za mąż i zaraz szybko urodziła dziecko, dając mu na imię Kordian. Pamiętam, jaka była wściekła, gdy po roku, zaglądając w akt urodzenia, zauważyła, że jej syn tak naprawdę nazywa się Michał Kordian, a nie – Kordian Michał. Jej biedny mąż, którego teściowa polonistka nazwała Tristanem nie chciał tego samego robić dziecku. Aga nie odzywała się do męża dwa tygodnie, a na syna konsekwentnie mówiła Kordian. Muszę zapytać, jak nazywa go jej mąż.

Nasze drogi potem szybko się rozeszły. Ja byłam młodą mężatką, bez dzieci, mogłam wychodzić wieczorami i robić wszystko, o czym zamarzę, a ona tkwiła w pieluchach, co było mi w tamtym czasie zupełnie obce.

Słyszałam, że szukała pracy, nawet odzywała się do mnie w tej sprawie. Potem się dowiedziałam, że robi doktorat na uniwersytecie. Teraz chyba już pracowała nad habilitacją. Ja kilka lat uczyłam w szkole, a potem zaczęłam pisać scenariusze do szkoleń i lekcji online. Praca mniej stresująca, bo do pracy z dziećmi naprawdę nie każdy się nadaje. Ja się nie nadawałam.

O życiu prywatnym Agnieszki wiedziałam tylko to, co udało mi się podejrzeć na Facebooku. Zdjęcia wyszukanych potraw kulinarnych i kilka selfies z wakacji. Przynajmniej w ciepłych krajach. Aż zazdrość zżerała, gdy tak siedziałam pod kocem w styczniowe wieczory, a ona pokazywała na Endomondo swoją trasę, którą przebyła

z kijami wzdłuż morza na Zanzibarze, albo dziwną kreskę podpisaną „sailing” gdzieś w okolicach Sycylii. Pięknie i kolorowo. Muszę powiedzieć mojej fryzjerce, że nie miała racji z tymi krótkimi włosami. Że jak masz być szczęśliwa – to nawet gdy się obetniesz na łyso – będziesz.

Gdy weszliśmy do kawiarni, kelner nas pokierował do stolika, przy którym siedziała już Monika. Najwyraźniej była to Monika, chociaż gdy ostatni raz ją widziałyśmy wyglądała dużo gorzej niż teraz.

– Monia! – Po kolei przytuliliśmy się. Monika ubrana w kombinezon z luźnej dresowej dzianiny na pewno mogła się pochwalić nienaganną figurą.

– Jak ty cudownie wyglądasz!

– Prawda? – Roześmiała się. – Tym bardziej, że ostatnio, jak się widziałyśmy, leżałam przerażona w łóżku z noworodkiem.

– O Boże, z noworodkiem! To ile ona ma już lat?

– No dwadzieścia!

– O matko! Ty mogłabyś być babcią! – wymsknęło mi się.

– Jakby zaczynała tak szybko, jak ja zaczynałam, to zapewne tak. – Roześmiała się Monika. – Chociaż zadbaliśmy z Krzyśkiem o jej edukację seksualną i nie spieszy się.

– O matko. Ale się dzieje. – Pokręciłam głową. – A ślub z Krzyśkiem wzięliście w końcu?

– Nie. – Wzruszyła ramionami. – Najpierw obie teściowe nas obsiadły i zaczęły nam wmawiać, że młodzi jesteśmy i z młodymi to różnie bywa. Najpierw zakochani, potem odkochani. I skutecznie nam ten ślub obrzydziły. Potem Julka była mała i nie było nam po drodze, potem rozliczałam się jako samotna matka, więc było lepiej, a teraz ślub brać? – zamilkła na chwilę. – Teraz to w ogóle nie ma sensu. Julia wyjechała do Cambridge na studia i my, jak spuszczeni z łańcucha jakoś na nowo zakochujemy się w sobie.

– O matko, po tylu latach? – Agnieszka się zdziwiła. – Po tylu latach seks z własnym mężem to niemalże kazirodztwo...

– Dlatego Krzysztof nie jest moim mężem, kochana. – Monika się roześmiała. – I chyba już nie będzie. Teraz dla odmiany teściowe nas męczą, byśmy ten ślub wzięli. Nie dogodzisz! Chociaż trochę żałuję tej białej bezy, którą mogłabym mieć na sobie. I mój tata ciągle mi wypomina, że nie poprowadził mnie do ołtarza.

– Nie rób mu tego! – powiedziałam. Bardzo lubiłam tatę Moniki, który zawsze odwoził wszystkich po prywatkach do domu. Chociaż te prywatki wtedy grzecznie się kończyły o dwudziestej drugiej. Przynajmniej tak mi się dzisiaj wydaje.

– A Iwona przyjdzie? – zapytała Agnieszka. – Co w ogóle u niej? Kontakt się nam urwał zupełnie.

– Nie wiem – powiedziałam. – Tylko widzę, jak gdzieś się wspina albo hantlami rzuca.

– Gdzie ty to widzisz? – zapytała Monika.

– Na Fejsie.

– No tak, ja tam rzadko zaglądam. Mam go tylko po to, by być z moim dzieckiem w kontakcie. Zmusiła mnie, bym założyła stronę gabinetu.

– Gabinetu? – zapytałam.

– Mam gabinet kosmetyczny na Orunii.

– Super!

– Już chyba od dziesięciu lat.

– I dasz radę ze mnie zrobić piękność? – Uśmiechnęłam się.

– Jesteś piękna – powiedziała Monika. – Zmarszczek nawet nie masz. Tylko odpocząć powinnaś. Peeling kawitacyjny, oksybrazja.

– Czy ona nas nie obraża? – zapytała teatralnym szeptem Agnieszka.

– Nie mam pojęcia. – Roześmiałam się. – Iwona!

Do kawiarni weszła Iwona. Wyglądała olśniewająco. Zawsze była ładna, taki typ uśmiechniętej dziewczyny z amerykańskiego *Beverly Hills 90210*. O matko, jak my kochałyśmy ten serial. Teraz również wyglądała doskonale. Nieskazitelny makijaż, jakby pełniejsze usta. Zero zmarszczek.

Ubrana była w obcisłe czarne skórzane spodnie i krótką bluzkę, niemalże odsłaniającą przy każdym ruchu brzuch. To, że brzuch był płaski, nie muszę chyba mówić. Chyba nawet widać było zarysowujące się mięśnie. Zaraz przypomniałam sobie moje majtki obciskające, z których zsunęły się chyba już do reszty moje wyszczuplające rajstopy.

Obraz nędzy i rozpaczy.

Za każdym razem, jak wychodziłam na imprezę, przypominałam sobie, że nienawidzę chodzić w rajstopach. Iwona pewnie chodzi w pończochach i na dziesięciocentymetrowych szpilkach. I nie narzeka, że jej się rajstopy wyszczuplające zsuwają prawie do kolan.

– Mojito? – zapytała Iwona.

– Ja dziękuję. – powiedziałam. – Przyjechałam samochodem.

– No wiesz co?

– Ja też nie mogę. – Agnieszka pokręciła głową. – Kawy się napiję. Wiesz, nie powinnam długo siedzieć, dzieci z nianią...

– A gdzie masz męża? – zapytałam.

– Sporo pracuje. Wciąż wyjeżdża. – Zamyśliła się. Z tonu jej głosu wywnioskowałam, że być może idealne wakacje nie były takie idealne?

– Ja też mojito.

– Super, chociaż ktoś. – Iwona się ucieszyła i zawołała kelnera. – Dziewczyny, zamawiajcie.

– Cappuccino dla mnie.

– Latte.

– I dwa mojito. Jedno bez cukru.

– Mojito bez cukru? – Monika się zdziwiła. – Przecież ten cukier tam jest najlepszy.

– No chyba że ma pan na ksylitolu. – Uśmiechnęła się zawadiacko do kelnera, który, gdyby się postarała tak jak Monika, mógłby być jej synem.

– Niestety nie. – Chłopak się zmartwił. – Ale mam kilka listków stewii. Dodać?

– Super. Poproszę. – Bluzka spadła jej z jednego ramienia, ukazując czerwone ramiączko stanika.

Patrzyłyśmy na nią zdezorientowane.

Ksylitol? Stewia? Mojito bez cukru?

– Mój trener by mnie zabił, gdybym teraz cukier wypła. – Wzruszyła ramionami.

Nastąpi cisza.

– To ja skoczę do toalety. – Uznałam, że to naprawdę właściwy moment, by poprawić te cholerne rajstopy, które mnie wcale nie obcisnęły, a zjeżdżały do kolan.

– Idę z tobą. – Agnieszka wstała z fotela.

Gdy zamknęłyśmy drzwi, od razu podciągnęłam rajstopy.

– Cholera, zawsze jak zakładam kieckę, przypominam sobie, jak bardzo nienawidzę rajstop.

– Moja droga, bo to trzeba mieć magiczne majtki! – powiedziała Agnieszka, podsuwając sukienkę tak, bym zobaczyła wielkie obcisające gacie cielistego koloru założone na rajstopy. Miałam na sobie dokładnie takie same.

– Ale ja mam dokładnie takie same!

– Ale to się nosi na, a nie pod! One są śliskie, przecież to oczywiste, że każde rajstopy z nich zjadają!

– I pod spodem masz normalne gacie czy bez?

– Normalne. Wiesz, jak ci mówiłam, seks z mężem należy do przeszłości, więc mu obojętne, jakie mam majtki.

– A z nie mężem?

– Zuza! No co ty! – Zamyśliła się na chwilę. – Zmieniaj majtki.

– Jak to?

– No zdejmuj rajstopy i zamień je miejscami. Od razu lepiej się poczujesz.

Że też na to nie wpadłam.

Gdy szłyśmy do stołu, zobaczyłyśmy Monikę i Iwonę sączące swoje drinki. Obie były nieskazitelnie piękne. Przez chwilę się poczułam taką starą mamuszką, która naprawdę nie powinna nigdzie wychodzić, tylko gotować obiady, bawić dzieci i wieszać pranie. Codziennie inne. Poniedziałki i środy kolorowe, wtorki czarne i czwartki białe. A w pozostałe dni jak wyjdzie. Ręczniki i pościel.

Przez chwilę złapałam wzrok młodego kelnera oczarowanego Iwoną. To niemożliwe, by była w naszym wieku. Jej czterdzieści lat liczyło się najwyraźniej inaczej niż moje czterdzieści. Może to przez to mojito bez cukru? A może przez tego trenera personalnego, który jej tego mojito zabrania?

– Zobacz, Monika w ogóle nie ma zmarszczek.

– Botoks – powiedziała Agnieszka z miną eksperta.

– No co ty. – Nie uwierzyłam.

– Jasne. Albo kwas.

– Co ty.

– Ja regularnie robię czoło. Już od kilku lat – stwierdziła Agnieszka.

Widać byłam zupełnie nie na czasie. Myślałam, że botoks to aktorki, piosenkarki, a nie zwykli śmiertelnicy tacy jak ja. O kwasie hialuronowym słyszałam tylko w kontekście kolan mojego męża. Miał mieć wstrzykiwany. Ale w twarz? O matko. Ta niewiedza

w połączeniu z wielkimi cielistymi majtkami założonymi na rajstopy była miażdżąca.

Najwyraźniej moje koleżanki tę wiedzę w jakiś sposób posiadały, a Monika i Iwona nawet potrafiły skutecznie wykorzystać.

Gdybym pisała szkolne wypracowanie albo raport dla mojego prezesa, napisałabym „Spotkanie przebiegało w miłej atmosferze”. Bo tak też było. Pomijając majtkowe ekscesy i mojito ze stewią, było zupełnie normalnie. Faktycznie z Agnieszką siedziałyśmy obok siebie i z zazdrością patrzyłyśmy na Iwonę i Monikę. Na ich WOLNOŚĆ. My byłyśmy uwiązane telefonem do naszych domów, gdzie byłyśmy na każde zawołanie naszych dzieci. Chociaż... Nie zamieniłabym tego na nic. Monika miała ten okres już dawno za sobą, a Iwonie los może nigdy nie da tej szansy.

Wolałam już te cieliste gacie.

Chociaż, gdy zasypiałam przy moim chrapiącym mężu, który nie wiadomo dlaczego spał w dresie (może go łokcie bolały i też zastanawiał się nad wstrzyknięciem tam kwasu hialuronowego), przypominałam sobie zafascynowany wzrok młodego kelnera, który, gdyby mógł, natychmiast rozebrałby Iwonę z tego jej kusego sweterka i nie zważając na innych, rzuciłby się na nią niczym zwierzę w okresie godowym i szczycie swoich możliwości seksualnych.

– I jak było? – zapytał na w pół śpiący Wojtek.

– Dobrze. Dobranoc.

– To dobrze – mruknął, zgarnął swoją kołdrę i przesunął się na swój kraniec łóżka. Po chwili usłyszałam ciche chrapanie.

Przytuliłam się do niego.

– Jutro wstaję o szóstej – jęknął.

– Dlaczego?

– Spotkanie z klientem.

– O szóstej?

– Mhmhm... Bo potem gra w squasha.

Boże. Wielki świat. Mojito z ksylitolem, trener osobisty i klient, który spotyka się w niedzielę o świcie, bo potem gra w squasha. Przez chwilę poczułam się jakbym była Alexis Carrington i tkwiła w samym środku serialu *Dynastia*.

Zawinęłam się w swoją kołdrę i odwróciłam do Wojtka.

Ot, miała chyba rację Agnieszka. Seks po tylu latach z własnym mężem nie zawsze wychodzi. Bo albo dzieci się wpakują do łóżka, albo jest ważne spotkanie z klientem o poranku i trzeba się wyspać. A w dzień nie ma jak. No chyba że w łazience i to przy włączonej pralce, by nie było nic słycać.

Ot, życie.

ROZDZIAŁ 4

SPOTKANIE PO LATACH

Pierwsze spotkanie z dziewczynami po wielu latach przypomniało mi, że tak naprawdę jesteśmy zupełnie inne. Pokazało, że każda z nas chodzi innymi drogami i każda z nas jest na zupełnie różnym etapie życia. Tak było zaraz po maturze i przez te lata się tylko pogłębiło. Widać pierwsze spotkanie nie wystarczyło, by zobaczyć siebie w ich odbiciu.

My z Agnieszką – dwie matki polki w obciskających gaciach, często zbyt zmęczone codziennością, by być piękne i seksowne. Monika i Iwona przeżywające drugą młodość. Ryczące, seksowne czterdziestki, dla których świat stał otworem. One nowoczesne, a ja? A ja nawet nie miałam pojęcia na temat botoksu. Ani innych ulepszczy naszej urody. Byłam pewna, że to świat zarezerwowany dla celebrytek, ale nie dla zwykłych kobiet!

Może każda z nas była zatem niezwykła?

Pewnie powinnam już pomyśleć o botoksie i innych substancjach, które spowodują, że moja skóra będzie napięta i gładka.

– Wojtek, czy ja się marszczę? – zapytałam rano od razu po przebudzeniu. Gdy zobaczyłam Wojtka jeszcze w sypialni, wiążącego sobie krawat, natychmiast musiałam zadać to pytanie.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Jak to się marszczysz? – Skrzywił się teatralnie.

Udałam, że tego nie widzę.

– No po prostu. Szyja, zapadnięte policzki.

– Nie, no co ty. Tylko bardzo szczupłe osoby się marszczą.

– Sugerujesz, że jestem za gruba?

– Zuzka, nic takiego nie powiedziałem. Pięknie wyglądasz. – Pocałował mnie w policzek.

– Nawet ze zmarszczkami.

Aha. Jednak. Botoks. Czymś trzeba te zmarszczki wypełnić. Ale jak się uśmiechać, gdy czoło sztywne niczym pancerz żółwia?

Paweł zawsze mówił, że ja nie muszę się odzywać, a moja twarz wyraża wszystko. Właśnie. Paweł. Wczoraj wspominałyśmy i jego. Tak jak połowę klasy.

– A co u Pabla? – zapytała Iwona, gdy już skończyła opowiadać o swoich planach wakacyjnych (nie słuchałam, ale to było coś w stylu lotu balonem czy inną paralotnią nad wybuchającym wulkanem).

Oczy moich koleżanek zwróciły się na mnie.

– Ale czemu ja mam wiedzieć, co u Pawła? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

– Myślałam, że macie kontakt – powiedziała Agnieszka.

– Nie – uciełam krótko.

Nastąpiła niezręczna cisza.

– Byliście tacy nierozłączni... – Monika się zamyśliła. – Wszędzie razem. Wszyscy zazdrościli wam takiej miłości.

– Jak się okazało, coś trzeba mieć tylko dla siebie. – Wzruszyłam ramionami, choć do dzisiaj nie byłam o tym przekonana.

Kochałam mieć Pawła tylko dla siebie. Na każdym kroku podkreślaliśmy, że jesteśmy jednością. Kupowaliśmy na pół książki i płyty. Wywoływaliśmy zawsze tylko jedną kopię zdjęć z wakacji. Jeden album. Jakbyśmy wierzyli w to, że będziemy razem na zawsze, do końca swoich dni.

Tych zdjęć żałuję. Zdjęć, których nie mam. Stoją gdzieś na jego półce albo leżą w jego piwnicy przykryte kurzem i pajęczynami. Podobnie jak jego listy do mnie. A moje do niego? Może spalił? Może przegląda je wraz ze swoją żoną i zaśmiewają się z mojego infantylizmu. Jakiego infantylizmu? Miałam wtedy dziewiętnaście lat? A czy Pablo w ogóle ma żonę?

– A czy on w ogóle kogoś teraz ma? Iwona, może byś się zakręciła? – zażartowała Monika. – Wiesz, wypróbowany, wiadomo kto to.

Zupełnie nie wiem dlaczego, ale poczułam lekką zazdrość. Przecież Paweł nie był mój! Od dawna. Od czasu, jak wyjechał na to stypendium, nie mieliśmy ze sobą w ogóle kontaktu. Cały mój świat wtedy stał się pustką.

– Przestań. – Iwona się roześmiała.

– Kiedyś go spotkałam – przyznała Agnieszka. – Chwilę z nim nawet rozmawiałam. Chyba faktycznie mieszkał gdzieś w Niemczech? Albo Szwajcarii, nie pamiętam dokładnie. I jak to Pablo, wyglądał świetnie. Trochę posiwiiał, ale tylko dodawało mu to uroku.

Drażniły mnie te ich rozmowy. Dlaczego o nim? Dlaczego wciąż o nim? Przecież on był zdecydowanie historią tylko i wyłącznie mojego życia. Kawałkiem historii, całkiem fajnym, niestety bez happy endu.

Czasem mi się śnił.

W tych snach znowu byliśmy razem. Beztroscy i zakochani w sobie. Przytulałam się do niego i mówiłam:

– Widzisz? To niemożliwe, byśmy przez to życie szli oddzielnie. Wiedziałam, że kiedyś będziemy razem. Życie nie mogło napisać dla nas innego scenariusza.

Budziłam się wtedy z uśmiechem na ustach, który zaraz zniknął, gdy widziałam śpiącego obok mnie Wojtka. Ojca moich córek, którego przecież tak bardzo kochałam.

To dlaczego śniłam o Pawle?

Najbardziej smakuje to, czego nie możemy mieć. Nawet jeżeli codziennie jemy przepyszną czekoladę, to czasem zateśknimy za ziemniakami. Jednak Pablo wydawał mi się wisienką na torcie. Wisienką, która już nigdy nie miała być dla mnie. Czy byłam smutna z tego powodu? Nie. Po prostu przeszłam nad tym do porządku dziennego. Ale... Tęskniłam.

Na początku naszego związku z Wojtkiem miałam bardzo często chwile, w których ogarniało mnie niesamowite szczęście. Ot, jechałam samochodem i nagle czułam, że muszę do niego zadzwonić, powiedzieć mu, że go kocham. Uśmiechałam się do ludzi, jakbym chciała zarazić ich swoim szczęściem.

Kiedy ostatnio powiedziałam swojemu mężowi, że go kocham? Boże. Nie pamiętam. A on mi? On mi w ogóle to rzadko mówił. Jasne, celebrowaliśmy rocznice ślubu, walentynki, ale chyba trochę z przyzwyczajenia i trochę też dlatego, że nasze mamy wtedy chętniej brały do siebie dzieci niż zazwyczaj. Wypadało zatem gdzieś iść, choć często nie mieliśmy wcale na to ochoty. Dawno już nie poczułam tej miłości. Jasne, dzieci mnie roztkliwiały niemalże codziennie. Ale miłość do mężczyzny? To była zupełnie inna miłość. Chyba szaleństwa już nie były dla mnie, na pewno nie w tym życiu. Zupełnie nie wiem, dlaczego ogarnął mnie smutek. Usłyszałam trzaśnięcie drzwi. Wojtek wyszedł z domu załatwiać sprawę z klientem od squasha.

Nie ma to jak wspólny niedzielny poranek. Dziewczynki jeszcze spały, zawsze niedzielne poranki należały do leniwych, wystarczy gonitwy w tygodniu. Miałam chwilę dla siebie, niedługą, ale miałam. Potem zacznie się harmider, wrzaski, kłótnie.

Po weekendzie w domu z moimi dziećmi czasem się cieszyłam na poniedziałek. Oczywiście obowiązki w ciągu tygodnia powodowały, że czekałam na weekend.

Zrobiłam sobie kawę, delektując się tymi nielicznymi chwilami, gdy mogłam w spokoju pomyśleć, pobyć sama ze sobą. Rzadko miałam chwile tylko dla siebie. Czasem udawało się wygospodarować je wieczorami, gdy wszyscy szli już spać i zostawałam sama na domowym placu boju. Często nie miałam nawet siły zapakować naczyń do zmywarki. Gdy tego nie zrobiłam, następny dzień zaczynał się źle. Bałagan powodował kłótnie od samego rana.

Tak, wiedziałam, że zapakowanie tych naczyń to tylko pięć minut, a nawet nie. Ale czasem te pięć minut wieczorami było zbyt drogocenne, by zajmować się takimi czynnościami.

Zastanawiałam się, dlaczego doba się wydaje tak krótka. I jak żyją zwolennicy slow life, którzy, jak sama nazwa wskazuje, robią wszystko „slow”.

Iwona wspominała o medytacji. Kiedy, do cholery, miałabym medytować? Chyba w tych nielicznych chwilach, gdy moje córki mają zajęcia plastyczne czy muzyczne, a ja na nie właśnie czekam. Zwykle wtedy lecę z wywieszonym jęzorem do supermarketu, by zrobić zakupy.

Chciałabym być idealną matką. Niestety. Wydawało mi się, że obok idealnej matki nawet nie stałam.

Tak dużo rzeczy trzeba było robić. Bo syn sąsiadki już grał na pianinie, syn koleżanki świetnie czytał w wieku czterech lat, a córka kuzynki zajęła trzecie miejsce w konkursie poetyckim. „A twoje córki?” – słyszałam głos mojej mamy.

No... Moje córki nie.

Ale czy przez to były gorsze?

Czy je przez to mniej kochałam?

Nie. W życiu. Ale kochałam chyba mniej siebie, bo wiecznie niedospiana i niezadowolona z własnych wysiłków rzucałam się na głęboką wodę, chcąc dorównać kuzynkom, koleżankom i wnuczce dalekiej znajomej mojej mamy, która występowała w „Mam Talent”.

Brałam udział w Radzie Szkoły, piekłam ciastka na wszelakie imprezy klasowe i robiłam dekoracje na wszystkie uroczystości – począwszy od dnia chłopaka, poprzez Jasełka, dzień babci i dziadka, na zakończeniu roku szkolnego kończąc.

Tak sobie myślę, że wszyscy mnie doceniali oprócz mnie samej.

Miałam wrażenie, że zmęczona wieczorami leniwie chłonę samotność, a naczynia włożone do zlewu nie chcą się same teleportować do zmywarki.

Wojtek chodził spać wcześniej. Zwykle rano szedł do firmy, by przygotować się na kolejne spotkania. Z serwisanta ksero stał się głównym projektantem systemów informatycznych i współwłaścicielem całkiem sporej firmy. Obracał dość dużym kapitałem, kierował bardzo potężnymi projektami. A ja? Wycinałam aniołki na jasełka. A osiem godzin w pracy zapieprzałam jak motorek, stukając szybko w klawisze komputera, by zdążyć odebrać dzieci ze szkoły i porozwozić je po licznych zajęciach dodatkowych.

– One powinny mieć jakąś pasję! – Słyszałam głos teściowej. – A to już od rodziców zależy, jakie zainteresowania rozwiną w swoich dzieciach – mówiła stanowczym głosem doświadczonego belfra. Wtedy sobie zawsze przypominałam, że bardzo dobrym posunięciem w moim życiu było to, że porzuciłam szkołę i zajęłam się czymś zupełnie innym. Nie znosiłam tego jej mentorskiego tonu, który nie pozwalał na wyrażenie odmiennego zdania.

Jak na razie naszym wspólnym hobby było niedzielne wylegiwanie się w łóżku i oglądanie bajek w telewizorze do południa. Nie wiem, czy to rozwijało pasję, ale na pewno było bardzo przyjemne. Teściowa byłaby zdegustowana. Ona, podobnie jak mój mąż, była rannym ptaszkiem. Ja byłam ptaszkiem zdecydowanie nocnym, sową, puchaczem. Kochałam długo spać i jeszcze dłużej siedzieć wieczorami.

Teraz nawet się ucieszyłam, że jestem sama z dziewczynami w ten niedzielny poranek, bo możemy sobie w spokoju poleniuchować. W bardzo mało kreatywny sposób. Jedyną rzeczą, jaką uda nam się stworzyć, będą załamania na kołdrze. Możemy nawet zgadywać, jakie kształty te załamania przypominają. Nawet lubiłyśmy się tak bawić.

Zrobiłam sobie kawę i wróciłam do łóżka. Teściowa byłaby załamana. Wstawała codziennie o szóstej, ścieliła łóżko, ubierała się, robiła makijaż i zasiadała do śniadania. Przy stole, nigdy w łóżku.

Jak zaczęłam spotykać się z Wojtkiem, pierwszy nasz wspólny weekend spędziliśmy w łóżku. Miał minę, jakby robił coś bardzo zakazanego. Nie wiedziałam wtedy, jak bardzo było zakazane to, co robiliśmy. I seks był tym najmniejszym złem. Najgorszym były okruszki w pościeli.

Usłyszałam podwójny tupot małych stópek. Uśmiechnęłam się. Po chwili z jednej strony przytuliła się do mnie Iga, a z drugiej Pola. Pola wprawnym ruchem sześciolatki włączyła

telewizor. Pamiętam, jak sobie obiecywaliśmy, żadnego telewizora w sypialni. No cóż. Tę obietnicę złamaliśmy. Rok temu kupiliśmy większy do salonu i ten stary wynieśliśmy tutaj. Na chwilę.

Chwila trwa już rok.

A tak sobie zawsze obiecywałam, że sypialnia jest od tego, by być razem, we dwoje.

Życie wszystko weryfikuje. Częściej byliśmy w tym wielkim łóżku we czworo. A zdarzało się też, że niewyspany Wojtek w środku nocy szedł spać do pokoju dziewczyn, by chociaż trochę wypocząć przed pracą.

Teściowa zdecydowanie nie byłaby zadowolona z tego błogiego niedzielnego lenistwa. Oglądałyśmy bajkę do jedenastej. Nie dałam dzieciom od razu śniadania. Ale tak miło było nam w trójkę, gdy leżałyśmy sobie przytulone. Chyba żadna z nas tego śniadania nie potrzebowała. Tak niewiele mamy dla siebie czasu w tej tygodniowej gonitwie.

Tłumaczyłam się sama przed sobą z tego, że chcę trochę poprzytulać moje dzieci. Straszne. Kiedyś przeczytałam, że Matka to synonim nieustającego wyrzutu sumienia. Przytulanie jest ważne, ale gdzie składniki odżywcze zawarte w pożywnym śniadaniu? Najlepiej białkowo-tłuszczowym, jak to mnie wyedukowała Iwona.

Może tym razem były ważniejsze składniki miłości matczynej w pachnącej moimi i Wojtka perfumami pościeli. Przynajmniej tak to sobie tłumaczyłam. Nieliczne bez troskie chwile. Ale już myślałam o tym, że sam rosół na obiad nie wystarczy, że chyba trzeba będzie zrobić kotlety (a już zupełnie nie miałam pojęcia, jak to się miało do diety paleo, którą stosowała idealna Iwona). Potem lekcje z dziećmi.

Do cholery, dlaczego im tak dużo zadają?

A potem się okaże, że również jest jakieś zadanie domowe dla rodziców. Zrobienie doświadczenia albo kupienie dwóch drewnianych łyżek na kukielkowe czupiradła. Zawsze okazywało się to na ostatni moment. Te czupiradła zrobione niedawno przez Ięgę były przerażające. Przypominały laleczki Voodoo. Że też nikt im jeszcze nie zakazał takich praktyk szamańskich w szkole.

Na obiad na szczęście rosół wystarczył. Wojtek wysłał esemesa, że zje lunch z klientem. Dobrze, że w ogóle mnie poinformował. Agnieszka mówiła, że jej mąż już nawet esemesów nie wysyła. A raczej wysyła, jak ma zjeść z nią obiad, bo to niemalże święto.

Tamtego wieczoru, chwilę przed rozstaniem, pogadałyśmy z Agnieszką. Odwiozłam ją do domu i jak za starych dobrych czasów siedziałyśmy pod jej klatką w aucie i rozmawiałyśmy. Tylko w liceum to Agnieszka prowadziła. W ogólniaku czasem pożyczala stary samochód od swojego taty. W maturalnej klasie jako jedna z niewielu miała już prawo jazdy, odwoziła zatem wszystkich po kolei do domów, a że mieszkaliśmy obok siebie, byłam ostatnia. Jeszcze potem spędzałyśmy długie godziny w samochodzie na obgadywaniu wszystkich naszych nastoletnich problemów. W końcu któraś z mam schodziła na dół, pukała w szybę i wołała nas do domu.

– Ja już się przyzwyczaiłam do tego mojego życia – powiedziała Agnieszka. – Nie

brakuje mi wspólnych obiadów. Gotuję dla siebie i Kordiana. Chociaż on i tak je zwykle w szkole, więc częściej jem sama.

– Spędzacie trochę czasu razem? – zapytałam. – We dwójkę? W trójkę?

– Prawie wcale. – Wzruszyła ramionami. – Wiesz, ale ja już chyba tego nawet nie potrzebuję.

– A wakacje? Widzę cudowne zdjęcia na Facebooku.

– A widzisz na nich mojego męża? – Uśmiechnęła się smutno. – Nie widzisz. Bo go tam nie ma. – Wzruszyła ramionami.

– Stoi z drugiej strony aparatu?

Agnieszka pokręciła głową.

– Nie. Zwykle osobno jeździmy na wakacje. My z Kordianem lubimy podróże, Tristan nie. Wiesz, jak Korek był mały, mój mąż powiedział, że przy nim nie wypoczywa. Że co to za urlop z dzieckiem. – Wzruszyła ramionami. – Chciałam, by mój mąż był zadowolony z życia, wypoczęty, pozwalałam zatem na samotne wyprawy. I tak już zostało. I dlatego chyba też nie mamy drugiego dziecka.

– A ty? Jesteś zadowolona z życia?

– Wiesz, matka polka wypoczywa na jednej nodze w trakcie mycia butelek po mleku. Bo drugą buja kołyskę z dzieckiem. – Roześmiała się. – Dla mnie świętem było, jak zabierał syna na spacer nad morze. Nie szłam wtedy z nimi, bo to była jedyna okazja, by wypocząć. Potem oczywiście to był argument na te samotne wyjazdy. – Zamyśliła się. – A teraz lubię nawet być sama.

– Smutne to wszystko.

– Czy ja wiem? Chyba poukładało się to w taki sposób, jak chcieliśmy.

– Jak chcieliście, czy jak Tristan chciał?

Agnieszka chwilę milczała.

– Na początku jak Tristan chciał – przyznała w końcu. – Ja uważałam, że w małżeństwie trzeba robić wszystko razem. On sądził inaczej. A potem? Potem się do tego już przyzwyczaiłam.

– I co? I tak do końca życia będziesz już przyzwyczajona?

– Cóż mam zrobić? – zapytała.

– Kochasz go?

– Skąd w ogóle to pytanie? – Zdziwiła się.

– Po prostu ciekawa jestem. Cały czas mówisz o nim jak o taborecie, który czasem pożyczą sąsiadka.

Agnieszka się roześmiała.

– Wiesz. On raczej jest taką wygodną, swojską wysiedzianą sofą. Z licznymi plamami po kawie i pękniętą sprężyną. Ale jest mój.

– Stare meble się wyrzuca – powiedziałam.

– Ale nie takie. To mebel dobrej klasy. Może go już nie lubisz tak bardzo jak kiedyś, może wnerwia cię, bo sprężyna wbija ci się w tyłek. Ale każda plama ma swoją historię. Nie pozbędziesz się go, bo masz do niego sentyment. Poza tym... – dodała po chwili. – Nie

miałabyś już na czym usiąść. I byłoby ci bardzo niewygodnie.

– Może kolejny mebel byłby wygodniejszy?

– Nie ma szans. – Pokręciła głową. – Ten doskonale mnie zna. Jest świetnie dopasowany. Kolejny, z pozoru piękniejszy i zupełnie nowy, może się okazać bardzo niekomfortowy. – Pocałowała mnie na pożegnanie. – Lecę. Nie powinnam Korka zostawiać samego na tak długo. Pilnuj swojej sofy i nie szukaj wygodniejszej.

Nie miałam takiego zamiaru.

Chociaż czasem zastanawiałam się, jak ułożyłoby się moje życie, gdybym wyszła za mąż za Pawła, a nie za Wojtka. Jednak potem moje myśli biegły w stronę Poli i Igi i wiedziałam, że gdybym miała wybierać, nigdy w życiu nie podjęłabym innej decyzji. Bo przecież były one. Z innym facetem byłyby na pewno inne. A teraz? Teraz były doskonałe. Nie wyobrażałabym sobie ich nie mieć. Dziwiłam się Iwonie, że zamiast brylować towarzysko na imprezach w modnych klubach Trójmiasta nie puści się z pierwszym lepszym tylko po to, by mieć dziecko.

Dla mnie dzieci były najważniejsze. Bez dzieci mogłabym nie istnieć również ja. Naprawdę nie rozumiałam ludzi, którzy świadomie decydują się na samotność.

– A ja Iwonę rozumiem – powiedziała Monika, gdy rozmawiałyśmy na ten temat. – Teraz jest nam z Krzysztofem cudownie. Ja jestem sobie sterem, żeglarzem, okrętem. Mogę robić, co chcę, kiedy chcę i gdzie chcę. I z kim chcę też, bo chcę tylko z Krzyśkiem. To mnie najbardziej w tym wszystkim zaskakuje. Może dlatego, że nie wzięliśmy ślubu. Chyba kocia łapa sprawdza się bardziej w codziennym życiu.

– Jako zwolenniczka kotów, mówię tak! – Agnieszka się roześmiała. – Kocia łapa jest dobra na wszystko. A przyczepiona do mruczącego kota to już w ogóle.

Iwona się nie odzywała. Zastanawiałam się, na ile prawdziwe jest to, co mówi o swoich marzeniach. Na ile prawdziwa jest ta gonitwa za nowymi wrażeniami, a na ile jest to pewnego rodzaju zamiennik rzeczywistych pragnień. Może ona też marzyła o domu, o rodzinie? Może też zdawała sobie sprawę z tego, że zegar biologiczny tyka, że to ostatni dzwonek, by zostać mamą? Nie potrafiłam wierzyć w to, że naprawdę nie czuła takiej potrzeby.

Jestem jednak przekonana, że z wiekiem coraz trudniej znaleźć odpowiedniego kandydata na ojca dla swojego dziecka. Nie chodzi tu o to, że już wszyscy są zajęci, ale o to, że im jesteśmy starsze, tym stajemy się bardziej wybredne. Doskonale znamy swoje przyzwyczajenia, zdajemy sobie sprawę z naszych oczekiwań. Stałyśmy się bardziej cyniczne i bardziej ostrożnie podchodzimy do świata. Niestety jesteśmy już pewne, że żaba w koronie nie zmieni się nagle w królewicza. A co gorsza wiemy, że prawdziwi królewicze nie są w zasięgu naszych ramion.

Tylko od nas zależy, czy wystarczy nam żaba w koronie. No chyba, że bestia okaże się nagle księciem. Ale ile tych bestii trzeba wcześniej obcałować z nadzieją, że na księcia się trafi...

Zadzwoił telefon. Moja mama. Odebrała Pola. Zawsze zaskakiwało mnie, jakie ja mam już dorosłe dzieci. Same włączają komputer, potrafią zadzwonić, załatwić różne sprawy

w moim imieniu. Ot, choćby wtedy.

- Umówiłam nas na podwieczorek do babci – poinformowała Pola, odkładając słuchawkę.
- Babcia chciała na obiad, ale mamy rosół.
- Rosół możemy zjeść jutro. – Iga wzruszyła ramionami. – Zresztą u babci pewnie też jest rosół.
- No to dzwonię – stwierdziła Pola i wybrała numer mojej mamy. Ja naprawdę nic nie miałam do gadania.

Jęknęłam. Bardzo nie chciało mi się wychodzić. Niby pogoda była całkiem przyjemna, ale miałam po prostu ochotę posiedzieć we własnym domu. We współczesnej gonitwie tak mało mamy czasu, by po prostu pomieszkać. Dbamy o te swoje mieszkania niczym o królestwa, a tak naprawdę jedynie tam śpimy. Kupujemy kwiaty, obrazy i bibeloty tylko po to, by cieszyły nasze oczy przez te kilka minut dziennie.

Jednak nie miałam okazji pomieszkać tamtego wieczora. Z Igą i moją mamą się nie dyskutowało.

ROZDZIAŁ 5

KOCHAM CIĘ I TAKIE TAM

Pojechałyśmy do mojej mamy. Oczywiście na niedzielny obiad i jak zawsze był rosół. Chyba rosół nawet akceptowała Iwona razem z tą swoją manią zdrowego żywienia. Byleby bez ulepszaczy i tak dalej.

– Czym doprawiłaś rosół? – zapytałam.

– No tym, co zawsze – powiedziała moja mama.

– Bo babciu, maggi to świństwo – stwierdziła rezolutnie moja młodsza córka. – To z butelki. Ono ma ulepszacze i wzmacniacze smaku.

Mama popatrzyła na mnie zdumionym wzrokiem. Uśmiechnęłam się i wzruszyłam ramionami. Przed wyjściem oglądałyśmy program o zdrowym odżywianiu. Czym skorupka za młodu...

– Ogórki kiszane są zdrowe, babciu – powiedziała Iga. – I kapusta. Masz?

– Mam – potwierdziła mama. – Pójdiesz dziecko do piwnicy? – zwróciła się do mnie.

Wstałam od stołu i zjechałam windą na sam dół. Ostatni raz byłam tam chyba piętnaście lat temu. Może dwadzieścia. Piwnica zawsze kojarzyła mi się ze stęchłym zapachem, półmrokiem, pajakami i trutką na myszy wysypaną w zakrętkach od słoików stojących na podłodze.

Otworzyłam kłódkę. Tę samą, którą otwierałam dwadzieścia lat temu. W starą siatkę w czerwono-czarną kratę zapakowałam słoiki z ogórkami, dorzuciłam dwa dzemy. Moje córki kochały dzemy truskawkowe. A babcia, jak wiadomo, robiła najlepsze. Mój wzrok przyciągnęło zielone pudełko po butach owinięte w podarty papier w serduszka.

Tutaj też jest ślad Pawła.

Oczywiście wcześniej było więcej śladów, ale gdy rodzice wyremontowali mój pokój i stał się on ich sypialną, nie kojarzył mi się tak bardzo z minionym czasem. I nie kojarzył mi się z Pawłem, bo wtedy, za jego czasów, wyglądał zupełnie inaczej.

Bordowe tapety, jasnoszare meble. Wszędzie wazon z ususzonymi różami.

„Jak się suszy róże, to miłość usycha” – mawiała moja babcia. Nie wierzyłam.

Wspięłam się na palce i wzięłam z górnej półki pudełko. Nie rozpakowując do końca papieru, zajrzałam do środka. Poczulałam ten zapach. Zapach, którym zawsze się perfumował, gdy chciał mi się podobać. Wysyłane do mnie listy też perfumował. Zamknęłam oczy. Jakie to dziwne, że wiele zapachów kojarzymy z naszymi wspomnieniami. Inaczej pachnie miłość, inaczej seks. Zupełnie inaczej niemowlę. Każdy z tych zapachów wywołuje niesamowite emocje i uruchamia lawinę wspomnień.

Pablo pachniał tak, właśnie tak, jak zawartość tego pudełka.

Jakie to dziwne, że nie myślałam o nim niemalże przez piętnaście lat, a jedno spotkanie z dziewczynami spowodowało tyle przypadkowych znaków na ziemi, że powinnam o nim właśnie teraz pomyśleć. Nawet tutaj, w piwnicy u rodziców. Nie planowałam tego, zupełnie zapomniałam o tych listach, kto by pomyślał, że chęć mojego dziecka na ogórki kiszone zaprowadzi mnie do epicentrum moich wspomnień.

Usłyszałam kroki i przyciszone głosy.

Dziewczyna i chłopak. Uśmiechnęłam się. Też chowaliśmy się z Pawłem w piwnicy, by w spokoju się całować w ukryciu przed spojrzzeniami ciekawskich.

Schowałam pudełko do torby i chrząknęłam, by swoim wyjściem nie przestraszyć tych dzieciaków.

Dzieciaków?

– Dzień dobry pani – powiedziała dziewczyna. Chłopak skinął głową.

Znałam ją. Córka sąsiadki. Gdy brałam ślub, miała jakieś cztery lata. Teraz jest na tyle dorosła, by obściskiwac się w piwnicy ze swoim chłopakiem. Czas leci nieubłaganie.

Zaczęłam się zastanawiać, kiedy zaczęto mi mówić „dzień dobry”. Przecież wcześniej wystarczyło zwykłe „cześć”. Czy to, że ktoś zaczyna ci mówić „dzień dobry” to pierwsza oznaka, że się starzejesz?

– Cześć Marta – odpowiedziałam. – Ale ty wyrosłaś. – Ugryzłam się w język. Jak ja nienawidziłam, gdy wszystkie stare sąsiadki komentowały to, że wyrosłam, urosłam, dojrzałam i że nie jestem już dzieckiem. A teraz byłam dokładnie taka sama jak one.

Marta się uśmiechnęła.

– Idziemy po dynię. – powiedziała.

– Dynię? – Nie zrozumiałam.

– Konserwową.

Aha. Z Pawłem też chodziłam po dynię. Dynię konserwową. Ogórki też. Uśmiechnęłam się do swoich myśli. Fajne to były czasy.

Podniosłam ciężką siatkę i weszłam do windy. Przed drzwiami stała już moja mama.

– O Matko Boska, co tak długo? Bałam się, że zasłabłaś albo co!

– Dlaczego miałabym zasłabnąć? – zapytałam.

– No wiesz... – Wzruszyła ramionami. – Tyle się teraz czyta. O chorobach różnych.

No tak. Tyle się czyta. Ostatnio rozmawiałam z Elą, żoną kolegi Wojtka. W moim wieku, lekarka – onkolog. Byli u nas na imprezie, chłopaki pili piwo, a my sączyłyśmy już któreś z kolei mojito.

– Wiesz, Zuzka. Każdy dzień pracy jest dla mnie wyzwaniem. Kiedyś te rzeczy były obok. Nie dotyczyły nas bezpośrednio. Dzisiaj ten u góry coraz częściej zabiera ludzi z naszej półki. Kiedyś wydawało mi się, że nowotwór dotyczy tylko starszych ludzi. Na pewno starszych ode mnie. Teraz? Teraz to są nasze koleżanki. Codziennie przychodzi ktoś w naszym wieku. Często przychodzi zbyt późno, by zrobić cokolwiek.

– Bo się boi – powiedziałam.

– Czego się boi? – Podniosła brwi ze zdziwienia.

– Że coś wykryjesz...

– A może, jeżeli mam coś wykryć, to lepiej, że zrobię to teraz niż za rok, dwa albo trzy? Wtedy kiedy będzie zbyt późno? Kiedy ty się ostatnio badałaś? – zapytała. Wzruszyłam ramionami. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio byłam u lekarza. Owszem, chodziłam do przychodni z dziećmi, a jak byłam zaziębiona, to też w tym samym czasie, więc brałam po prostu to samo, co one. A inni lekarze? Nie było na to czasu. – Kiedy badałaś sobie cycki? – powtórzyła Ela.

– Nie wiem. – Zastanowiłam się. – Nigdy? – Pokręciła głową. – No wiesz, Wojtek je dotyka... – powiedziałam zawstydzona.

– Nie Wojtek, nie Wojtek. – Pokręciła głową. – Najpierw ty i lekarz. Nikt nie zna ciebie tak dobrze, jak ty sama.

Pamiętam, że wtedy zmusiłam ją, byśmy poszły do łazienki. Zdjęłam bluzkę i stałam przed nią, a ona sprawdzała, czy jest wszystko w porządku. Nie zamknęłyśmy drzwi na klucz i po chwili do łazienki wpakował się Wojtek. Do tej pory chce mi się śmiać, gdy sobie przypomnę jego zdziwioną minę.

Gdy go zobaczyłyśmy, wybuchłyśmy śmiechem.

– Nie to, bym miał coś przeciwko – powiedział niepewnie. – Ale jestem troszkę zaskoczony. Dwie pijane piękne kobiety, w tym jedna prawie naga, w naszej łazience. – Pokręcił głową. – I to na dodatek moja żona, o której myślałem, że wiem wszystko. A tu takie niespodzianki!

– Wszystko okej – powiedziała Ela, tłumiąc śmiech. – Zdrową masz żonę. Ale niech się bada. W tym wieku to USG trzeba raz na rok. Profilaktycznie. I cytologię. W razie czego. Zostawić cię teraz samego z tą piękną nagą kobietą?

Długo jeszcze tamtej nocy pytał, czy na pewno ze mną jest wszystko w porządku, dlaczemu akurat wtedy, gdy siedzieliśmy i w najlepsze piliśmy alkohol, zmusiłam Elę, by mnie zbadała. Upewniał się, że nie miałam ku temu badaniu żadnych przesłanek.

Wystarczającym powodem, by się badać, było to, że jestem kobietą. Prawie czterdziestoletnią kobietą. I chcę żyć na tym świecie po prostu jak najdłużej. Dla dzieci, dla niego i dla siebie. Ciągłe jeszcze na końcu było to „dla siebie”.

Tak. Miałam z tym kłopot. Ja w swojej własnej hierarchii byłam zawsze na szarym końcu. Jakże wściekałam się na męża, gdy zjadał dziewczynkom ostatnie ciastka, czy nie pytając nikogo, otwierał czekoladę, która następnie sukcesywnie kawałek po kawałku znikała w jego ustach. Nie myślał o nikim.

– Zjadłem, bo miałem ochotę – mówił. Ot, po prostu. Nie pomyślał, czy dziewczyny miałyby również ochotę, czy ja chciałabym zjeść coś słodkiego.

Nie miałam wrażenia, że się poświęcam. Nigdy. Oczywiście na mojej życiowej drodze napotkałam kilku psychologów i coachów, każdy z nich rozmawiał ze mną dość długo, kiedyś nawet odbyłam coś w rodzaju terapii, ale czy to coś dało?

Znałam te liczne powiedzenia w stylu „szczęśliwa matka, to szczęśliwe dziecko”, wypocznij, wyjeżdź gdzieś, pobądź sama ze sobą. Pomedytuj, poćwicz jogę.

Kiedyś nawet się do tej jogi zabrałam. Myślałam, że sama dam radę, że sama będę umiała się wyciszyć, odpłynąć. Niestety. Przeszkadzały mi w tym kłótnie Igi i Poli

dobiegające z ich pokoju. Stałam z głową w dole, w nagie stopy było mi zimno i akurat do pokoju wszedł Wojtek, który włączył radio. Nie. Tak wyciszać się nie mogłam.

Do psychologa szłam sobie pogadać. Fajnie było raz na jakiś czas upewnić się, że to świat wariuje wokół, a nie, że to ty jesteś wariatką. Ale czy to była pomoc? Nikt nie jest w stanie pomóc nam w rozwiązywaniu problemów codzienności. To trzeba załatwić samemu. Zatem załatwiałam. Potem już nawet nie miałam czasu chodzić do psychologa. Dziewczyny zaczęły uczęszczać do szkoły i zaczęło się ich odwożenie i przywożenie przez pół miasta. Bo przecież ta na drugim końcu miasta była lepsza od tej tuż obok domu. A ja chciałam dla moich dzieci jak najlepiej.

Czasem z przerażeniem dochodziłam do wniosku, że życie przelatuje przez palce, bo głównie zajmowałam się czekaniem.

Rano zawoziłam dzieci do szkoły, potem pędem spóźniona jechałam do pracy. Tam robiłam wszystko, co do mnie należało w zawrotnym tempie, by absolutnie nie spóźnić się po dzieci, które – nigdy nie wiadomo – będą się cieszyły, że już przyszłam, albo będą twierdziły, że jeszcze nie chcą iść do domu. To zawsze było zagadką.

Czekałam, gdy dzieci pływały na basenie, czekałam, gdy miały zajęcia plastyczne. Po prostu większą część popołudni i weekendów zajmowało mi czekanie i jeżdżenie samochodem.

Czasem miałam wrażenie, że jestem w filmie *Dzień świra*. Bo co tydzień było dokładnie tak samo. O tej samej porze odbierałam dzieci ze szkoły, tak samo poprawiałam im czapki i szaliki, tak samo poganiałam, mówiąc „ubierzcie buty” i tak samo się łapałam na tym, że przecież butów się nie powinno ubierać, tylko wkładać. Kto, jak kto, ale polonistka nie powinna tak mówić.

Potem pędziliśmy do samochodu. Jak zwykle zastanawiałam się, którą drogą jechać, i jak zwykle wybierałam tę, gdzie są większe korki.

I na to pani psycholog nie mogła znaleźć rozwiązania. Próbowałam jej wmówić, że ja w sumie czułam się szczęśliwa w tym całym galimatiasie, tym bardziej że był Wojtek, który pomagał jak tylko mógł. Niespecjalnie wierzyła w moje tłumaczenia.

Zupełnie nie wiedziałam, dlaczego. Przecież czasem Wojtek odbierał dzieci, a ja w czasie, gdy nie musiałam bawić się w szofera, załatwiałam inne sprawy związane z naszym ogniskiem domowym.

Czas wolny? No chyba miałam. W samochodzie właśnie. Słuchałam audiobooków. A hobby? Hobby owszem. Robiłam na drutach czapki moim dzieciom.

– Czy ty wiesz, co mówisz? Że twoim hobby jest robienie czapki komuś innemu? – zapytała mnie Iwona.

– Tak. Tak właśnie jest. Jak były młodsze, moim hobby było kupowanie im ciuchów.

– A sobie?

– Wiesz, chyba do tej pory wolę kupować je dzieciom.

– To ja jednak miałam rację, że nie chcę być matką – powiedziała Iwona. – Zero czasu dla siebie. Zero. Zwariowałabym. Jak ty to wytrzymujesz?

Jak ja to wytrzymywałam? Nigdy nie rozpatrywałam tego w kontekście

„wytrzymywania”. Kochałam czas z dziećmi i przez to, że spędzałam z nimi tak wiele godzin, jeszcze bardziej doceniałam te cenne samotne minuty, które każdy dzień darował mi w prezencie. Ale może faktycznie należałoby posłuchać wszystkich wokół i raz pomyśleć najpierw o sobie? Tylko jak to zrobić, gdy z tyłu głowy wciąż mi siedzi, że teraz jest czas, gdy przede wszystkim powinnam być mamą. A zewsząd słyszę, że mogę być lepsza, bardziej idealna, mogę gotować, sprzątać, zorganizować się i oczywiście, jeżeli bardzo będę tego chcieć, znajdę czas na fitness. Pracując na cały etat oczywiście. Doprawdy, kolorowe magazyny robią nam sieczkę z mózgow.

Mnie chyba zrobiły również.

A Iwone? Iwone w drugą stronę. Ale wydawało się wszystkim, że była szczęśliwa. Szczęśliwa sama ze sobą, opętana zdrowym trybem życia, sportem, dietą, botoksami i innymi wspomagaczami, jakby chciała za wszelką cenę zatrzymać upływający czas. Ona z pewnością była najważniejszą osobą w swoim życiu.

Taki stan rzeczy napawał mnie ogromnym smutkiem. Widać jednak każda z nas jest inna i każda ma inne życiowe priorytety. Moje życiowe priorytety były zupełnie inne. Chodziły do dobrej szkoły i pachniały pomarańczowym mydłem. Zapachem szczęścia.

Pudełko po butach zostawiłam w samochodzie. Bałam się do niego zajrzeć. Obawiałam się, że odżyją sentymenty, że będę myśleć o przeszłości, zastanawiając się, czy moje życiowe wybory były słuszne. Bałam się, że będę porównywać dwóch mężczyzn mojego życia.

Wiedziałam, że jeżeli chodzi o romantyzm wygrywał ten pierwszy.

Nie chciałam, by Wojtek przez przypadek zajrzał do tego pudełka. Bo i po co? To był kawałek mojego świata, do którego nie chciałam nikogo dopuszczać. A w zasadzie nie tylko mojego. Był mój i Pawła.

Chyba po raz pierwszy w moim małżeństwie miałam coś, do czego nie chciałam dopuszczać męża. Czułam się z tym wyjątkowo niezręcznie. Zupełnie nie rozumiałam, dlaczego. Przecież to tylko kilka słów napisanych odręcznie przez kogoś, kogo znałam dwadzieścia lat temu. Wiele wody upłynęło od tamtego czasu, żyjemy w zupełnie innym świecie. Dwadzieścia lat, to połowa mojego życia. Połowa jego życia.

Kusiło mnie, by zajrzeć do tego pudełka pełnego wspomnień. Kiedy ostatni raz dostałam list miłosny? Chyba bardzo dawno temu. Czy ja w ogóle dostałam od Wojtka jakiś list?

– Napisz do mnie list! – poprosiłam wieczorem, przytulając się do niego.

– List? – zdziwił się. – Ale po co?

– No... Fajnie tak. Dostać prawdziwy list.

– Ale przecież się widzimy codziennie.

– Wiem, ale tak miło dostać prawdziwy list do skrzynki... Ze znaczkiem... I tak fajnie czekać na niego, a potem odpisać.

– Zuzka, co się dzieje? – Spojrzał na mnie wnikliwie.

– Nic się nie dzieje. – Uśmiechnęłam się. – Po prostu chcę byś wniósł trochę

romantyzmu do naszej codzienności.

– Na romantyzm mamy czas pomiędzy szóstą dwadzieścia a szóstą trzydzieści pięć, kiedy to dziewczyny jeszcze śpią, a my próbujemy już się obudzić. – Roześmiał się. – O ile nie śpią akurat w naszym łóżku. A i to należy do rzadkości.

– Oj, nie ma w tobie ani krzty romantyzmu. – Udałam nadąsaną.

– Mogę ci przypomnieć ten romantyzm jutro rano o wpół do siódmej. Chcesz?

Pokręciłam głową. Jednak romantyzm poranny nie był w moim stylu.

– A nie mógłbyś wstać rano o tej szóstej i napisać do mnie listu?

– Zuzka... Co ja miałbym napisać?

– No nie wiem, ty powinieneś wiedzieć. Że kochasz i takie tam...

– Kocham cię i takie tam – powiedział. – Nie wystarczy, jak ci to powiem?

– Ech. I jeszcze od siebie mógłbyś coś dodać.

– Ja się mam z tymi babami. – Pokręcił głową. – Dziś przez pół dnia wyjmowałem i wkładałem z powrotem na miejsce głowę lalki Poli, bo jak głowa była na miejscu, nie mogła zakładać coraz to nowych sweterków. A że bawiły się w pokaz mody, to często zmieniała te sweterki. I co rusz trzeba było tę głowę zdejmować i zakładać. Ale wiesz? Z dwójga złego to chyba łatwiejsze niż list miłosny.

Zasnęliśmy potem mało romantycznie, bo oboje w ciepłych flanelowych piżamach. Jeszcze nie zaczęli grzać i w domu było chłodno. Rano, gdy wstawałam, Wojtek już wychodził do pracy. Obudziłam dziewczynki i poszłam do kuchni przygotować im śniadanie. Na lodówce była przyklejona różowa karteczka z kilkoma zdaniem zapisanymi drobnym maczkiem.

Kocham Cię i takie tam! (dobrze, jak na list miłosny?)

Wojtek

PS. Miało być coś od siebie: Bardzo smakowała mi ta pomidorowa wczoraj. Dzisiaj może być powtórka z rozrywki!

Uśmiechnęłam się. Pomidorowy romantyzm mojego męża. Na pewno był to krok do przodu.

ROZDZIAŁ 6

ZAWARTOŚĆ ZIELONEGO PUDEŁKA

Gdańsk, 8 września 1994

Chciałem do Ciebie napisać z życzeniami już 1 września, ale to był Dzień Kombatanta. Tak sobie pomyślałem, że Dzień Kombatanta nie jest dobrym dniem, bym pisał pierwszy list do dziewczyny. Wprawdzie „Kombatant” dosłownie znaczy „towarzysz broni” i w pierwszej chwili chciałem wytłumaczyć, że dlatego Ci składam życzenia, bo jesteś moją towarzyszką niedoli tutaj, w szkole, ale bałem się, że źle mnie zrozumiesz.

Drugiego września podobno był Dzień Dużego Rozmiaru. Tu to już w ogóle bym wtopił. Bo co byś o mnie pomyślała, gdybym składał Ci życzenia w dniu Dużego Rozmiaru? Na pewno byś mnie walnęła plecakiem w łeb. Zatem i drugiego września siedziałem cicho. Potem nie było żadnych świąt, więc nie było pretekstu, aż do dzisiaj! Obudziłem się rano i pomyślałem, że to z pewnością jest dzień, w którym mogę do Ciebie napisać. Otworzyłem mój kalendarz i przeczytałem: DZIEŃ MARZYCIELA.

Czyż może być piękniejszy dzień na list?

Nie może.

Zuza, składam Ci zatem serdeczne życzenia z okazji Dnia Marzyciela.

Ja też jestem marzycielem. I nawet sobie o czymś marzę. Życzysz mi spełnienia marzeń?

Paweł

PS. 13 września przypada dzień całowania chłopaków w usta, może wrócimy razem ze szkoły tego dnia i poświęcimy trochę?

Ręce mi się trzęsły, gdy to przeczytałam. To był pierwszy list od Pawła. Włożył mi go niepostrzeżenie w książkę. Nie pamiętam, co to było. Chyba Tolkien. Tolkien wprawdzie nie zaskarbił sobie mojej sympatii na dłużej, ale za to Paweł tak... Paweł był zakochany we wszystkich smokach i innych gnomach. Ja mniej. Ale w listach od niego natychmiast się zakochałam. I zaraz potem także w nim.

Trzynastego września wróciliśmy razem do domu. Chyba wracaliśmy zupełnie naokoło, ale to nie było ważne. Plecaki wypełnione książkami nam nie ciążyły, jesienny deszcz w ogóle nie przeszkadzał. Gdy staliśmy pod moimi drzwiami, Pablo przypomniał, jakie święto mamy. Pokazał mi swój kalendarz.

– Zobacz. Nie kłamałem.

– „Dzień całowania chłopaków w usta” – przeczytałam. Spuściłam głowę.

– Fajny dzień, prawda? – Przysunął się do mnie.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Do tej pory jeszcze nie całowałam się z nikim. W każdym razie nie na poważnie. Wiem, że niektóre dziewczyny z klasy miały już wszystko za sobą, ale ja nie miałam wcześniej ku temu okazji.

– Fajny – przyznałam. Spojrzałam mu w oczy i przysunęłam się do niego.

Pocałował mnie najpierw lekko, jakby sprawdzał, czy mu nie ucieknę. Potem mocno przywarł do moich ust. Serce biło mi jak oszalałe. Do tej pory, gdy sobie przypomnę ten pierwszy pocałunek, zaczynam szybciej oddychać. A to był tylko krótki pocałunek!

– Cudowny dzień – powiedział. – Najpiękniejszy.

– Muszę iść do domu... – przypomniałam.

Trzymał mnie za rękę, nie chciał puścić. Całował dłonie, jakby wreszcie doszło do niego, że może, że nie ucieknę, że się na to zgadzam.

– Idź już. – Przytulił mnie mocno. Po chwili poszukał ustami moich ust i znowu przylgnęliśmy do siebie w pocałunku.

– Do jutra.

– Do jutra.

– Wreszcie znam twój adres i będę mógł napisać do ciebie normalny list.

– Normalny list?

– Taki w kopercie, ze znaczkiem.

– Wyperfumowany i na ładnej papeterii?

– Jasne!

– Idę już – powiedziałam.

– Idź już – zgodził się ze mną. Oczywiście nie ruszyłam się z miejsca.

– Ty pierwszy.

– Nie. Ty pierwsza.

Nie przypuszczałam wtedy, że to będzie taka nasza tradycja. Bo tak się było trudno rozstać. Nie nam pierwszym i nie ostatnim w tym cudnym zakochanym w sobie świecie. Serce waliło jak oszalałe, gdy wróciłam do domu. Nie mogłam rozmawiać z rodzicami, nie mogłam się uczyć. Położyłam się na podłodze w swoim pokoju i w słuchawkach na uszach leżałam tak chyba godzinę. Słuchałam muzyki i byłam bardzo szczęśliwa.

W tamtym życiu chyba jednak częściej się uśmiechałam sama do siebie. A może nie? Ale na pewno było więcej momentów, które wywoływały cudne kołatanie szczęśliwego serca.

Gdy następnego dnia szłam do szkoły, zrozumiałam, co to znaczy „biec jak na skrzydłach”. Ja naprawdę biegłam jak na skrzydłach. Do Pawła. Zakochałam się miłością pierwszą, jeszcze całkiem grzeczną, ale kochałam już każdą część mojego ciała. Chciałam z nim spędzać każdą godzinę i każdą minutę. Od tamtego pierwszego pocałunku byliśmy nierozłączni. A oprócz tego były listy. Każdy wyperfumowany, każdy napisany tym jego charakterystycznym pismem, z mnóstwem zawijasów. Przychodziły nagle, niezapowiedzianie. Uzależniłam się od nich. Sama też pisałam. Pablo zakreślił mój świat i ten nie chciał przestać wirować. Na tej karuzeli uczuć nie było miejsca dla nikogo. Byliśmy tylko my. Wirował na tyle szybko, że nikt nie mógł do nas dołączyć, a my nie

możliśmy z niego wysiąść. Ten pęd mógł zwiastować tylko katastrofę. Ale o tym wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy. Byliśmy pełni planów i marzeń. W końcu pierwszy raz napisał do mnie w dniu marzyciela. Dlaczego nasze marzenia nie miałyby się spełnić? Wydawało nam się, że jesteśmy panami świata.

Byliśmy pewni, że nasze marzenia się spełnią i że będziemy szczęśliwi leżąc przytuleni do siebie nawet po śmierci.

Pamiętacie to uczucie pierwszego pocałunku?

Gdy przed, w trakcie i zaraz potem nogi się pod wami uginają i zupełnie, ale to zupełnie nie umiecie myśleć? Nic potem temu nie dorównuje. Ten pierwszy raz, kiedy nie wiesz zupełnie, czego się spodziewać zapamiętasz do końca życia. Gdy jeszcze nie wiesz, co robić z ustami, co zrobić z językiem, który chciałby smakować tego, kogo kochasz, ale jeszcze jest zbyt nieśmiały, by to robić.

Tego uczucia nie da się porównać z niczym.

Sięgnęłam po kolejny list. Uśmiechnęłam się na widok pirata na kopercie. Pablo pięknie rysował.

19 września 1994

No nie mogłem sobie odpuścić takiej okazji! Czy wiesz, jaki mamy dziś dzień?

Otóż dziś jest Dzień Dzikiej Flory, Fauny i Naturalnych Siedlisk, Międzynarodowy Dzień Mówienia jak Pirat.

Ahoj, Kapitanko!

Cała naprzód! Kocham spijać nektar Twych ust niczym pirat rum! Kocham kołysać Cię w ramionach niczym kołyszę się wilk morski w czasie sztormu (oczywiście ten, który nie ma choroby morskiej, bo ten który ma, oddaje swój obiad za burzę).

Kapitanko, cudnie wyglądałaś dziś w tym białym sweterku. Nie mogłem się skupić na biologii. A powinienem, przecież dziś dzień Dzikiej Flory, Fauny i Naturalnych Siedlisk!

Dlaczego nam o tym Kostecka nie powiedziała?

A może mówiła, ale byłem zapatrzony w Twój biały sweterek. I naprawdę nie pamiętam nic z lekcji. Chyba musisz udzielić mi kilku korepetycji sam na sam.

Lekcje biologii z Tobą Piratko, to by było coś!

Pirat Pablo.

Uśmiechnęłam się do swoich wspomnień. Chyba właśnie stąd się wziął Pablo. A może już nazywałam go tak wcześniej? Zupełnie zapomniałam o piracie. A pamiętam, że od tamtej pory ten pirat był istotny w naszym związku. Kilka razy byliśmy przebrani za pirata i jego towarzyszkę. Pamiętam, jak któregoś dnia u mnie w domu Pablo się uparł, że będzie sprawdzał, czy mam sztuczną nogę i gryzł mnie coraz wyżej i wyżej, aż zupełnie nie zauważyliśmy, jak weszła moja mama. Weszła i zobaczyła Pawła, który siedział

z głową pod moją spódnicą. Teraz mi się chce z tego śmiać, ale wtedy byliśmy przerażeni. Wszyscy. Teraz dopiero sobie zdaję sprawę, że najbardziej przerażona musiała być moja mama.

Pablo był tak przestraszony, że zdecydował nie wystawiać głowy spod mojej spódnicy. Moja mama zamarła, a ja zapytałam, czy czegoś potrzebuje.

Moja mama odpowiedziała, że szuka długopisu. Zupełnie jak gdyby nigdy nic. Nie zapytała, czego Pablo szukał pod moją spódniczką, ale ja powiedziałam nagle, tłumacząc się:

– Paweł sprawdza, czy mam sztuczną nogę. Bawimy się w piratów.

Moja mama nic nie odpowiedziała. Dopiero długo potem zdaliśmy sobie sprawę z komizmu sytuacji i bardzo często seks nazywaliśmy „zabawą w piratów”.

Najlepsze z tego wszystkiego było to, że wtedy byliśmy zupełnie niewinni, nasze pieszczoty w zasadzie ograniczały się do pocałunków i niczego poza tym. Moja mama była jednak przekonana, że jestem zupełnie zepsutą ladacznicą. Oczywiście ze mną o tym nigdy nie porozmawiała. Dlaczego? Nie wiem. Chyba nie miała śmiałości. Woląca udawać, że tego nie widzi.

Przypomniałam sobie tych piratów. Siedziałam w samochodzie pod szkołą córek i czytałam już drugi list. Miałam nie czytać. Na razie w duszy czułam sympatię do mnie samej sprzed dwudziestu lat. Jakbym chciała siebie samą przytulić i powiedzieć:

– Spoko mała. Wszystko będzie dobrze. Przed tobą trochę ciężkich chwil, wiele cudownych. I dasz radę. Takie kobiety jak ty zawsze dają radę. Upadniesz i wstaniesz. O dziwo, bez niczyjej pomocy. I dalej będziesz szła z podniesioną głową.

Fajnie by było w wieku dwudziestu lat otrzymać list od starszej wersji siebie. List pełen wskazówek, ostrzeżeń, może dobrych rad na dalsze życie... Tylko czy to nie zmieniłoby biegu historii? I czy potem ta „ja” dwadzieścia lat starsza byłabym szczęśliwa? Czy napisałabym list do siebie młodszej o zupełnie innej treści niż ta poprzednia „ja”?

Bardzo często się zastanawiałam, czy gdybym wiedziała to, co wiem dzisiaj, czy tak samo bym rozwiązała swoje problemy życiowe. Czy podejmowałabym takie same decyzje, czy chciałabym zmienić bieg wydarzeń? Czy osuszyłabym morze łez wylanych w przeszłości? A może zrobiłabym wszystko, by nie dopuścić do tej wielkiej kałuży smutku, która w pewnym momencie mojego życia rozlała się wokół mnie, otaczając mnie z każdej ze stron i nie dając szans na wyjście suchą stopą...

W szkole zadzwonił dzwonek i dzieci wybiegły na przerwę. Zobaczyłam z daleka różowe czapki moich dziewczyn i po raz kolejny w swoim życiu się upewniłam, że gdybym miała możliwość cofnąć się w czasie i ponaprawiać błędy młodości, nie zrobiłabym nic. Bo bardzo bałabym się, że jeżeli coś zmienię nie będzie na świecie Poli i Igi. A były całym moim światem. Na nie warto było czekać i dla nich warto było zaakceptować cały bałagan poprzedniego życia.

Związałam listy zieloną wstążeczką i włożyłam do kartonika. Papier w serduszka już się zupełnie podarł. Nie miałam serca go wyrzucić. Wsunęłam go wraz z kartonem do reklamówki.

Postanowiłam tym razem zabrać listy do domu. Schować gdzieś głęboko do szafy, by potem, gdy Wojtek wyjedzie na delegację, spędzić z nimi kilka samotnych wieczorów.

Uśmiechnęłam się do siebie.

Nie robiłam nic złego, ale nie czułam się zupełnie w porządku wobec mojego męża. Jednak mimo wszystko bardzo mi się to podobało i nie mogłam się doczekać, kiedy Wojtek wyjedzie do tego Krakowa, by jeszcze raz spotkać się z przeszłością.

Gdańsk, 26 września 1994

Zuzanko! Dzisiaj Międzynarodowy Dzień Języków Obcych!

Kocham Cię!

I love you!

Ya tabe kahayu!

Obicham te!

Volim te!

Miluji te!

Ik hou van jou!

...

Potem było kilka stron zapisanych drobnym maczkiem. W każdej linijce „Kocham Cię” w innym języku. Siedziałam na łóżku i przeglądałam te strony, uśmiechając się do siebie.

Do pokoju wszedł Wojtek.

– Co czytasz?

– Nic takiego. – Szybko schowałam listy. – Notatki.

Dlaczego mu nic nie powiedziałam? Nie robiłam przecież nic złego? Ale... Ale chyba coraz większą miałam na to ochotę. Ochotę, by pofrunąć na skrzydłach, chociaż przez chwilę. Nie zważając na konsekwencje.

I bardzo bałam się, że mój mąż się o tym dowie.

Kochałam go i nie chciałam go skrzywdzić, ale miałam straszną ochotę wrócić do przeszłości. Marzyłam o tym, by poczuć znowu to, jak się mnie kocha wszystkimi językami świata.

9 października 1994

Kochana!

Czy wiesz, że dzisiaj jest Międzynarodowy Dzień Pisania Listów?

Zakuwam historię na jutrzejszy sprawdzian i wcale, ale to wcale mnie nie fascynuje. Ciężko jest pisać miłosny list, gdy przed oczami mam obrady Okrągłego Stołu. To naprawdę nie nastraja romantycznie.

Tym bardziej, że nawet nie mam na kogo popatrzeć na tej historii, bo złośliwie wybrałaś fakultet z matematyki.

Nie rzucaj mnie przed maturą, dobra?

Potem też mnie nie rzucaj.

Nigdy.

Kocham Cię zawsze.

Twój Pablo

Zaczynałam żałować, że nie mam swoich listów do niego. Po raz kolejny zastanawiałam się, czy on je spalił, czy wyrzucił? A może też leżą gdzieś u jego rodziców w piwnicy? Może ktoś je wyrzucił podczas świątecznych porządków albo co gorsza – przeczytał?

Tamtego wieczoru przeczytałam kilkanaście cudownych listów. Pełnych miłości, ufności. Słowa napisane pismem z zawijasami zawierały olbrzymi ładunek emocjonalny. Na tyle duży, że nie mogłam zasnąć. Wstałam, poszłam do kuchni napić się wody.

Włączyłam komputer. Wyszukałam w Internecie „Paweł Szadziński”. Dziwne wyniki. *KRS, dostęp możliwy po wykupieniu. Zamów raport szczegółowy.* Kiedyś sprawdzałam go na Facebooku. Nie było go tam wcale. Sprawdziłam ponownie. Paweł Szadziński. Nie ma.

Pablo Szadziński. Czterech wspólnych znajomych. To on. Chyba on. Brak zdjęcia, wszystko poukrywane przed nieznanymi. Nie miałam odwagi wysłać mu zaproszenia do znajomych. Jeszcze nie teraz.

W pudełku leżały również listy przewiązane czarną wstążką. Tych nie chciałam czytać. Wiedziałam, że one odkopią również te bolesne wspomnienia.

Człowiek jednak ma w sobie coś takiego, że lubi sięgać po rzeczy, których nie powinien dotykać. Jeden z listów wypadł na podłogę. Otworzyłam kopertę.

Nie czytałam od początku. Mój wzrok przyciągnęły słowa:

Zuza... Obiecuj mi proszę, że jeżeli kiedykolwiek nasze drogi się rozejdą, nigdy nie staniemy się dla siebie obcymi ludźmi. Takimi, co przechodzą na drugą stronę ulicy, gdy widzą się z daleka. Nie zniósłbym tego.

Kiedyś nie spodziewałem się, że w ogóle możemy żyć osobno. Wielu rzeczy się nie spodziewałem. Teraz sam już nic nie wiem. Chcę jednak, byś wiedziała, że zawsze możesz na mnie liczyć.

Wiem, że brzmi smutno.

Wiem.

Ale ostatnio taki smutny ten nasz czas jest. Chciałbym, by wróciła przeszłość. Wróci? Czy jeszcze kiedyś wróci? Będziesz na mnie czekała?

Nie chciałam dalej tego czytać.

W pierwszym impulsie najechałam wskaźnikiem myszy na przycisk „dodaj mnie do znajomych”. W ostatnim momencie się wycofałam. Nie pamiętam, co mu obiecałam wtedy, gdy mnie prosił, bym była zawsze. Jednak teraz spotkałam go po latach i z wielkim żalem przeszłam na drugą stronę ulicy, odwracając głowę i – ku swojemu zaskoczeniu – przetykając łązy.

ROZDZIAŁ 7

ZZA FIRANKI

Gdańsk, 30 października 1994

Kochanie, jak ja się cieszę, że dziś świętowaliśmy ten dzień! Bo wyglądałaś obłędnie! Z Twoich wszystkich spódnic (wiem, co to spódnica!) ta w kratkę jest moją ulubioną. Może przypomina mi Szkocję, w której nigdy nie byłem, a do której mam zamiar się wybrać z Tobą, jak już będziemy okropnie bogaci.

Ale do rzeczy!

Wszystkiego najlepszego z okazji DNIA SPÓDNICY! To dzisiaj!

Rano chwilę się zastanawiałem, czy może nie powinienem założyć spódnicy do Ciebie? Ale obawiam się, iż byś mnie wyrzuciła, zanim by pierwszy kur zapiął (znaczy dzwonek do drzwi).

Mój brat ma coś podobnego do szkockiej spódnicy, więc mógłbym skorzystać. Ale czy pod nią naprawdę się nie zakłada majtek?

Podobno pierwsze spódnice, kilka tysięcy lat przed naszą erą, były ze słomy i nosili je również mężczyźni. Potem kobiety sobie zagarnęły kiecki, a nam przyszło nosić spodnie. Tylko Szkoci się wycwanili. Tam przynajmniej jest równouprawnienie!

Kocham Cię w spódniczce!

(I bez również).

A ta szkocka. Ach.

Czy kobiety noszą pod szkockimi spódniczkami majtki? Muszę to sprawdzić! Może jutro? Dzisiaj niestety nie sprawdziłem. Żałuję!

Pablo

Dzień spódniczki. Uśmiechnęłam się. Teraz głównie spodnie, bo wygodniej, bo szybciej, bo cieplej. Bo nienawidzę rajstop. I gaci obciskających.

Wtedy wszystko było łatwiejsze. Nawet noszenie spódniczek.

Otworzyłam szafę. Moje spódniczki wisiały równo na wieszakach. Wszystkie czarne, szare, granatowe – takie do pracy. Nie miałam już kolorowej, nie miałam w szkocką kratę. W tamtą z pewnością bym nie weszła. Ale dziś dzień spódnicy.

Zamknęłam szafę. W spodniach wygodniej.

Miałam wolny wieczór, wolny od rodziny, od dzieci, bo tak naprawdę zajęty babskimi plotkami, winem i toną niezdrowego żarcia. No, chyba że Iwona niczym żywieniowy anioł

stróż będzie czuwać nad nami wszystkimi i nie będzie pozwalała na żadne ekscesy.

Czysta wódka z wodą mineralną. Ewentualnie cytryną. To według niej najzdrowsze. No może jeszcze Tequila.

Skrzywiłam się na samą myśl. Miałam nadzieję, że Iwona jednak odpuści, to były jej urodziny. Trzydzieste dziewiąte. Jako ostatnia z nas je obchodziła, my wszystkie już czekałyśmy na zmianę trójki na czwórkę z przodu, ona była najmłodsza.

Umówiliśmy się tym razem w Sopocie w niedawno otwartej knajpie „Cały Gawel”. Podjechałam kolejką, bo przecież jak miałyśmy świętować, to na całego. „Całego Gawła” zresztą.

– Sto lat kochana! – zawołałam od drzwi.

– Ale co ja będę przez te sto lat robić? – Iwona się roześmiała. – Zanudzę się. Nawet nie na śmierć! Siadaj!

Przy stole siedziały już Agnieszka i Monika.

– Oby twoje życie było fascynujące i zupełnie nie było nudne! I księcia z bajki ci życzę!

– Dziś prawdziwych księżąt już nie ma – zaśpiewała Iwona.

– To nie o księżętach a o cyganach było!

– Mniejsza z tym. Co jesz? Mają przepyszne bezglutenowe gnocchi w sosie grzybowym i krem z organicznego selera z białą czekoladą...

Skrzywiłam się.

– Ty żartujesz, prawda? – Chciałam się upewnić.

– Zupełnie nie. Spróbuj.

– Myślałam, że dziś odpuścisz te wszystkie bezglutenowe, organiczne świństwa. Jednak jesteś stała w uczuciach. Cóż, królowej wieczoru się nie odmawia.

– Nie odmawia – przytaknęła Iwona.

Usiadłam przy stole.

– A tak naprawdę, czego ci życzyć? – zapytałam.

Iwona wzruszyła ramionami.

– Księżę z bajki nie byłby zły... Mógłby być nawet z „bajkiem”. Albo z roverem. Czy innym mercedesem. – Iwona się zamyśliła. Patrzyłyśmy na nią badawczo. – No, co? Żartowałam! Jest mi całkiem dobrze samej. Wiecie, mogę się rozwalać w łóżku, ściany na różowo mogę pomalować i nikt się nie czepia, gwoździe wbijać, gdzie chcę. I... I mogę mieć firanki.

– Firanki?

– Tak. Jak spotykałam się z takim Sebastianem, to nie mogłam mieć firanek. Bo on nie lubił. I cholernie wkurzały mnie te łyse okna.

– No tak.

– Teraz mam firanki. – Iwona wzruszyła ramionami. – I codziennie rano je widzę. I jak je widzę, to się cieszę, że je mam.

Wszystkie trzy na nią popatrzyłyśmy. Monika położyła rękę na jej dłoni.

– Iw...

– Co? Nie wierzysz mi? – zapytała.

– Wiesz co? – powiedziała Agnieszka. – Ja ci życzę byś miała wszystko. I firanki, i tego księcia z mercedesem.

– Nie wszystko obraca się wokół facetów, moje drogie.

– Nie – potwierdziłam.

– Są jeszcze... – zaczęła Agnieszka.

– Firanki! – dokończyła Monika.

Wybuchliśmy wszystkie śmiechem.

No tak. Każda z nas chciała mieć firanki. A czasem księżę nie lubił firanek i co wtedy? Rezygnować z księcia, czy z firanek? Miłość to sztuka cholernych kompromisów. Musimy wiedzieć, co dla nas najważniejsze. Jeżeli udekorowane okno, cóż, zawsze możemy poczekać na kolejnego księcia.

– Czasem jest mi smutno... – zaczęła Iwona. – Rok temu wyciągałam wtedy dobre wino.

– A teraz?

– Teraz idę biegać. – Jęknęłyśmy. – A potem, gdy wrócę do domu, wyciągam bardzo dobre wino! – dodała.

– Bezglutenowe? – Roześmiałam się.

– Z pewnością – odpowiedziała Iwona.

– Będzie dobrze. – Położyłam rękę na jej kolanie.

– Jest dobrze! – obruszyła się.

– Jest dobrze, a może być lepiej – stwierdziła filozoficznie Monika. – Kto wie, co nam ten ostatni rok przed czterdziestką przyniesie?

Kto wie... Zamyśliłam się. U mnie zawirowania. Narzekam, że w codziennym życiu pogubiłam gdzieś siebie, że utraciłam w tym wszystkim indywidualność, moje „ja”, nie jestem sobą, jestem mamą, żoną, wyrobnikiem w korporacji, ale zdecydowanie nie chciałam się zamienić z Iwoną na życie. Mimo że ona mogła wszystko, była sama. Samotna. Ja zawsze miałam gdzieś w pobliżu małe łapki pragnące przytulenia i nie zamieniłabym ich na żadne skarby świata. Ona już chyba tego nie będzie miała. Wtedy nawet nie podejrzewałam, jakie los lubi płać niespodzianki. Czasem w krótkiej chwili obraca nasze życie o sto osiemdziesiąt stopni. Miałyśmy się o tym wkrótce przekonać. Każda z nas po kolei.

Gdańsk, 25 listopada 1994

Misiu mój kochany!

Dziś Twój dzień!

Dzień pluszowego misia!

Wszystkiego najlepszego!

Pablo Miś

ROZDZIAŁ 8

SZCZĘŚLIWE CHWILE TO MOTYLE

Tuż przed świętami spotkałyśmy się z dziewczynami po raz kolejny.

Sama nie wiedziałam, czy mam ochotę na to spotkanie. Byłyśmy totalnie różne, miałyśmy zupełnie inne problemy. Łączyła nas tylko wspólna klasa w szkole średniej i kilka fajnych wspomnień. Teraz żyłyśmy w innym świecie. Monika przeżywała drugą młodość, a Iwona od dwudziestu lat wmawiała sobie, że jest młoda i może wszystko. No, może z Agnieszką mnie łączyło więcej. Małe dzieci, te same studia, chociaż praca zupełnie inna.

Jednak poszłam się zobaczyć z dziewczynami. W codziennej gonitwie nie było czasu na spotkania towarzyskie, moje koleżanki zwykle zabiegane nie miały siły, czasu i ochoty, by wyjść z domu na pogaduchy. A jak była siła i czas, to zwykle nie miałyśmy z kim zostawić dzieci.

Tym razem zadzwoniła Monika, zapraszając nas wszystkie do swojego gabinetu kosmetycznego. Powiedziała, że mamy sobie zrobić dzień piękności i ona się wszystkim zajmie. My mamy leżeć i pachnieć.

„Leżeć i pachnieć” brzmiało jak z bajki. Nie znam chyba kobiety, która by nie skorzystała z takiej propozycji.

Wojtek oczywiście z chęcią się zaopiekował dziećmi. Po chwilowej burzy uczuć i sentymentów do Pawła, spowodowanej odkopanymi listami, wszystko wróciło do normy i znowu zaczęłam wieść spokojne życie przykładnej żony. Zielone pudełko schowałam głęboko do komody. Leżało gdzieś w szufladzie pod moją bielizną. Tą najbardziej seksowną, tą, której używam tylko na specjalne okazje. Czyli bardzo rzadko.

Aż przykre, że sami sobie nie stwarzaliśmy tych specjalnych okazji. Chyba nie było to takie trudne? Staralam się zapomnieć zarówno o pudełku, jak i o Pawle.

Udawało mi się to całkiem nieźle.

Chociaż czasem wspomnienia powracały. Te o miłosnych listach, w których każde pojedyncze słowo było przepełnione uczuciem. Jednak na lodówce wciąż wisiała różowa karteczka z informacją, że mojemu mężowi tamtego dnia smakowała pomidorowa. Zdecydowanie mniej romantycznie niż miłosne listy Pawła.

Kiedyś napisałam do Wojtka romantyczny mail. Zaraz potem zadzwonił do mnie.

– Czy ja powinienem ci coś teraz odpisać? – zapytał.

– Byłoby miło! – odpowiedziałam.

– No wiem – mruknął wyraźnie zasmucony. – Ale co?

– No, co chcesz. – Roześmiałam się.

– Ale Zuzka...Właściwie to ja chyba nie chcę. Nie umiem, nie mam czasu – przyznał szczerze.

No tak. Napisałby mi, że pomidorowa była super, ale chciałby tym razem barszcz.

Akceptowałam go jednak w stu procentach. Nie samym romantyzmem żyje człowiek, a podobno nawet zbyt dużo romantyzmu przeszkadza w zwykłej, małżeńskiej codzienności.

No ale cóż. Ja bym chciała. Tak trochę. Szczypta romantyzmu, moim zdaniem, potrafi doprawić każdy związek.

Tym razem na spotkanie pojechałam taksówką. Monika zastrzegła, że będziemy piły wino i się relaksowały, więc nie możemy się stresować żadnymi powrotami do domu samochodem.

Relaks to relaks.

Przyszłam ostatnia, bo Iga i Pola nie chciały mnie wypuścić z domu. Byłam im tamtego wieczora bardzo niezbędna do życia. A to chciały pić, a to jeść, a to mama lepiej zna się na wszystkim i tata z pewnością nie jest w stanie pomóc w zrobieniu telefonu z dwóch plastikowych kubeczków i kawałka sznurka. Na nic przekonywanie, że tata skończył uczelnię techniczną i na telefonach zna się dużo lepiej niż mama. Według moich córek mama znała się najlepiej na wszystkim. Fajnie być takim autorytetem, jednak nie kilka sekund przed wyjściem.

W końcu mnie puściły.

Na szczęście Monika zabroniła się malować, bo powiedziała, że i tak będziemy po kolei siedzieć z jakimiś dziwnymi rzeczami na twarzy. Oczywiście nazwała to fachowo, ale niestety nie zapamiętałam.

Czekała na nas ona i dwie kosmetyczki – jej pracownice.

– Monia, to prawie korporacja! – powiedziałam.

– Oj tam, zaraz korporacja. – Roześmiała się. – Ale fakt, firma się rozwija!

Spoglądałam zaskoczona na piękną przestrzeń jasnoszarego gabinetu. Lawendowe meble i lawendowe storczyki w charakterze dekoracji dopełniały całości.

– Pamiętacie nasze regularne spotkania u Zuzy? – zapytała Agnieszka.

– U mnie? – zdziwiłam się.

– Nie, one były u mnie – sprostowała Iwona. – Zuza przecież się zakochała i nie było jej dla nikogo.

– No tak – potwierdziła Monika.

– Chyba mnie ominęły. – Pokręciłam głową.

– Wiele cię ominęło, moja droga, przez Pawła. Dziewczyny, kładźcie się. Specjalnie nie dałam parawanów byśmy mogły pogadać. – Monika wskazała łóżka do masażu.

– A właśnie, widziałam go w ubiegłym tygodniu – rzuciła Iwona.

– Kogo? – zapytałam, ale serce lekko mi drgnęło. Nie chciałam, by mi drgało, nie chciałam o nim myśleć, nie chciałam znowu czuć zapachu tych listów w zielonym pudełku.

– Pawła. – Iwona najwyraźniej nie zamierzała kontynuować tematu.

– I co u niego? – Agnieszka się zaciekawiła. – Dzieci? Żona?

– Krótko z nim rozmawiałam, widzieliśmy się na imprezie. Ale żony nie ma, już nie ma. Dzieci chyba też nie.

Nie wiem dlaczego, ale poczułam ulgę.

Był wolny. Ale dlaczego poczułam ulgę? Przecież ja nie byłam wolna. To do czego mi jest potrzebna informacja, że on z nikim się nie związał? Do niczego. Przecież nie mam zamiaru tej wiedzy wykorzystać. Jest sam. Może mnie wspomina? Niechciane myśli wracały do mnie jak bumerang.

– Jest w zarządzie jakiejś szwajcarskiej firmy, ma tutaj otwierać ich filię.

– Czym się zajmują?

– Nie pytaj. Zapomniałam. Ale jak Szwajcarzy, to na pewno serem albo zegarkami. –

Roześmiała się.

– No dobra, nie gadaj tylko się kładź – powiedziała Monika do Iwony.

– Ale wiesz, dziś mi z twarzą nic nie rób – poprosiła Iwona.

– No widzę, że pod tą grubą warstwą pudru jesteś cała posiniaczona! Co się stało?

– Nic. – Iwona wzruszyła ramionami.

– No dobra. Ale widzę, że dobrze masz to „nic” zrobione.

– A co ona ma zrobione? – zapytała Agnieszka.

– Nic – powtórzyła Iwona.

– Hm. I to „nic” tak dobrze robi?

– Dokładnie.

– I mówisz, że jest lepsze od botoksów i innych kwasów...

Iwona westchnęła.

– Ostrzykiwanie osoczem.

– Brzmi strasznie. – Wzdrygnęłam się.

– E tam, dla ciebie brzmi strasznie mikrodermabrazja – ucięła krótko Monika. – Kładź się.

Posłusznie położyłam się na przygotowanym łóżku. Zamknęłam oczy i pozwoliłam zająć się moją twarzą wprawnych rękach jednej z kosmetyczek. O dziwo, miałam do niej pełne zaufanie. Skoro miałam wyjść po tym piękniejsza?

Może mi wystarczy i nie będę musiała się ostrzykiwać własną krwią. Brzmiało strasznie. Ale skoro tak rewelacyjnie działało?

Monika robiła Iwonie jakąś maskę na dłonie.

– Dlaczego tak gonisz za młodością? – zapytała.

– Gonię?

– Nie akceptujesz swoich lat... Źle się czujesz w skórze czterdziestki?

– Trzydzieści dziewięć jeszcze!

– No właśnie. Gdy spotkałyśmy się wtedy w Unique, powiedziałaś, że bym nikomu nie mówiła, ile masz lat. – Iwona wzruszyła ramionami. – Prosiłaś, bym nie wspominała, że chodziłyśmy razem do klasy, a potem się ulotniłaś.

– Monia...

– Wiesz, nie będziesz szczęśliwa, o ile siebie nie zaakceptujesz – mówiła, piłując

paznokieć. – Masz tutaj złamany, naprawić ci akrylem, czy wszystkie spiłować na krótko?

– Napraw.

– Okej. – Monika otworzyła buteleczkę akrylu i powąchała go. Skrzywiła się. – Chyba coś zmienili – mruknęła. – Ten śmierdzi, a zawsze pachniał.

– Moim zdaniem pachnie tak jak zawsze.

– Już sama nie wiem. – Monika skupiła się na paznokciu. – Ja lubię siebie teraz – powiedziała. – A zobacz, jestem na tym samym etapie co ty. Chodzimy razem na imprezy, mamy tych samych znajomych...

– Czyżby? – zapytała Iwona. – Monika, jesteście zupełnie w innym miejscu. Ty jesteś od dwudziestu lat matką, ten etap, o którym ja marzę miałaś, gdy my zdawałyśmy maturę i nawet o nim nie myślałyśmy. A teraz? Teraz już jest za późno!

– Iw...

– Co Iw? Nie porównuj się Monia do mnie. Chłoń swoje szczęście. Masz córkę, gdzieś w świecie, masz faceta, który na ciebie patrzy dokładnie tak samo, jak robił to dwadzieścia lat temu. A ja? Ja nie mam nic! – Iwona prawie wykrzyczała.

– Myślałam, że jesteś szczęśliwa.

– Szczęśliwa? Wiesz, na swój sposób wmawiam sobie to moje szczęście. Dużo podróżuję, czasem ekstremalnie, dlaczego? Bo muszę robić coś w wolnym czasie. Nie mam nikogo, kto by mi w porę powiedział, bym się zastanowiła, bo coś, za czym pędzę, jest niebezpieczne. Zwariowałabym, siedząc w domu i nie mogąc do nikogo otworzyć ust. Owszem, miałam facetów. Różnorakich. Ale trafiam na samych idiotów, którzy tylko chcą się ze mną przespać dla rozrywki, a potem wrócić gdzieś, by beztrudnie przeżyć dalej swoje życie. A zobowiązania? Never. Czasem zobowiązania mają w domu, u własnej żony, a ja jestem tylko rozrywką, z którą fajnie spędzić czas. Bo nie mam wymagań, nie czepiam się i jestem miła.

Monika zamarła. Moja kosmetyczka właśnie skończyła i mogłam otworzyć oczy. Spojrzałam na Iwonę.

– Co? Zdziwione? – zapytała z przekąsem.

– Iw...

– Co Iw? Wszystkie tutaj macie swoje domki uporządkowane jak kolorowe pudełeczka. A ja? Ja jedynie mam nadzieję. Nadzieję, że kogoś wreszcie spotkam. Teraz to nawet mam nadzieję, że los będzie cwany i podczas seksu z kolejnym nic niewartym facetem pęknie gumka albo stanie się cud i będę w ciąży. Bo jestem zbyt przyzwoita, by kogoś wrabiać z premedytacją.

– Iw... – Monika zamiast robić jej manicure, głaskała ją po dłoni.

– Przepraszam – szepnęła Iwona. Chwilę milczała. A potem uśmiechnęła się przez łzy. – A potem, jak już kogoś spotkasz i wydaje ci się, że mogłoby coś z tego być, bo i facet przyzwoity i wydaje się zupełnie normalny, to się okazuje, że jakbyś dobrze się postarała, możesz być jego matką.

– Czyli jest ktoś?

– Jest? Może i był przez chwilę. Ale co z tego, jak jest gówniarzem, a ja mam prawie

czterdzieści lat?

– A ile ma on? – zapytałam.

– Dwadzieścia osiem. – Pokręciła głową. – Nawet nie ma trzydziestki.

Siedziałyśmy w milczeniu.

– O Jezus, mało to kobiet ma młodszych facetów? – Monika wzruszyła ramionami, zabierając się ze zdwojoną energią do pracy.

– No na przykład kto?

– No... No...

– No widzisz. Nie wiesz. Bo to się nie dzieje naprawdę. To jest już nekrofilia! – wybuchnęła Iwona.

– Nekrofilia? Dziewczyno! – krzyknęła Monika. – Popatrz na siebie, jak ty wyglądasz!

Wyglądasz lepiej niż niejedna dwudziestka!

– Jasne – powiedziała z przekąsem Iwona. Z jej torebki dobiegł dźwięk telefonu. – Dzwoni już kolejny raz dzisiaj. A ja nie odbieram. Bo co ja mam mu powiedzieć? Że mogłabym być jego matką?

– Iw. Spokojnie.

– Ale ja już nie mogę spokojnie. Bo to nie jest to samo co z innymi. Inni mają przeszłość, były żony, prawie dorosłe dzieci. Nie mam wyrzutów sumienia, jak z nimi wychodzę wieczorami, a potem ląduję w łóżku. A on? On sam jest dzieckiem!

– Moja droga, nie takim znów dzieckiem – powiedziała Agnieszka. – Pokazuj nam go.

– Ale... Nie mam zdjęcia – Iwona nie patrzyła w oczy żadnej z nas.

– Na pewno masz. Jakieś selfie. Albo na Facebooku nam go pokaż. Na pewno jest. Jak gówniarz, to jest. Wszyscy tam są – stwierdziła Monika. – Nawet ja – dodała, po czym odwróciła się w stronę kosmetyczek. – Dobra, dzięki dziewczyny, możecie już iść. – Pożegnały się z wyraźną niechęcią. Najwyraźniej w tym spokojnym zazwyczaj gabinecie zaczynało robić się interesująco. – Dobra, koniec – dodała, wsmarowując krem w dłonie Iwony. – Pokazuj.

Iwona wyjęła z torebki telefon.

– Dzwonił siedem razy – powiedziała.

– I super.

Uruchomiła Facebooka na swoim smartfonie i uśmiechnęła się do zdjęcia, które od razu odnalazła. Odwróciła telefon tak, byśmy mogły zobaczyć.

– O zesz! – zawołała Monika.

Na ekranie zobaczyłyśmy wysokiego barczystego mężczyznę. Uśmiechał się do nas tak, że każda z nas w tamtym momencie z przyjemnością zamieniłaby się z Iwoną. Choćby na chwilę.

– No – powiedziała smutno Iwona.

– Ale czemu tak smutno? Powinnaś się cieszyć!

– Mój przy twoim wygląda jak podtatusiały koleś! – powiedziała Agnieszka.

– Jeszcze nie jest tak źle! – Pokręciłam głową.

– A dobrze wcale! – Zaśmiała się.

- No, ale co ja mam robić? – zapytała nerwowo Iwona.
- Jak to co? – zdziwiłyśmy się. – A co robiłaś do tej pory?
- Do tej pory się cieszyłam. I motyle w brzuchu i szczęście...
- A coś się zmieniło?
- No chce się wprowadzić do mnie!
- A ty nie chcesz?
- Jezu, czuję się jak stara matrona, która go bałamuci.
- Przestań...

- Powiedziałam, że będę mieszkać z facetem i prać jego skarpetki dopiero po ślubie.
- Głupiaś.

Iwona wzruszyła ramionami.

- I on chce się żenić.
- Co?
- No normalnie!
- Poprosił cię o rękę?

Pokręciła głową.

- Jeszcze nie, ale czuję, że zamierza to zrobić. I dlatego nie odbieram telefonu.
- Ja tutaj nic nie rozumiem – przyznała Agnieszka. – Kochasz go?

Iwona spojrzała na nią i podskoczyła jak oparzona.

- I to jak cholera!

Wszystkie odetchnęłyśmy z ulgą.

- No to najważniejsze.
- Ale on ma dwadzieścia osiem lat!
- Ty też kiedyś miałaś dwadzieścia osiem lat! – palnęłam.
- Zmarnuję mu młodość!

- Zapewne, jak go rzucisz to z pewnością – powiedziałam. – Jak długo jesteście razem?

- Trzy miesiące. Ja nie chciałam, naprawdę. Bo ja na początku nie wiedziałam, ile on ma lat. Jakoś nie podejrzewałam nawet, że nie ma trzydziestki. Poznaliśmy się na imprezie, chciałam się trochę pobawić, bo już serdecznie dość miałam szukania kandydata na męża, a potem pojechaliśmy razem na wakacje. Na dwa tygodnie w Alpy. Zaproponował mi, a ja wiecie, do podróży pierwsza. No to pojechaliśmy. W połowie zmieniliśmy pokój na jeden. Mało pamiętam w sumie z tego drugiego tygodnia, bo za bardzo po tych górach nie chodziliśmy... – Uśmiechnęła się.

- Boże, masz motyle? – zapytałam z zazdrością.

– Mam!

- Zazdroszczę!

- Potem więcej mieszkał u mnie niż u siebie. No i potem przyniósł swoją szczoteczkę i chciał półkę. I chyba się przestraszyłam.

- No, ale nie chcesz?

- No mówię wam, że chcę. Bardzo chcę! Ale bałam się, że on nie traktuje mnie poważnie, a potem zaczął o ślubie i dzieciach.

– Dzieciach! – zawołałyśmy obie z Agnieszką.

– No i co?

– No i to był impuls. Zrobiliśmy to kilka razy bez zabezpieczenia, a potem się przestraszyłam, że on wcale nie chce.

– Jesteś idiotką – powiedziała Monika. – Martwić to ja się mogłam, jak wpadłam z Krzyśkiem. Oboje ledwo byliśmy pełnoletni. A on? Stary chłop. Żenić się może.

– Nekrofilia albo zaawansowana geriatria – stwierdziła Iwona.

– Jasne, jak będziesz tak gadać, to na pewno. Geriatryczna nekrofilia.

– Czyli będzie ślub? – zapytała Agnieszka.

– A nie jestem nienormalna, że w ogóle dopuszczam do siebie taką myśl?

– No co ty!

– Jezu, czuję się, jakbym córkę za mąż wydawała! – powiedziała Monika. – Zrobimy cię na bóstwo! Włoski, makijaż, paznokcie – wyliczała. – O matko, po raz pierwszy w życiu zachciało mi się też ślubu!

– No to już! Może po dwudziestu latach czas najwyższy! – Roześmiałam się.

– Przemyślę to!

– Wiecie, bo ja się bałam, że do końca życia zostanę już sama. Ja nadal się tego boję. Nie chcę, żeby ktoś pomyślał, że go do czegoś zmuszam. Ale to raczej on mnie zmusza! Czuję się jak na karuzeli, nie mogę spać, nie mogę jeść. Nie mogę pracować! On mi nawet listy miłosne pisze i wkłada za wycieraczkę.

Uśmiechnęłam się na wspomnienie listów miłosnych. Pablo też pisał. Nie wkładał mi za wycieraczkę, bo nie miałam samochodu. Ale czasem znajdowałam je w plecaku czy w książce do matematyki na stronie z zadaniem domowym. Ach, jak zazdrościłam jej tych motyli. Tej lekkości kroku, gdy szła na spotkanie z nim, tej euforii w łóżku. Tej niepewności związanej z miłością, której tak nie lubimy, a zarazem kochamy. Zadzwoni – nie zadzwoni. A może ja powinnam pierwsza zadzwonić, a może on? Ile razy ja to już przerabiałam. Jak ja za tym tęskniłam!

I to chyba nie wróci...

Ale jak to? Tak już do końca życia bez motyli w brzuchu? Bez iskier w sypialni, bez oczekiwania na telefon, bez komplementów o świcie?

Jak to? Dlaczego? Ja chyba tak nie chcę!

Ja jestem jeszcze młoda! To nic, że mam prawie czterdzieści lat, ale ja znowu chcę kochać i być zakochana!

– Wojtek, chodź pójdziemy na randkę – zaproponowałam mojemu mężowi tamtego wieczoru. Leżał już w łóżku i chyba zasypiał, gdy się wsunęłam pod swoją kołdrę.

– Na randkę? – zapytał zaspanym głosem.

– Zaprosisz mnie na kolację albo do kina, albo gdziekolwiek. Wymyśl coś romantycznego. Ja założę czerwoną bieliznę, a ty będziesz udawał, że cię zaskoczyłam. I będziesz się do mnie powoli dobierał, a ja nie będę na to pozwalała...

– Kotek... Coś te spotkania z przyjaciółkami nie robią ci za dobrze. – Uśmiechnął się do mnie i ziewnął. – Pogadamy o tym jutro. Jak chcesz, mogę skombinować jakiś film,

zamówimy pizzę i sobie posiedzimy wieczorem.

No tak. Pizza i film w domowych pieleszach. Ja chciałam burzy z piorunami, gwałtownych wyładowań atmosferycznych. Wojtek zupełnie tego nie potrzebował. I dopiero teraz wiem, że mój mąż wtedy, jak zawsze, miał rację. Uzmysłowiłam to sobie jednak, jak już było za późno.

ROZDZIAŁ 9

CZEŚĆ, CO SŁYCHAĆ?

Iwona szalała. Zachowywała się tak, jakbyśmy na tamtym spotkaniu dały jej błogosławieństwo na nowej drodze życia. Jej Kajetan również szalał. Latał z kwiatami, jeździł z nią i załatwiał kościoły, sale weselne, angażował się na sto procent.

– A co na to teściowa? – zapytała Agnieszka, gdy spotkałyśmy się, by pomóc Iwonie wybrać suknię. Miałyśmy cztery faworytki i pojechałyśmy wieczorem do zamkniętego już salonu Moniki podyskutować na temat jednego słusznego wyboru.

– Teściowa jest ode mnie starsza o osiem lat. Mniejsza różnica wieku niż między mną a Kajetanem...

– No tak. To chyba nie będziesz do niej mówić „mamo”?

– Raczej nie. O ile w ogóle będę do niej mówić.

– Nie jest zadowolona?

– No nie wie, ile mam lat!

– O Jezu.

– No nic. Będę ukrywała wiek aż do śmierci. Zdaje sobie chyba sprawę, że jestem trochę starsza od Kajtka. Ale nie wie, że jedenaście lat. I jak tu wyprawiać czterdziestkę? Nie da się.

– Wesele wyprawisz.

– Zawsze to fajniejsza okazja.

– Mam swoje zdjęcia ze ślubu! – zawołałam. – Chciałam wam pokazać.

– Ja zapomniałam – wtrąciła Agnieszka.

– Nie szkodzi. Przyniesiesz następnym razem.

Oglądałam zdjęcia. Przez chwilę żyłam wspomnieniami. Jaka ja byłam wtedy szczęśliwa. W dniu mojego ślubu...

Po rozstaniu z Pablem byłam pewna, że nigdy się nie zakocham. Że po prostu nie potrafię już kochać. Zastanawiałam się, czy uda mi się stać z mężczyzną przed ołtarzem i z pełną świadomością powiedzieć „tak”. Udało się. Wojtka naprawdę kochałam. Imponował mi swoją dojrzałością, zaradnością. Tym, że zawsze mogę na niego liczyć. Może nie porywał mnie romantyzmem, szaleństwem, ale przez długie lata udało mi się wmówić, że romantyzm i szaleństwo to przeżytek. Naprawdę w to wierzyłam.

Teraz, gdy widziałam te rozkojarzone oczy Iwony i to szczęście malujące się na jej twarzy, bardzo jej zazdrościłam. I czułam jeszcze większą pustkę w moim życiu.

Tak już nigdy?

Nigdy tych iskier w oczach?

Nigdy emocji jak w amerykańskich komediach romantycznych?

Do końca życia flanelowa piżama i ciepłe skarpety, zamówiona pizza do filmu z DVD?

Ratunku!

Czułam się jak uwięziony motyl, który bardzo chce wyfrunąć.

Który nie wie, jak jest na zewnątrz, ale pachnie mu wolnością, słońcem i niesamowitymi kwiatami.

Późno wróciłam do domu. Jak zawsze pierwsze kroki skierowałam do dziewczynek. Poprawiłam kołdry, pogłaskałam. Nie lubiłam wychodzić wieczorami, bo to zaburzało nasze codzienne rytuały. Książka na dobranoc, wieczorne rozmowy na ważne kobiece tematy. Gdy były młodsze, lubiły, jak śpiewałam. Teraz już nie chcą. Cóż. Świat się zmienia.

Zajrzałam do sypialni. Mąż też się zmienia. Spojrzałam w lustro. I ja niestety też.

Tamtego wieczoru ogarnęła mnie dziwna melancholia. Miałam wszystko. Wspaniałą rodzinę, dom, dzieci. Pieniądzy mi wystarczyło w zasadzie na wszystko, czego potrzebowaliśmy. Czy można było chcieć czegoś więcej? Można było. I ja chciałam.

Wzięłam spod poduszki moją piżamę w kratkę. Wrzuciłam ją do brudów. Wyciągnęłam z szafy jedwabną kremową koszulę nocną. Kiedy ją miałam ostatni raz na sobie? Chyba dawno. Poszłam pod prysznic. Stałam pod nim dłuższą chwilę. Owinęłam się ręcznikiem i jeszcze raz zajrzałam do szafy z bielizną.

Gdańsk, 30 stycznia 1995

Moja Mała!

Nie mogę o tobie przestać myśleć. Nie mogę się uczyć, nie mogę czytać, nie mogę spać. Wszystko mi Ciebie przypomina. Nawet ołówek, którym ostatnio zawijałaś loki na swoich włosach.

Gdy zamykam oczy, wydaje mi się, że jesteś tuż przy mnie, że wystarczy rozchylić usta, a zaraz poczuję Cię tuż obok mnie, tak blisko.

Nie widziałem Cię dwa dni. A tęsknię.

Tak bardzo tęsknię! Nie rób mi tego więcej i nie wyjeżdżaj na weekend.

Proszę.

Beze mnie nigdzie nie wyjeżdżaj.

Byłem dzisiaj pod Twoim domem. Spoglądałem w Twoje okno. Miałem ochotę zadzwonić do Twoich rodziców i poprosić, by pozwolili mi chociaż trochę posiedzieć na Twoim tapczanie, położyć głowę na poduszce, poczuć Twój zapach.

To chyba nienormalne, co?

Nie wyjeżdżaj już nigdzie beze mnie.

To w ogóle było bez sensu. Miałem się uczyć – nie mogłem.

Kocham Cię. Nie mogę się doczekać, kiedy jutro Cię przytulę. Pewnie, gdy dostaniesz ten list, będziesz wyprytulana najbardziej na całym świecie.

Obiecuj mi, że jak będziemy już starzy, też będziemy się przytulać. Każdego ranka, każdego wieczora. Gdy będziemy za starzy na seks, cóż nam pozostanie?

Na przytulanie nigdy nie jest się za starym. A na seks? Pewnie tak. Tego jeszcze nie wiemy.

Mija już pięćdziesiąta godzina bez Ciebie. Jutro pojedę po Ciebie do domu i razem pojedziemy do szkoły. Już cieszę się na Twój uśmiech z powodu niespodzianki.

Pablo

PS. Jutro jest Międzynarodowy Dzień Przytulania! Ale trafiłem!

Uśmiechnęłam się. Wyciągnęłam kolejny list na chybił trafił. To był chyba jeden z ważniejszych listów. Jeden z ważniejszych dni w moim życiu.

Zakopane, 10 sierpnia 1995

Dziękuję, że mogłem być dla Ciebie tym najważniejszym mężczyzną.

Dziękuję. Piszę do Ciebie, a łzy wzruszenia lecą mi na papeterię.

Wybaczysz? Dzisiaj chyba wybaczysz, bo to był ważny dzień.

Dziękuję, że pozwoliłaś mi poczuć się mężczyzną, a sama byłaś kobietą.

Dziękuję za zaufanie. Teraz śpisz tu obok mnie, a ja nie potrafię zasnąć. Co chwilę mam ochotę Cię dotykać, by zobaczyć, czy to, co się stało między nami przed chwilą, to nie był jakiś cudny sen.

Boję się jednak, że jak Cię dotknę, obudzisz się.

Kocham Cię.

Pięknie wyglądasz. Pięknie pachniesz. Chcę Ciebie jeszcze. Teraz, zaraz, za chwilę. Jutro, za tydzień i za miesiąc. Do końca świata. Zawsze.

Pablo

Przypomniałam sobie tamten dzień, tamtą noc. Był czuły, cierpliwy, delikatny. To był najpiękniejszy pierwszy raz, jaki kobieta mogła mieć.

Usiadłam w fotelu z kieliszkiem wina w ręku.

Jak dużo się zmieniło od tamtego czasu.

Marzenia, bogate plany. Potem się wszystko popsuło. Los poplątał nitki naszego wspólnego życia na tyle, że rozsoplanie ich nie było już możliwe. Zdecydowaliśmy się je zerwać. Ciężko było. I bardzo bolało. Zdawałam sobie sprawę, że ponowne ich zawiązanie nie wchodzi w grę...

Drugi kieliszek.

Otworzyłam laptopa.

Facebook. Pablo Szadziński.

Dodaj do znajomych. Klik.

Paweł, cześć, co słyhać?

Ostatnio myślałam o Tobie. Minęło już tyle lat... Chyba żyjemy w zupełnie innych światach, bo nawet się nie spotykamy. Chodzimy w zupełnie inne miejsca, spotykamy zupełnie innych ludzi...

Czasami zastanawiam się, co robisz, czy jesteś szczęśliwy. Czy w jakiś sposób ułożyłeś sobie życie. Po tym, jak wyjechałeś na Erasmusa, nie mieliśmy w zasadzie kontaktu... Szkoda, że tak to wszystko wyszło.

Czasem się zastanawiam, co by było gdyby. I nie wiem. Sama nie wiem.

Wiem jednak, że nasz związek był na tyle silny, że po tych dwudziestu latach przeczytasz tę wiadomość i napiszesz mi, co u Ciebie słyhać.

Zupełnie przez przypadek wpadły mi w ręce Twoje listy. Kilka przeczytałam. Pięknie pisałeś. Powinieneś pisać książki. Zawsze Ci to mówiłam. I wiesz? Piękne było to, co kiedyś nas łączyło. Człowiek docenia pewne sprawy po czasie i wspomina je z cudownym rozrzewnieniem.

U mnie mąż. Od piętnastu lat ten sam. Dwie precudne córki. Piszę scenariusze zajęć dla jednej z firm szkoleniowych. Uciekłam ze szkoły. Chyba wiedziałeś, że pracowałam w szkole?

Pewnie tak.

Codzienna polska zwyczajność.

Widziałam się ostatnio z dziewczynami z naszej klasy, Iwona mówiła, że Cię spotkała kiedyś na jakiejś imprezie. Zupełnie inny świat. Ja na imprezy chodziłam sto lat temu. Teraz wiesz, stałam się bardzo domowa i mało rozrywkowa. Chociaż czasem tęsknię za szaleństwem.

Starość? Może trochę. Niedługo zaśpiewam sobie „Czterdzieści lat minęło jak jeden dzień”. Pamiętasz, wydawało nam się, że jak będziemy mieli po czterdzieści lat, to będziemy bardzo starzy?

Gdy zaczęliśmy się spotykać, nasi rodzice byli niewiele starsi. Wydawali nam się takimi autorytetami pod każdym względem.

Czy ja jestem takim samym autorytetem dla moich dzieci?

Nie wiem.

Ale wiem, że jestem mądrzejsza, niż byłam dwadzieścia lat temu. I tak czasem sobie myślę, że gdybym była taka te dwadzieścia lat temu, mogłabym zawojować świat.

Nie byłam.

Nie zawojowałam.

Żyję sobie spokojnie. A Ty?

Mam nadzieję, że gdzieś tam w świecie znalazłeś szczęście.

Pozdrawiam Cię serdecznie. Napisz, co słyhać.

Zuzanna.

Może nigdy nie powinnam wysyłać tej wiadomości. Może gdybym nie wypila sama prawie całej butelki wina, może gdybym wcześniej nie przeczytała listów od niego, nie zdarzyłoby się to.

Jednak wypilałam to wino i czytałam listy.

Każdą komórką ciała czułam jego miłość. Tę sprzed dwudziestu lat. To było tak dawno! Jego twarz zamazywała mi się już przed oczami, jego zapach był jedynie wspomnieniem, ale wciąż żywym i intensywnym.

Gdy kliknęłam, zaraz pożałowałam.

Zrobiłam z siebie wariatkę.

Po dwudziestu latach piszę do miłości mojego życia „Cześć, co słyhać”. Burzę jego poukładany świat i psuję porządek w mojej głowie.

Jeszcze nie tak dawno śmiałyśmy się z dziewczynami, że ostatni kieliszek wina należałoby zagryźć kartą SIM, by nie narozrabiać po alkoholu. W moim wypadku powinnam przegryźć kabel od zasilania routera. Tak, by nie było kontaktu ze światem.

Co ja najlepszego zrobiłam?

„Użytkownik Pablo Szadziński zaakceptował twoje zaproszenie do grona znajomych”.

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 1

BEŻOWE SZPILKI ZAMIAST TRAMPEK

Tamtej nocy nie przeczytałam informacji o tym, że Paweł przyjął mnie do grona znajomych. Wtedy spałam już ufnie wtulona w ramiona mojego męża. Może wtulona to za dużo powiedziane. W nocy nie nadawał się do przytulania. Spał dość niespokojnie i każdy dotyk potrafił go skutecznie wybudzić nawet z najgłębszego snu. Dlatego też się nie przytulałam. A tak bardzo mi tego brakowało.

Znowu przypomniał mi się Paweł. On lubił mnie czuć całą noc. Może dlatego, że te noce były tak rzadkie. Przecież nie mieszkaliśmy razem, a wspólne wyjazdy na weekend czy na wakacje należały do rzadkości. Tak kochałam z nim spać i budzić się przy nim. To było lepsze niż wspólne noce. Pocałunki na dobranoc i na dzień dobry. A w środku nocy mocny uścisk – taki, że czasem nawet ja nie mogłam zasnąć, bo mi było po prostu niewygodnie.

Spaliśmy wtuleni w siebie tak, że tapczan o szerokości dziewięćdziesięciu centymetrów zupełnie nam wystarczał. A teraz z Wojtkiem? Nasze łóżko ma metr czterdzieści i czasem jest nam w nim ciasno.

Zrobiliśmy się zbyt wygodni.

Każdy ma osobną kołdrę, by móc się nią otulić i osobne poduszki. Nasze kontakty w łóżku ograniczały się do seksu tuż przed snem. Często krótkiego, cichego, bo tak trzeba, bo tak wypada, bo akurat jesteśmy obok siebie, a przecież seks jest w sumie całkiem fajny. O ile się nie jest zmęczonym. A byliśmy zmęczeni nieustannie. Ja miałam na głowie pracę, dzieci, a Wojtek rozwijał cały czas swoją firmę. Rozwijał ją już od kilku dobrych lat, robił to bardzo prężnie, więc zamiast dłuższych wakacji, miał coraz więcej pracy. Ot, życie.

Na Facebooka zajrzałam dopiero następnego dnia po pracy. Dziewczyny odrobiły już lekcje, zjadły kolację i myły zęby, gdy ja odczytałam wiadomość.

„Użytkownik Pablo Szadziński zaakceptował twoje zaproszenie do grona znajomych”.

W folderze „Wiadomości” była jedna właśnie od Pawła.

Serce mi mocniej zabiło. Po dwudziestu latach? No, może po szesnastu. Piętnastu. Ile to już lat minęło tak naprawdę? Nie liczyłam. Wystarczająco dużo, by to serce nie tłukło się w piersi jak oszalałe.

Cześć Zuzanko!

Jak miło Cię zobaczyć... Przeczytać...

Wiesz, że myślałam o Tobie? Intensywnie, przez ostatni tydzień. Ktoś przechodził obok mnie i pachniał dokładnie tak jak Ty. Czy to nie dziwne, że po tylu latach wciąż pamiętamy zapachy, które nam się z kimś ważnym kojarzyły?

I czułem ten zapach i nagle wiadomość od Ciebie.

Chciałem już dawno się do Ciebie odezwać, ale pomyślałem, że może nie chcesz... Bo gdybyś chciała, zrobiłabyś to już dawno... Wiesz, że nie lubię się narzucać.

Pół nocy oglądałem Twoje zdjęcia.

Zapomniałem, jaka Ty jesteś piękna. Gdy Cię ostatni raz widziałem, byłaś młodą dziewczyną, teraz dojrzałość dodała Ci jeszcze więcej kobiecości...

Aż człowiek żałuje... Nic więcej nie napiszę.

Co u mnie?

Wiesz, że nic? Jestem w swoim życiu tuż za rozdrożem. Wybrałem jedną z dróg – czy słuszną? To się okaże. Nie mam dzieci... Nie mam żony. Już nie mam żony. Rozwiodłem się pięć lat temu. Została w Szwajcarii, ja jestem tutaj. Wolny ptak szukający trochę miejsca w życiu.

Zobacz, minęło tyle lat, a ja w zasadzie w tym samym miejscu, co byłem.

Zawodowo z pewnością lepiej, ale prywatnie?

„Bo kto już kochał raz

Aż do utraty tchu

Ten będzie w oczach gasł

I cierpiał chłód

Przez wiele zim

Wiele zim”

A u mnie dzisiaj bardzo chłodna noc.

Dobranoc.

Mam nadzieję, do „napisania”. A może i usłyszenia? O „do zobaczenia” nawet nie marzę...

Paweł

PS. Przypomniało mi się, że mówiłaś na mnie „Pablo” – przyłgnęło to do mnie... Chyba powinienem się tak podpisać...

O Boże. Odpisał. Po tylu latach. Zaczęłam oglądać jego zdjęcia. Klik, klik po kolei. Jakiś jacht, wino, impreza. Pablo w garniturze. W garniturze widziałam go rzadko, tylko na egzaminach. Wyglądał zawsze jak bohater z zupełnie innej bajki, który przez przypadek trafił do wymuskanego świata. Teraz na co drugim zdjęciu miał marynarkę. Krawat, muszka, smoking.

Blondynka, brunetka. Jedna starsza, druga zupełnie młoda. Umorusany od błota w koszulce z napisem „Runmagedon 2015”.

Twarz zupełnie inna, ale zarazem tak znajoma. Kiedyś znałam jej każdy szczegół, dotykałam jej każdego dnia. Nie mogłam bez niej żyć.

I tak nagle przerwaliśmy tę nić. Sami z własnej woli. Nikt nam nie kazał. To była nasza wspólna decyzja. Może bardziej moja. Mimo iż to ja zrywałam, bolało mnie tak samo. A teraz zupełnie nie wiadomo, dlaczego trzymam tę oderwaną nitkę i zastanawiam się, czy ponownie dowiązać ją już do swojej.

Ale po co?

Bo chcę? Bo czuję mrowienie w podbrzuszu, a wspomnienia wywołują we mnie uczucia, o których już dawno zapomniałam?

Pablo, Ty nosisz garniturę! Jestem w takim szoku, że nie wiem, co napisać!

Wystukałam tę wiadomość w komórce.

Jeszcze nie przeczytał – sprawdzałam kilka razy. Komórkę schowałam do kieszeni.

A Ty nosisz dłuższe spódniczki. To chyba niedobrze? Ale też większe dekolty. To chyba dobrze?

Uśmiechnęłam się. Był online. Dochodziła dwudziesta druga. Usiadłam w kuchni przy laptopie.

– Nie idziesz jeszcze spać? – zapytał Wojtek.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Mam jeszcze kilka spraw do zrobienia – skłamałam. Zupełnie nie wiem, dlaczego skłamałam. – Na jutro muszę szkolenie dokończyć.

– No to dobranoc. Ja jestem dziś zmęczony. Jakby coś wisiało w powietrzu.

Spojrzałam na niego z przestraczem.

– Grypa, zaziębienie albo coś. – Wzruszył ramionami. Wziął z szafki aspirynę, rozpuścił ją na łyżce z wodą i popił resztą mojej herbaty.

– No wiesz co? Herbatę mi wypijeś!

– Zrobisz sobie drugą. – Pocałował mnie w czubek głowy. Zerknął na ekran komputera.

– Ty pracuj, a nie na Fejsie siedź. Znowu będziesz niewyspana.

Pokiwałam głową i zamknęłam okienko Facebooka. Gdy tylko wyszedł z kuchni, znowu otworzyłam.

Ja: A kiedyś nie nosiłam dekoltów? Wydaje mi się, że od zawsze...

Pablo Szadziński: Kiedyś nosiłaś do szkoły biały sweterek. Pamiętam go jeszcze.

Ja: Bez dekoltu.

Pablo Szadziński: Bez. Dekolt oglądałem po szkole...

Ja: I co ja mam teraz napisać?

Pablo Szadziński: Spłonąć rumieńcem masz!

Ja: Płonę!

Pablo Szadziński: Rumieńcem? Czy...

Ja: Oczywiście, że rumieńcem. A czym niby jeszcze?

Pablo Szadziński: Są inne rzeczy, które powodują płomień...

Ja: Na przykład?

Pablo Szadziński: Na przykład papieros.

Ja: Wiedziałam. Jednak nie palę!

Pablo Szadziński: Ja też nie. A tak na poważnie... Wspomnienia.

Ja: Znowu nie wiem, co napisać.

Pablo Szadziński: A nie mam racji?

Ja: Masz...

Pablo Szadziński: A poza tym spadłaś mi z nieba.

Ja: ??

Pablo Szadziński: A miałybyś czas na kawę? Chodzi o sprawy zawodowe. Napisałybyś mi coś?

Ja: To prawnicy nie potrafią pisać?

Pablo Szadziński: Na pewno piszą gorzej niż poloniści.

Ja: Być może...

Pablo Szadziński: Z pewnością... To kiedy?

Ja: W zasadzie mogę tylko wieczorami, gdy dzieci śpią.

Pablo Szadziński: Jasne. To, że masz dzieci nadal mnie napawa zaskoczeniem.

Ja: Są dla mnie najważniejsze. Ty nie masz dzieci?

Pablo Szadziński: Nie. Widać nie było mi to pisane.

Ja: Widać nie...

Pablo Szadziński: Wtorek? Dwudziesta?

Ja: Dobrze. Gdzie?

Pablo Szadziński: Sopot? Czy przyjechać po Ciebie?

Ja: Nie, dojadę sama.

Pablo Szadziński: Świetnie!

Ja: To do zobaczenia. Krzywy Domek?

Pablo Szadziński: Super. Będę czekał.

Ja: Dobranoc.

Pablo Szadziński: Dobrej nocy. Pamiętaj, co powodują wspomnienia.

Ja: ??

Pablo Szadziński: Ogień.

Uśmiechnęłam się. Ta krótka rozmowa sprawiła, że znowu przez chwilę miałam osiemnaście lat i przypominałam sobie uczucie „chciałabym, ale się boję”. I to było bardzo, bardzo przyjemne.

Wyłączyłam komputer.

O Boże. Wtorek. Poszłam do łazienki, dokładnie zmyłam makijaż. Uśmiechnęłam się do swojego odbicia.

Wtorek.

Nałożyłam na twarz grubą warstwę maseczki nawilżającej. Takiej, której nie trzeba zmywać. Założyłam koszulę nocną i poszłam do łóżka.

Zapaliłam małe światełko, by podłączyć ładowarkę. Wojtek się obudził i mruknął:

– O Jezu, co ty masz na twarzy?

Nie czekając na odpowiedź, zasnął.

Oczywiście wierzyłam w magiczną moc maseczki, która do wtorku zrobi ze mnie bóstwo. Położyłam się, uważając, by nie pobrudzić poduszki.

Zamknęłam oczy. Faktycznie. Wspomnienia wywoływały we mnie ogień. Nie tylko te sprzed dwudziestu lat, ale również ta krótka rozmowa sprzed kilku minut, podczas której dowiedziałam się, że mam cudny dekolt, jestem piękna, ładnie pachnę i ktoś marzy, by się ze mną spotkać jak najszybciej. Tyle cudnych słów podczas tych kilku minut. A jak wiadomo, kobiety są bardzo wrażliwe na słowa.

Ja również kochałam, gdy ktoś do mnie w ten sposób mówił. Jednak już zupełnie zapominałam, jak to jest. Ta krótka rozmowa mi przypomniała. I naprawdę poczułam

ogień. Wtedy jeszcze nawet przez myśl mi nie przeszło, że będę się grzać w jego ciepłe. Tym bardziej nie pomyślałam o tym, że mogę się sparzyć.

- Zajmiesz się we wtorek dziećmi? – zapytałam Wojtka następnego dnia przy śniadaniu.
 - A co, znowu babskie spotkanie? Ostatnio coraz częściej!
 - Wiesz, Iwona za mąż wychodzi, dzieje się. – Uśmiechnęłam się do niego.
 - Mama, ale nie wychodź znowu – poprosiła Iga.
 - Ale wyjdę, jak już będziecie w łózkach! – uspokoilaam córkę, gładząc ją po policzku.
 - A książka? – zapytała Pola.
 - Tata też umie czytać, o ile się nie mylę.
 - Ale tata nie czyta tak fajnie jak ty. – Iga się zasmuciła.
 - Dzisiaj wam poczytam.
 - Obiecujesz?
 - Obiecuję.
 - No, ale halo, ja się jeszcze nie zgodziłem – oponował Wojtek. – Znowu wychodzisz się bawić! A ja kiedy?
 - Ty w sobotę. Ale uwaga, nie idę się bawić! Idę do pracy!
 - O! A niby gdzie ty pracujesz po dwudziestej? – Spojrzał na mnie. – Czy ja o czymś nie wiem i powinienem się martwić? Branżę zmieniłaś? Kluby nocne i te sprawy? Rura? Pole dance to się chyba nazywa.
 - Nie! – Roześmiałam się. – Po prostu odezwał się do mnie... – Zupełnie nie wiedziałam, jak określić Pawła. – Kolega z liceum. Potrzebuje pomocy w napisaniu kilku tekstów. Obiecałam, że na to spojrzę.
 - A nie możesz spoglądać na to w dzień? Jak normalny człowiek?
 - Normalni ludzie w dzień siedzą za biurkiem w swoich zakładach pracy, nie wiem, czy pamiętasz. Nie wszyscy normalni ludzie mają swoje firmy, które wciąż rozwijają, ale dzięki temu są sobie sterem, żeglarzem i okrętem. I też nie wszyscy ludzie mówią, że granie w squasha to spotkania służbowe. Też bym sobie pograła w ramach godzin pracy.
 - No racja. Idź, jak musisz. Mam nadzieję, że zarobisz mnóstwo pieniędzy i nie będę musiał pracować.
 - Chyba byś nie wytrzymał – stwierdziłam.
 - Masz rację. Ale mógłbym wtedy bez wyrzutów sumienia chodzić na tego squasha.
-

Przed wtorkowym spotkaniem poszłam do fryzjera i ufarbowałam odrosty. Nie miałam kompleksów mojej siwizny, bo siwa byłam już w wieku dwudziestu lat. Genetyka, to po mamie. Taka moja uroda. Pamiętam, jak Pablo wyrwał mi wszystkie siwe włosy. Pojedynczo. Bardzo mnie to denerwowało.

– A jak będę zupełnie siwa, to wszystkie mi je wyrwiesz? – pytałam wkurzona za każdym razem, gdy poczułam bolesne szarpnięcie na głowie.

– Wtedy się będę zastanawiał – mówił.

Teraz tych siwych włosów było zdecydowanie więcej. Powiedziałabym, że było więcej siwych niż brązowych. Cóż, bywa. Regularnie farbowałam.

Potem poszłam do Moniki, by zrobiła mi paznokcie.

– Hybryda. I masz na trzy tygodnie spokój – stwierdziła. – Trzeba sobie upraszczać życie.

Faktycznie. Cuda i nowinki kosmetyczne ułatwiały życie zapracowanym kobietom. Makijaż permanentny, sztuczne rzęsy, wypełnione usta, doczepiane włosy. I budzisz się rano i wyglądasz dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy szłaś spać. A nawet jeszcze wcześniej. Wyglądasz dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy byłaś gwiazdą na kolejnym obowiązkowym bankiecie organizowanym przez twoją korporację.

Przypomniałam sobie nasze ekstremalne biwaki z Pawłem. Gdy spaliśmy gdzieś w środku lasu, bez żywej duszy wokół. Gdy sami budowaliśmy sobie szałas, zbieraliśmy gałęzie na ognisko. Chyba sztuczne rzęsy i hybrydowy manicure na paznokciach nie zdałyby wtedy egzaminu. Chociaż może się mylę?

– Strasznie dużo czasu to wszystko zabiera... – powiedziałam, spoglądając na zegarek.

– Co? – zapytała Monika.

– No to, by człowiek był piękny. – Westchnęłam.

– Dużo? To oszczędza czas. Nie musisz już spędzać przed lustrem każdego poranka.

– No tak, ale ja i tak nie spędzam. Chyba nie dbam specjalnie o siebie. Dopiero niedawno zaczęłam używać kremu...

– Niedobrze... – Pokręciła głową, ze skupieniem malując mi paznokcie krwistoczerwonym lakierem. – Może czas zacząć? Kiedy masz dbać, jak nie teraz? Jak już będziesz stara? Nastąpi to szybciej, niż nam się wydaje. Klimakterium się zbliża.

– Monia, jakie klimakterium? – zdziwiłam się.

– Normalne. – Monika wzruszyła ramionami. – Menopauza.

– To jeszcze za szybko...

– A mnie się wydaje, że czai się za rogiem. Tuż, tuż...

– Jak to? Gorzej się czujesz?

– Gorzej. Wszystkie objawy mam i na dodatek już dwa miesiące nie miałam okresu. Dzwoniłam do mojej lekarki, powiedziała, że jest to możliwe. – Westchnęła. – Moja mama też miała szybko... Rozmawiałam z nią na ten temat. Czterdzieści dwa lata i koniec. Nocne poty, huśtawka nastrojów...

– Powinnaś iść do lekarza. Przecież są na to plastry czy inne specyfiki.

– Idę w przyszłym tygodniu. – Znowu westchnęła. – Niech mi coś da, bo naprawdę nie mogę normalnie funkcjonować. Cholernie to utrudnia życie! I mi, i Krzyśkowi... Bo zupełnie straciłam nim zainteresowanie!

Nie spodziewałam się, że to już. Że może dotknąć już teraz którąś z nas. Fakt, Monika mogłaby być już babcią, gdyby jej córka się postarała tak szybko o dziecko, jak ona. Jednak Julce ciąży nie były w głowie, pilnie studiowała, nie podejrzewając zupełnie, co hormony wyczyniają w organizmie jej, przecież jeszcze zupełnie młodej, matki!

Wyszłam od Moniki i popędziłam po dziewczynki do szkoły. Wszędzie pęd. Rano szybko, po południu szybko. W pracy szybko, w domu jeszcze szybciej. By ze wszystkim zdążyć na czas, który biegł nieubłagane. Wskazówki zegarka przesuwają się płynnie, niczym wytrzymały ultramaratończyk, który biegnie swoim tempem i nie czeka na nikogo.

„Slow life” mnie prześladował. Niestety nie w moim życiu, a w telewizji i w bardzo kolorowych czasopismach, na których czytanie i tak nie miałam czasu.

Nawet slow jogging, na który zabrała nas kiedyś Iwona, był dla mnie zbyt szybki i odpadłyśmy z Agnieszką zziębnięte po pięciu minutach.

Chociaż były chwile, gdy zwalniałam. Na urlopach. W każdym razie bardzo się starałam zwalniać.

– Czy wiecie, co to znaczy, że mama ma urlop? – pytałam pierwszego dnia wakacji moje dziewczyny.

– To znaczy, że nie musimy się wcale spieszyć! – odpowiadały z radością, biegając wokół mnie niczym dwie satelity.

I potem do akcji wkraczał mój mąż, który zaczynał nas popędzać. Żeby szybciej się pakować, szybciej wyjeżdżać, szybciej wchodzić do samochodu. Potem popędzał innych kierowców na drogach, bo chciał wcześniej zajechać na miejsce – jeszcze przed wszystkimi, by potem szybko zwiedzać, bo nie zdążymy wszystkiego zobaczyć w ściśle wypełnionym atrakcjami harmonogramie.

Ratunku!

Czy po to człowiek uczy się życia tyle czasu, by pędzić?

Do czego to doszło, że nie umiemy już wykonywać jednej czynności naraz? Gdy oglądałam telewizję, równocześnie przeglądałam swojego smartfona, gdy czytałam książkę – w tle leciała muzyka.

Próbowałam medytować, bo przecież to idealne dla zdrowia. Psychicznego i fizycznego również. Ale po dwóch minutach siedzenia beczynnie na dywanie byłam jedną wielką frustracją spowodowaną poczuciem marnowania cennego dla mnie czasu. Czasu, w którym mogłabym zrobić milion różnych niezbędnych do życia rzeczy.

Czy one faktycznie były niezbędne?

Nowinki techniczne powinny poprawić nasze życie, dodać nam tego czasu więcej. Powodują jednak, że nasze głowy są tak zaangażowane do obsługiwanie tych gadżetów, że nawet nie mamy czasu pomyśleć nad sobą.

Kiedyś Agata Christie powiedziała, że najlepiej jej się wymyśla fabuły książek podczas zmywania brudnych naczyń. My mieliśmy zmywarę. Nie mogłabym zatem być pisarką.

Gdy dzieci były małe, spędzałam długie chwile na rozmowie samej ze sobą podczas wieszania maleńkich skarpetek. Wieszalam i rozmyślałam. Potem dla oszczędności czasu kupiliśmy suszarkę.

Oczywiście cieszyłam się, że mam suszarkę, że jest mi wygodniej, że nie muszę wieszać miliona różowych szmatek na linie, ale dopiero niedawno do mnie dotarło, że znikły te chwile spędzane sam na sam ze sobą.

Jak brakowało mi w życiu takiego luzu. Luzu i beztroski.

Szkoła moich dziewczyn również w nich tę beztroskę zabijała. Szkoła i telewizja. I obserwacja świata wokół nas.

Teraz nie wychodzisz po prostu na spacer. Idziesz na trening. Spacer nie jest spacerem a marszem. Albo marszobiegiem. Ewentualnie może to być nordic walking. Nie wychodzisz z dzieckiem lepić bałwana i rzucać się śnieżkami. Ty wychodzisz dbać o kondycję fizyczną swojego dziecka.

Cały czas w ścisłych ramach korporacji. Korporacji zwanej życiem. Ale sami brniemy w to coraz dalej, coraz głębiej. Ratunku... Czy jest dla nas jakaś nadzieja w tym pędzącym z szybkością światła świecie?

– To jakieś oficjalne spotkanie, że się tak stroisz? – zapytał mnie Wojtek, obserwując moje zmagania z szafą. A raczej z jej zawartością.

– Trochę tak, trochę nie.

– Kto będzie?

– No mój kolega...

– Sam? – zapytał niewinnie Wojtek. Pytanie było niewinne, a ja poczułam się, jakbym robiła coś bardzo złego.

– Nie – skłamałam. – Jeszcze chyba jego współnik... – powiedziałam. – I jakaś babka odpowiedzialna za marketing... – dodałam szybko. Zupełnie nie wiem, dlaczego skłamałam. Podświadomie czułam, że to, co robię nie podobałoby się mojemu mężowi.

– Że też im się chce spotykać tak wieczorem. – Wzruszył ramionami. – Mnie to wieczorem chce się już jedynie poleżeć z pilotem w ręku.

Zauważyłam.

Nie powiedziałam jednak tego na głos.

– Ty masz zamiar tak iść? – zapytał, patrząc na mnie.

– A co jest nie tak?

– No... Dekolt.

– Guzika nie zapięłam. – Uśmiechnęłam się. – Nie musisz się martwić – powiedziałam, zapinając dwa górne guziki w kremowym sweterku, który miałam na sobie. Owinęłam się szalem.

Gdy tylko zajechałam do Sopotu i zaparkowałam, szal rozwiązałam, a obydwie guziki ponownie rozpięłam.

Paweł lubił dekolty.

Dlaczego nie miałam mu pokazać się z tej najlepszej strony? Poprawiłam usta bladoróżową szminką, za uszami wtarłam perfumy i wyszłam z samochodu.

Czy gdybym wiedziała, do czego doprowadzi to spotkanie, wyszłabym?

Nie wiem.

Towarzyszyły mi tak silne emocje, jak przed pierwszą randką. Jak kiedyś, dawno, dawno temu, gdy w czerwonych trampkach biegłam na spotkanie z nim, jeszcze pod kinem Neptun w Gdańsku. Kino już dawno nie istnieje, ale podejrzewam, że wielu

ludziom w moim wieku jest szczególnie bliskie. Właśnie ze względu na te pierwsze randki, pierwsze spotkania, niewinne pocałunki podczas filmu. A czasem coraz odważniejsze pieszczoty.

Teraz czułam dokładnie to samo. Tylko że na nogach nie miałam czerwonych trampek, a beżowe szpilki. I nie biegłam, a starałam się iść spokojnie.

Nie czekał też na mnie kruczoczarny Pablo z półdługimi włosami, tylko czterdziestoletni szpakowaty mężczyzna. Niby ten sam, który witał mnie przed dwudziestoma latami szerokim uśmiechem, ale jednak zupełnie inny.

Stał pod Krzywym Domkiem. Był chyba nieco niższy niż w moich wyobrażeniach. A może to ja miałam wyższe obcasy niż zazwyczaj?

Nie wiem.

Najważniejsze było to, że witał mnie dokładnie ten sam uśmiech, który kochałam tak dawno, dawno temu. I dreszcz emocji pozostał również dokładnie taki sam.

ROZDZIAŁ 2

PRZED PIERWSZĄ RANDKĄ

Jego oczy również się śmiały. Czy ja powinnam rzucić mu się w ramiona? Czy po prostu podać rękę? Czy pocałować go w policzek? Czy dać się przytulić?

Pytania bombardowały mnie z każdej strony.

Czułam się jak przed pierwszą randką. Z jednej strony euforia, a z drugiej strach. Miałam prawie czterdzieści lat, a w damsko-męskich sprawach byłam wciąż nieśmiałą nastolatką. Mimo że seks nie był mi obcy, miałam dwójkę dzieci i byłam na tyle dorosła, że każdy zwracał się do mnie „proszę pani”.

Pożałowałam natychmiast moich szpilek, czerwonych paznokci i dwóch guzików rozpiętych w moim sweterku. Lepiej było założyć trampki i džinsy. Jak kiedyś. Jak wtedy, gdy leżałam z nim na trawie w Parku Oliwskim, mimo iż tam wtedy na trawie nie wolno było leżeć.

Gdy mnie zobaczył, natychmiast zaczął iść w moim kierunku. Rozłożył szeroko ramiona. To wyszło jakoś samo. Staliśmy przez chwilę mocno do siebie przytuleni. Z kącików moich oczu popłynęło kilka łez.

Zauważył to.

– A może nie mogłem? – zapytał.

– Mogłeś. – Uśmiechnęłam się. – Przecież znamy się nie od dziś.

– Wejźmy do środka. – Otworzył przede mną drzwi i obejmując mnie ramieniem, zaprosił do środka.

– Może sushi? Kawa? Na co masz ochotę?

Roześmiałam się. Spojrzał zaskoczony.

– Nic, nic... Przypomniałam sobie, jak chodziliśmy często na bułkę i mleko acidofilne truskawkowe.

– To co? Zmieniamy lokal na Żabkę? Albo inną Biedronkę? Tylko nie wiem, czy dostaniemy tam mleko acidofilne...

– Nie. – Pokręciłam głową. – Lubię sushi.

– Tak myślałem – powiedział zadowolony z siebie. – Byłem tego pewny.

– Skąd ta pewność? – Oddałam mu płaszcz i usiadłam na krześle.

– Trochę się znamy...

– Znaliśmy... – poprawiłam.

– Myślisz, że tak dużo się zmieniło?

– Nie wiem – powiedziałam. – Dzisiaj ty masz siwe włosy.

– A ty jesteś kobietą. I masz cudowne takie kreseczki w kącikach oczu. – Dotknął

palcem mojej twarzy.

Zadrżałam.

– Zmarszczki – szepnęłam.

– Przepraszam – powiedział i cofnął swoją dłoń. – Nie wiem, co mogę, a czego nie mogę.

Czuję się trochę, jakbym cofnął się w czasie. Albo jakbyśmy nadal chodzili do liceum i przez te dwadzieścia lat nic pomiędzy nami się nie zmieniło. Tylko po prostu wyszliśmy sobie na sushi.

– Ale się zmieniło – powiedziałam twardo. Tak bardzo obiecywałam sobie, że będę twarda.

– Niestety – przyznał.

Przez chwilę nic nie powiedziałam.

– A gdyby nie było tamtych lat? – zapytałam w końcu. – Tych, w których się ani razu nie spotkaliśmy?

– To nie siedzielibyśmy tutaj razem – stwierdził.

– Nie? – Zdziwiłam się.

– Nie. Bylibyśmy razem w wielkim łóżku i sprawdzałbym teraz, jak wyglądasz nago jako kobieta, a nie jako młoda dziewczyna.

Zrobiło mi się gorąco. Rozwinęłam apaszkę, którą znowu zasuplałam sobie, gdy szłam na spotkanie.

– Dekolt. – Spojrzał na moje piersi.

– Gorąco mi się zrobiło – powiedziałam.

– Od moich słów?

– Też. I od wspomnień. Mówiłeś, że wspomnienia to ogień.

– Ogień. Zawiąż tę apaszkę. – Uśmiechnął się do mnie, próbując zawiązać końce mojego szalika.

Uśmiechnęłam się prowokująco.

– Gorąco.

I rozpięłam jeszcze jeden guzik, chociaż wydawało mi się, że rozpięcie kolejnego jest już niemożliwe.

Zupełnie nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Może dlatego, że cudownym uczuciem było widzieć, jak Pablo reaguje na mnie po tych wszystkich latach. Że dwie cięższe, szesnaście kilo na plusie, nie tak jędrne piersi przyciągają go dokładnie tak samo, jak wtedy, kiedy moje ciało było wręcz idealne.

– Pięknie wyglądasz. Bałam się tego spotkania. Bo bałam się, że właśnie tak będzie. A z drugiej strony łudziłem się, że się spotkamy, pogadamy i rozejdziemy każdy w swoją stronę.

– A tak nie będzie?

– Nie wiem. Nie chciałbym tego. Myślałem, że człowiek nie pamięta swoich młodzińskich miłości. Że po tylu latach nie ma już chemii, nie ma sentymentów...

– Może zatem byłoby lepiej, gdybyśmy się nie spotkali? – zapytałam.

– Nie wiem. Po prostu nie wiem. Chociaż życie jest takie krótkie. – Zamyślił się. Nalał

ryżową herbatę najpierw mi, potem sobie. – Wiesz, co jest najdziwniejsze? – Spojrzałam na niego z zaciekawiona. – Wydaje mi się, że znam cię bardzo dobrze – powiedział po chwili. – Kiedyś znałem każdy zakamarek twojego ciała. I czuję się teraz bardzo niezręcznie, wiedząc, że nie mogę cię dotknąć, nie mogę przytulić, nie mogę pocałować. To dla mnie jest wręcz absurdalnie śmieszne! Przecież robiłem to już tyle razy i nagle po prostu nie mogę! Byłaś cała moja, a teraz nie jesteś. To jest jak zły sen!

Czułam dokładnie to samo. Jakby pomiędzy dwojgiem ludzi, którzy są dla siebie stworzeni postawiono nagle przezroczystą szybę i pozwolono na jakikolwiek kontakt tylko przez ten zimny, mało przyjazny materiał. Jakby nagle stanęła przed nami niewidzialna bariera, przeszkoda, której pod żadnym pozorem nie wolno przekroczyć.

Niewidzialna bariera?

Ależ skąd. Była całkiem widzialna. Nazywała się Wojtek i dokładnie w tym samym czasie czytała dzieciom bajkę na dobranoc.

Wtedy po raz pierwszy zastanowiłam się, czy jest jakakolwiek szansa, by ominąć tę barierę. By chociaż przez chwilę o niej zapomnieć. Małą, krótką chwilę. Na kilka minut zapomnieć o rzeczywistości, a potem znowu posłusznie wrócić do swojego poprzedniego życia.

Na moje nieszczęście Paweł pomyślał dokładnie to samo w tym samym momencie.

Zjedliśmy sushi, porozmawialiśmy. Nawet nie o tym, co u nas słychać. Nie opowiadałam mu o Wojtku. Wiedział, że jest. Opowiedziałam mu o Poli i Idze, trochę o pracy. Obgadaliśmy pół naszej klasy. Do nas nie wracaliśmy. Omijaliśmy ten temat szerokim łukiem. Baliśmy się?

Pewnie gdybym była wolna, zaprosiłby mnie do siebie na drinka i wylądowalibyśmy u niego w sypialni.

Naprawdę chciałabym wtedy być wolna. Nie zliczę, ile razy się zastanowiłam tamtego wieczora, czy naprawdę to by skrzywdziło Wojtka. Przecież... Przecież by o niczym się nie dowiedział? A my przez krótką chwilę bylibyśmy najszczęśliwsi na świecie.

Jednak wpojone mi głęboko zasady moralne zwyciężyły. Czy kobiety mają kochanków? Oczywiście, że mają. Zwykle jednak w fatalnych małżeństwach. Moje małżeństwo było całkiem udane!

Tylko brakowało mi motyli.

Teraz, gdy o tym myślę, mam w głowie słowa mojego męża, wypowiedziane dużo, dużo później:

– Jak ci brakuje motyli, to sobie je, kurwa, narysuj!

Gdybym wiedziała, do czego zmierza ta historia, pewnie bym je rysowała, przetykając łązy tęsknoty. Jednak nie wiedziałam. I bardzo za nimi tęskniłam.

Paweł nie pocałował mnie na pożegnanie. A przyznam, że na to wtedy liczyłam. Zwariowałam? No, może trochę. Nie, tak naprawdę zwariowałam bardzo. Odżyły wszystkie wspomnienia z naszych pierwszych randek. Pierwszy pocałunek, pierwszy

dotyk i pierwsze nieśmiałe pieszczoty. Chciałam przeżyć jeszcze raz dokładnie to samo. I chociaż jeszcze raz w życiu zupełnie się w tym zatracić.

– Spotkamy się jeszcze? – zapytał.

Siedzieliśmy w moim samochodzie. Tak jak sto lat temu w jego. Tylko wtedy na tylnym siedzeniu nie leżały foteliki samochodowe i nie walały się wszędzie okruszki po chrupkach kukurydzianych.

– Może... – powiedziałam.

– Nie rozmawialiśmy w ogóle o tych tekstach. – Uśmiechnął się. – Tych, które masz pisać.

– Cholera! – Przypomniałam sobie. Po chwili na niego spojrzałam. – A są w ogóle jakieś teksty?

– Zawsze jakieś są – odparł.

Roześmiałam się.

– To był tylko pretekst?

– Bałem się, że nie będziesz chciała się ze mną spotkać – przyznał. – Poza tym... Sam nie wiedziałem, co pomyślisz, jak nagle zaproponuję spotkanie. Już tyle razy chciałem się do ciebie odezwać. Jak byłem w Szwajcarii, było łatwiej, ale tutaj nie mogłem znieść, że jesteś tak blisko.

Uśmiechnęłam się.

– Zobaczymy się jeszcze. W sprawie tych tekstów.

– Oczywiście – potwierdził. – W sprawie tekstów.

Złapał moją dłoń. Przez chwilę pomyślałam, że chce ją podnieść do ust, ale się rozmyślił. Szkoda.

– Dobrej nocy. Wracaj bezpiecznie.

– Dobranoc.

Wróciłam do domu, uśmiechając się sama do siebie, rozmarzona jak zakochana nastolatka.

Czy możliwe są motyle w brzuchu, gdy masz czterdzieści lat? Och, jak najbardziej. Właśnie fruwały jakby w sercu nastąpiła wiosna.

Gdy zajechałam do domu, Wojtek spał. Dziewczyny spały. Wzięłam z łóżka Poli *Mity greckie*. Najwyraźniej Wojtek czytał im je do snu. Jako dziecko najbardziej lubiłam ten o Ariadnie. A teraz? Czy znalazłabym coś dla siebie?

SMS.

Paweł: „Dziękuję za dzisiaj. Czułem się przez chwilę jak kiedyś. Nic się nie zmieniłaś”.

Ja: „Ja się nie zmieniłam. Ale świat wokół się zmienił”.

Paweł: „A gdybyśmy na chwilę uciekli przed światem?”

Ja: „Przed światem nie ma ucieczki”.

Paweł: „Można na chwilę zamknąć oczy”.

Ja: „Dobranoc”.

Paweł: „Dobranoc”.

Uśmiechnęłam się do komórki. Skasowałam wszystkie esemesy od Pawła i do Pawła. Nie było chyba w nich nic niewłaściwego, ale nie chciałam, by Wojtek na nie trafił. Nie przeglądaliśmy nigdy swoich komórek, ale może kiedyś przypadkowo, przy sprawdzaniu godziny czy odebraniu telefonu od teściowej zobaczyłby je.

Ja bym nie chciała, by korespondował z jakąkolwiek kobietą w taki sposób. Moralność Kalego? Być może. Ale przecież... Przecież ja nie robiłam nic złego.

Jeszcze.

Zacząłam natomiast to intensywnie rozważać.

Miałam ogromną ochotę zamknąć oczy i pofrunąć wysoko, wysoko.

Znowu się uśmiechnęłam do swoich myśli. Fajnie było marzyć. Pewnie jeszcze fajniej byłoby spełniać te marzenia, ale to już w zupełnie innym życiu.

Następnego dnia w południe zadzwonił.

– Czekalem, aż zadzwonisz – powiedział.

– Czekałeś? Niezbyt długo czekałeś. Trzeba było się wcześniej odezwać.

– Nie mogłem wcześniej.

– Dlaczego?

– Bo wtedy byś już wszystko wiedziała.

– Co bym wiedziała? O czym?

– Że nie potrafię zapanować nad chaosem, jaki ponownie stworzyłaś w mojej głowie. Że ja, dorosły facet, znowu nie potrafię bez ciebie wytrzymać, że chyba znowu się uzależniłem. Albo uzależniłem się już dawno i to wcale nie minęło... Nie uśmiechaj mi się teraz do słuchawki z zadowoleniem. Jak ci mija dzień?

ROZDZIAŁ 3

DZIEŃ SPANIA W MIEJSCACH PUBLICZNYCH

Po południu czekał na mnie mail. Tym razem naprawdę zawodowy. Paweł przesyłał dokumentację z prośbą o przerobienie tego na bardziej normalny, a mniej techniczny język. Tak, by każdy śmiertelnik zrozumiał.

Odetchnęłam z ulgą. Tego maila nie musiałam kasować, nawet gdyby Wojtek zaglądał mi przez ramię.

Poczułam się również usprawiedliwiona co do wczorajszego wieczoru.

– Jak spotkania biznesowe? – zapytał.

Czyżby coś podejrzewał? Nie. W jego głosie nawet nie było zainteresowania. Po prostu rozmowa męża z żoną po piętnastu latach pożycia małżeńskiego. Podszedł do komputera i zajrzał przez ramię.

– Paweł Szadziński? To nie ten Paweł?

– Który „ten”? – Udawałam, że nic nie rozumiem.

– No ten, z którym byłaś.

– Tak, to ten – ucięłam krótko.

– Aha. – Wojtek nie drażył tematu. – I co? Będzie coś z tego? – zapytał.

Cholera, do czego on zmierza? Czy będzie coś z tego? Czy ja wiem? Ale dlaczego on o to pyta?

– Z czego? – zapytałam niepewnie.

– No z tej roboty. – Odetchnęłam z ulgą. Bałam się, że dziwnym trafem pyta o moje relacje z Pawłem. No, ale dlaczego miałby pytać? – Chyba będzie. – Uśmiechnęłam się. – Napiszę, oddam i zobaczymy.

– Dasz radę. – Pocałował mnie w czubek głowy. – Dzisiaj ja później wracam – dodał.

– Znowu masz jakieś spotkanie?

– Marzena będzie w Gdańsku przez chwilę. Wypadałoby się z nią zobaczyć.

– Nie możesz jej do domu zaprosić? – zapytałam. – Tak dawno u nas nie była.

Marzena była siostrą Wojtka. Pracowała w Warszawie w wielkiej korporacji i zajmowała się podpisywaniem umów z klientami biznesowymi.

– Postaram się. Ale wiesz, ona wpada jak po ogień. Pewnie odbiorę ją ze spotkania i od razu zawiozę na lotnisko. Mam nadzieję, że zdążymy chociaż tam jakąś herbatę wypić.

Znowu się mijaliśmy. Czy byłam z tego powodu smutna? Niekoniecznie. Chyba chciałam być sama. W spokoju zająć się córkami, bo zaczynały nachodzić mnie wyrzuty sumienia, że poświęcam im zbyt mało czasu, a gdy pójdą spać, może napisać maila do Pawła? Albo w spokoju poczytać jego stare listy?

Cieszyłam się na ten samotny wieczór. Po raz kolejny.

To naprawdę nie było normalne, że w małżeństwie czeka się na samotny wieczór. Czy nasze małżeństwo zaczynało być już bańką mydlaną, która może prysnąć, gdy lekko się ją trąci? Nie, z pewnością nie.

Chyba nie.

Kochałam przecież Wojtka. Był fantastycznym ojcem, całkiem niezłym mężem. Świetnym organizatorem rodzinnych wakacji. Umiał przybijać gwoździe, wiercić dziury w ścianach, w brzuchu czasem też, gdy chciał coś osiągnąć. Przepysznie gotował i często mnie w tym wyręczał.

Przecież w zasadzie nie miał żadnych wad.

A może to ja byłam pełna wad? Może ja byłam tą złą? Nie lubiłam skakać na bungee, ale może potrzebowałam dostarczać sobie adrenaliny w zupełnie inny sposób? Paweł mi ją dostarczał. Samymi słowami ją dostarczał. A co by było, gdybym pozwoliła na więcej? Byłby wybuch? Pewnie tak. W swoich marzeniach jednak nie przewidziałam, że wybuch często zwiastuje katastrofę.

Gdańsk, 26 lutego 1995

Kochanie, zastanawiam się, z jakiej okazji życzyć Ci dzisiaj wszystkiego jak najlepszego. Zajrzałem do mojego kalendarza i zobaczyłem, że mamy dziś mnóstwo okazji ku temu!

Oczywiście, o ile życzenia z okazji Dnia Dinozaura mogą Cię bardzo zaskoczyć, to już życzenia z okazji Dnia Pozdrawiania Blondynek trochę mniej. Pozdrawiam Cię moja blondynko! Oczywiście wiem, że nie jesteś blondynką, ale podobno każda kobieta chociaż raz w życiu chciałaby nią być. Zatem wyobraź sobie, że jesteś i ja Cię właśnie pozdrawiam i miejmy to już za sobą, dobrze? Ja naprawdę kocham Twoje kasztanowe włosy i proszę Cię bardzo, nie bądź blondynką! Nie wszyscy kochają Marylin Monroe, a zresztą, czy wiesz, że ona tak naprawdę była brunetką?

Kolejna moja prośba jest również z tych zadziwiających. Czy chciałabyś się dziś ze mną przespać w miejscu publicznym??

Oczywiście nie chcę, byś mnie źle zrozumiała, obiecaliśmy sobie przecież, że przed maturą nic a nic, bo żadne z nas nie będzie mogło się skupić, ale tym razem, pisząc PRZESPAĆ, mam na myśli SPANIE. Czyli „stan czynnościowy ośrodkowego układu nerwowego, cyklicznie pojawiający się i przemijający w rytmie dobowym, podczas którego następuje zniesienie świadomości i bezruch”.

Podejrzewam, że świadomość stracę przy innym rodzaju SPANIA z Tobą, ale wtedy nie możemy mówić o bezruchu, prawda?

W Teleexpresie wczoraj mówili, że dziś jest właśnie Dzień Spania w Miejscach Publicznych. Myślisz, że Chojnowska nie będzie miała nic przeciwko, gdy w połowie polskiego na chwilę stracimy świadomość i zastygniemy w bezruchu?

Ja myślę, że nie.

*Kocham Cię jak wariat. Bez świadomości. I ze świadomością też. Z ruchem i bez ruchu.
Nawet gdybyś była blond dinozaurem kochałbym Cię.*

Pablo

PS. Ale nie sprawdzaj tego, okej? Tego dinozaura w kolorze blond! Bo wiesz, może jednak się mylę?

Zrobiłam zdjęcie tego listu i wysłałam Pawłowi.

Od: Zuzanna

Data: 26 lutego 2016

Temat: Dzień Spania w Miejscach Publicznych

Do: Paweł Szadziński

Wszystkiego najlepszego Pablo!

Powoli już jestem dinozaurem, tylko wciąż nie zdecydowałam się na blond. A w miejscach publicznych zdarza mi się przysypiać.

Zuzanna

ROZDZIAŁ 4

BLADORÓZOWE PŁATKI RÓŻ

Miałam wrażenie, że coraz bardziej oddalam się od Wojtka. Niby nic się nie zmieniło, było tak jak do tej pory, spędzaliśmy razem popołudnia, graliśmy z dziewczynami w planszówki, czasem poszliśmy na wspólny spacer. Jednak myślami byłam gdzieś zupełnie indziej.

W ciągu dnia pracowałam, potem jak zawsze w stu procentach byłam dla dzieci, a wieczory spędzałam przed laptopem, nie odzywając się do nikogo. Często szłam spać długo po północy.

- Dużo pracujesz – stwierdzał fakt Wojtek.
- Kończę tę dokumentację – tłumaczyłam się.
- Dla Pawła?
- Tak.

Dokumentację już dawno skończyłam. Wysłałam, ale Pablo nie zdążył się z nią jeszcze zapoznać. Czy w ogóle była mu potrzebna? Czy to był tylko pretekst?

Powinam go o to zapytać.

Nie pytałam. Dużo rozmawialiśmy na Facebooku. Pisaliśmy maile. Życzyliśmy sobie wszystkiego najlepszego z okazji kolejnych dni – Dnia bez łapówki, Dnia Sołtysa i innych jeszcze bardziej absurdalnych. Tak jak te kilkanaście lat temu.

A Wojtek był coraz dalej i dalej. W ogóle mi to nie przeszkadzało.

Prawdę mówiąc, czekałam, aż tylko pójdzie spać. Noce spędzałam z Pawłem. To nic, że wirtualnie – ważne, że razem. Były pełne tęsknoty, przepełnione dawną, wcale nie wyblakłą miłością i czułością. Czekałam na te noce każdego dnia od poranka.

Któregoś popołudnia zadzwoniła Agnieszka, że musi się ze mną spotkać. Natychmiast. Że siedzą u Moniki w salonie i chcą pogadać.

- Stało się coś?
- Przyjedź. Musimy pogadać – powiedziała stanowczo. – Masz z kim zostawić dziewczyny?
- Mam, Wojtek jest w domu. Ale nie możesz mi powiedzieć, o co chodzi?
- Przyjedź, to pogadamy.
- Okej. Będę za chwilę.

Nie wiedziałam, co się dzieje, że tak nagle muszą ze mną pogadać. Na szczęście Wojtek był w domu i jak za starych dobrych czasów mogłam rzucić wszystko i pojechać do moich przyjaciółek.

- Jakaś awaria chyba. – Wzruszyłam ramionami. – Zupełnie nie wiem, o co chodzi.

– Awaria? – zdziwił się.

Awarią nazywałyśmy wszystkie problemy sercowe, gdy miałyśmy te naście lat. Bardzo często wysiadywałyśmy u siebie w domach, płacząc i wycierając sobie wzajemnie nosy w rękawy. Wystarczyło hasło: Awaria. I każda porzucała wszystko i stawiała się w umówionym miejscu. Oczywiście potem, gdy byłam z Pawłem, już do mnie nie dzwoniły... Bo byłam tylko w niego wpatrzona i świata nie widziałam wokół. On miał w sobie coś takiego, że cały świat, inni ludzie kompletnie przestawali się liczyć. Teraz zaczynało być podobnie.

Tym razem poszłam na spotkanie z dziewczynami, ale podświadomie łudziłam się, że wracając, spotkam się z Pawłem chociaż na chwilę.

Ale... Przecież nic nas nie łączyło?

Nic. Nic w terażniejszości.

Mieliśmy wspólną przeszłość. A w niej wszystko się wydarzyło, co mogło się tylko zdarzyć. Wiedziałam, że przyszłość nie należy do nas.

Dziewczyny miały bardzo poważne miny.

Siedziały we trzy przy stoliku i piły wodę, zajadając się jakimiś okropnymi ciastkami owsianymi, przyniesionymi zapewne przez Iwonę. Ona lubiła takie zdrowe wynalazki.

– Stało się coś? – zapytałam. – Iwona, wszystko w porządku?

– U mnie tak. – Nie patrzyła mi w oczy.

– To o co chodzi? – Spoglądałam na każdą po kolei. – Chcecie mi coś powiedzieć?

Agnieszka na mnie spojrzała. Prosto w oczy. Po chwili zapytała:

– Czy ty jesteś pewna, że Wojtek nie ma romansu?

Usiadłam. Patrzyłam na nią z niedowierzaniem.

– Wojtek? Romansu? – Wydawało mi się to niedorzeczne.

Przecież mój mąż nie mógł mieć romansu. Romans mogłam mieć ja, taki nieszkodliwy, po prostu dla motyli w brzuchu i większych emocji, ale Wojtek? Mój mąż był przecież wzorem wierności małżeńskiej.

– Widziałam go z kimś w ubiegłym tygodniu – powiedziała Agnieszka. – W dwuznacznej sytuacji.

Boże. Ubiegły tydzień. Co ja robiłam w ubiegłym tygodniu? Nie wiem. Byłam tak zajęta cowieczornymi, conocnymi rozmowami z Pawłem, że zupełnie nie pamiętam, co mój własny mąż robił w zeszłym tygodniu!

– Jak to? Gdzie go widziałaś?

– Odprowadzałam Tristana na samolot. Zobaczyłam Wojtka, jak siedział z jakąś rudą laską w kawiarni. W dwuznacznej sytuacji. Trzymał ją za rękę, potem odgarnął jej włosy z policzka. Głaskał ją po tym policzku. Potem drugi raz go zobaczyłam, jak ją przytulał, zanim weszła za bramki.

Przypomniałam sobie. Wtorek. Marzena. Uśmiechnęłam się i wyciągnęłam smartfona. Znalazłam jakieś zdjęcie Marzeny, siostry Wojtka.

– Czy to ta? – zapytałam, pokazując Agnieszce telefon.

– Ta! – zawołała zdziwiona Aga. – To ty o nich wiesz?

– Wiem! – Roześmiałam się. – Od lat! – Dziewczyny patrzyły na mnie, nic nie rozumiejąc. Nie trzymałam ich dłużej w niepewności. – To jego siostra, wariatki – powiedziałam wreszcie.

– O Boże. – Agnieszka odetchnęła z ulgą.

– Jezu. – Monika zaczęła się wachlować ulotką swojego salonu. – Bo aż mi się niedobrze zrobiło z tego wszystkiego.

– Od trzech dni zastanawialiśmy się, jak ci o tym powiedzieć...

– Wariatki. – Pokręciłam głową. – Prosto z mostu. I to od razu. Niepotrzebnie czekałyście.

– Bo myśmy nie były do końca przekonane, czy ty chcesz wiedzieć... – powiedziała Agnieszka.

– A ty byś nie chciała wiedzieć? – zapytałam.

– Ja bym chciała – powiedziała Monika. – Udusiłabym wtedy mojego męża. Poduszką. Tę jego babę też.

– Ja chyba bym nie chciała wiedzieć. Póki mnie kocha i jest cudnie, może być poligamistą – stwierdziła Iwona. – Mnie od tego nie ubędzie. – Roześmiała się.

– Ja bym wolała wiedzieć. – Agnieszka się zamyśliła. – Zatem wiecie, jak kiedyś zobaczycie mojego Krzyśka z jakąś babą, to od razu do mnie dzwońcie.

Podniosłyśmy wszystkie palce w górę na znak przysięgi.

– Czyli awaria zażegnana. – Uśmiechnęłam się.

– To ja może herbaty zrobię. Mam tylko miętową. Piję ją ostatnio litrami.

– A jak twoja menopauza? Byłaś u lekarza?

– Aj, nie byłam w końcu. Muszę iść.

– Ty mi nie mów o menopauzie – przerwała Iwona. – My się staramy... Codziennie się staramy!

– I co?

– I nic. – Zaczerwieniła się i spuściła głowę.

– Iw, jesteś w ciąży? – zapytałam.

Iwona się uśmiechnęła niepewnie.

– O Boże, ona jest w ciąży! – krzyknęła Agnieszka.

– Cicho – powiedziała Iwona. – To dopiero początek... Mieliśmy nikomu nie mówić jeszcze...

– O Jezu, Iwona! Gratulacje! Ale się cieszę! – Przytuliłam ją. – Widzisz! Marzenia się spełniają.

– Spełniają – potwierdziła. – Gdyby ktoś mi powiedział rok temu, że tak się zmieni moje życie, nie uwierzyłabym. Ale cicho. Nie mówmy o tym. To jeszcze za wcześnie. Nie zapieszajmy.

– Dobra. Porozmawiajmy o czymś innym. Chociaż obawiam się, że nic tego tematu nie przebije. – Roześmiałam się.

– Pokaż Aga zdjęcia z balu – powiedziała Monika. – Agnieszka jest dowodem na to, że z każdego Kopciuszka da się zrobić księżniczkę. Czyli kolejny dowód na to, że marzenia się spełniają.

– Wyglądałam jak gwiazda filmowa. Mówię ci Iwona, makijaż tylko u Moniki. – Agnieszka przejęta wyciągnęła telefon i zaczęła szukać zdjęć. – Zobacz, tutaj. Jak pani z telewizji.

Faktycznie, wyglądała pięknie.

– Pokaż, pokaz! – Wyciągnęłam jej z ręki telefon. Zaczęłam sama przeglądać zdjęcia. – O matko, a jaki twój mąż przystojny. To ten garnitur, o którym mówiłaś? Ten co go sobie we Włoszech kupił za jakieś straszne pieniądze?

– Dokładnie ten sam!

– Ja chcę zobaczyć garnitur za straszne pieniądze – stwierdziła Iwona. – Pokażcie. Zobaczę, w co nie będzie ubrany mój przyszły mąż.

– No jak zabiera cię na walentynki do Paryża, to nie dziwne, że nie ma kasy na włoskie garnitury.

– Oj tam! Jeden weekend! – Iwona machnęła ręką.

Agnieszka się roześmiała. Podała jej telefon.

– To jest twój mąż? – Iwona pobladła.

– Tak. – Agnieszka się uśmiechnęła.

– Słabo się czujesz? – zapytałam Iwonę.

Iwona przeglądała po kolei zdjęcia. Jakby coraz szybciej. Nerwowo.

– Czy twój mąż ma brata? – zapytała.

– Nie. – Agnieszka pokręciła głową. – Jedynek. Przebrzydły jedynek. – powiedziała. – Ze wszystkimi negatywnymi egoistycznymi cechami z tym związanymi. Coś się stało? – dodała po chwili.

Iwona wyglądała niewyraźnie.

Wyciągnęła swoją komórkę. Przez chwilę czegoś szukała, nic nam nie pokazując, po czym wyciągnęła komórkę w stronę Agnieszki.

Agnieszka zamarła.

– Skąd masz zdjęcie mojego męża? – zapytała. – I to w swojej komórce?

Iwona nic nie powiedziała. Przerzuciła kolejne zdjęcia.

– To na pewno twój mąż? – zapytała z nadzieją.

Agnieszka wpatrywała się w telefon Iwony z przerażeniem.

– Co się dzieje? – Podeszłam, by zobaczyć, co tak przykuwało ich wzrok.

Na zdjęciu wyświetlonym w smartfonie była uśmiechnięta Iwona ze swoim narzeczonym, a obok stał mąż Agnieszki obściskujący się z jakąś biuściastą młodą blondynką.

– O kurwa – wymsknęło mi się.

– Skąd to masz? – zapytała Agnieszka grobowym głosem.

– Z Paryża. Poznaliśmy ich w Paryżu. – Pokręciła głową. – Nie miałam pojęcia, że to twój mąż.

– Ale on nie był w Paryżu! – zaprzeczyła Agnieszka. – Boże, przecież on nie był w Paryżu! Kiedy to było?

– Dwa tygodnie temu, na walentynki.

– On nie obchodził nigdy walentynek – powiedziała Agnieszka. – To według niego komercyjne, beznadziejne amerykańskie święto.

– Widać zaczął – powiedziała z przekąsem Monika, stawiając przed Agnieszką kieliszek szampana. – Przepraszam, nie mam nic innego z alkoholem. Chciałam świętować twoją ciążę Iwona, ale cóż.

– Chujowa okazja, by pić szampana – powiedziała cicho Agnieszka. – Powiedział mi, że jedzie do Włoch po nową kolekcję do swojego sklepu. Sama odwiozłam go na lotnisko. Powiedział, że nie mam wysiadać, bo to pewnie potrwa, a każde dziesięć minut parkingu to dziesięć złotych. Odwiozłam go i wróciłam do domu. – Wypiła duszkiem wszystko, co miała w kieliszku. Monika natychmiast nalała jej drugi. Usiadłam obok Agnieszki.

– Nic nie podejrzewałaś?

Pokręciła głową.

– Nic. Myślałam, że takie rzeczy dzieją się tylko w filmach. Nie pomyślałam...

– Spokojnie – stwierdziła Iwona. – Ty nic nie rób. Mam takiego znajomego, adwokata, który ci pomoże. Na razie udawaj, że nic nie wiesz.

– Ale jak mam udawać, że nic nie wiem? Jak wiem!

– Spokojnie. – Iwona nie była zupełnie spokojna. – Czy wiesz, co zamierzasz teraz robić?

– Wystawić mu walizki za drzwi. – Agnieszka wzruszyła ramionami, pijąc już szampana prosto z butelki. – Natychmiast.

– Zaczekaj. Najpierw trzeba zebrać dowody.

– Ale Iw, o czym ty mówisz, przecież już mamy dowody.

– No tak. Jakby co, mogę być świadkiem.

– Iw, a on z nią był w tym Paryżu? Może ona po prostu się przypałała? Tak na chwilę?
– zapytała z nadzieją Agnieszka.

– Mieszkali w apartamencie tuż obok nas. Przedstawił ją nam jako swoją narzeczoną. Opalała się nago na tarasie przylegającym do naszego. Mówić dalej?

– Nie mów – jęknęła Agnieszka.

– Ty się już nad nią nie znęcaj – powiedziałam. – Ona ma już dosyć.

Agnieszka pokiwała głową.

– Mam już dosyć – potwierdziła.

– Idziesz ze mną do domu – zakomenderowała Iwona. – Gdzie Kordian?

– W domu.

– Piętnaście lat, to już chyba może sam zostać w domu, co? – zapytała Iwona. – Wyślemy mu esemesa.

– Tristan jest też w domu.

– Boże, że też nie możecie mieć normalniejszych imion. – Monika westchnęła. – Jemu też wyślemy esemesa. A potem ci zabierzemy telefon, byś czasem głupot w nocy nie zrobiła.

Co za wieczór. Ironia losu. Spotkałyśmy się tam, bo dziewczyny myślały, że Wojtek mnie zdradza. Okazało się, że Wojtek jest wierny jak pies. To ja miałam ochotę na szaleństwa pozamałżeńskie. On pewnie nawet o tym nie pomyślał. Potem się okazało, że Iw jest w ciąży. Monika wyciągnęła z tej okazji szampana, ale nie piłyśmy go wcale. Piła go Agnieszka, by zapić smutki przez biuściastą blondynkę, z którą jej mąż spędzał walentynki w Paryżu. Żaden scenarzysta nowel wenezuelsko-argentyńskich nie powstydziliby się takiej fabuły.

Czułam nieodpartą ochotę, by opowiedzieć o tym wszystkim Pawłowi. Czułam, że jeżeli do niego zadzwonię, to dołożę swoją cegiełkę do tego nierealnego scenariusza dzisiejszego wieczoru.

Nie zadzwoniłam od razu. Pojechałam w stronę domu. W połowie drogi zjechałam w zatoczkę autobusową i wysłałam esemesa.

„Co za wieczór. Wracam do domu. Muszę Ci o tym wszystkim kiedyś opowiedzieć”.

Po chwili zadzwonił.

– McDonald Morena za pięć minut?

– Pablo! Jest środek nocy!

– Dlatego proponuję McDonalda, a nie inny lokal. Już wszystko pozamykane!

– Muszę wracać do domu...

– Jedna herbata. Albo cola. Albo woda, shake waniliowy. Zawsze lubiłaś shake’a waniliowego. Pięć minut.

– Okej – zgodziłam się. – Będę tam za pięć minut.

– Będę na ciebie czekał. Pa.

Rozłączyłam się.

Co ja do cholery robię? Czy limit atrakcji na tamten wieczór nie został wyczerpany? Najwyraźniej nie. Zawróciłam, minęłam Lidla i wjechałam do McDonalda. Na parkingu stał już Paweł z dwoma kubkami w dłoni.

Zaparkowałam.

Otworzył drzwi pasażera i wszedł do mojego samochodu.

– Zamawiała pani herbatę? – zapytał.

– Prawie. – Uśmiechnęłam się.

– Wiem, że wolisz kawę. – Wzruszył ramionami.

– O każdej porze dnia i nocy. – Wzięłam kubek z gorącym napojem.

– Za dnia to wiem. Nocy z tobą już dawno nie spędzałem – powiedział cicho.

Niestety.

– Jak to? Ostatnio spędzasz je przecież ze mną codziennie.

– Przez internet nie widać, czy pijesz herbatę. Zresztą twierdzisz, że pijesz wino. Nie mogłem przynieść ci wina. Niestety.

- Wino będę piła, gdy wrócę do domu. Powinnam już wracać.
 - Wiesz? Czuję się trochę jak wtedy, gdy chodziliśmy do liceum.
 - Ja się cały czas tak czuję. Rano się budzę i nic się nie zmieniło. Dopiero gdy spojrzę w lustro albo zobaczę swoje ciało, którego jest trochę więcej.
 - Na to akurat bym nie narzekał. – Uśmiechnął się.
 - Tyję we właściwych miejscach, co?
 - W bardzo właściwych – powiedział. – Ale nie dałaś mi dokończyć.
 - Słucham cię. Skończyłeś na tym, że czujesz się, jak w liceum. Bo?
 - Bo spotykamy się potajemnie i udajemy, że się nie spotykamy wcale. Tak jak dawniej nasi rodzice nie byliby zadowoleni z naszych wieczornych rozmów czy nocnych potajemnych spotkań, tak teraz też przed kimś musimy to ukrywać.
 - Pablo. Nie robimy nic złego.
 - Nie. – Spuścił głowę. – Ale oboje mielibyśmy na to straszną ochotę, prawda?
-

Faktycznie. Miałam na to niewymowną ochotę. Marzyłam, by dostać urlop od codzienności chociaż na chwilę. Na weekend. Na jedną noc. Chociaż na kilka godzin.

Marzyłam, by przez te chwile po prostu być z Pawłem, o nic się nie martwiąc. Bez żadnych konsekwencji. Napić się z nim wina, tańczyć do białego rana, namiętnie się całować, a potem sprawdzać, czy nic się nie zmieniło na tak dobrze nam znanej mapie naszych ciał.

Niestety oboje wiedzieliśmy, że nikt nie da nam urlopu od rzeczywistości. Nie można sobie wyciąć kawałka w życiorysie, zapakować w złote pudełeczko i głęboko ukryć przed całym światem.

W marcu miałam jechać do Warszawy, bo firma wysyłała mnie na szkolenie. Traf chciał, że Paweł miał mieć spotkanie z potencjalnym kontrahentem dokładnie tego samego dnia. Również w Warszawie.

Jeszcze nic nie zrobiłam, a już poczułam się, jakbym zdradziła cały świat. Byłam całkowicie pewna, że to się stanie. Motyle w moim sercu szalały, a ja szłam ulicą i uśmiechałam się do siebie. Wojtek gdzieś zgubił mi się po drodze. Na szczęście moje córki zawsze były dla mnie najważniejsze. W tym całym szaleństwie i ponownej fascynacji Pawłem nadal przede wszystkim byłam mamą. I nadal rozmowa z każdą z nich była ważniejsza niż on. Chociaż czasem usypiając je, nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie zasną i będę mogła sięgnąć do laptopa z nieodłącznym kieliszkiem wina, by znowu czytać słowa, które powodowały, że ciało me drżało, a serce ulatywało gdzieś wysoko do gwiazd.

Od: Paweł Szadziński

Data: 5 marca 2016

Temat: Warszawa

Do: Mała Zu

Nie mogę jechać do Warszawy w tym terminie. Pół nocy kombinowałem, jak to zrobić, by być w dwóch miejscach naraz.

Spotkanie zarządu w Szwajcarii. Na którym muszę być.

Wyobrażasz sobie to? Dokładnie w tym samym czasie.

Jestem zły na cały świat. Od rana wyżywam się na wszystkich. Rzucam papierami, trzaskam drzwiami.

Jednak rozsądek mi mówi, że dobrze, że się tak stało. Że to, że spotkamy się w Warszawie nie byłoby dobre dla Ciebie. Nie byłoby dobre dla Twojego małżeństwa.

Wiesz, że coś wisi w powietrzu. Nie mówimy o tym, ale oboje to wiemy.

Lecę do Szwajcarii, a Ty pojedziesz grzecznie do Warszawy. Sama.

Mam tylko nadzieję, że pomyślisz o mnie chociaż raz przed snem.

A ja wtedy pomyślę ze złością, że mogłem być tam z Tobą.

A będę pewnie w jakimś megawypasionym hotelu nad Jeziorem Genewskim. Pewnie niektórzy będą mi zazdrościć. A ja zazdrościłbym sobie małego, niezbyt ładnego pokoju w akademiku Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie w letnią upalną noc. Byleby z Tobą.

Pamiętasz? Tamten Kraków latem? I ten akademik, gdzie kłamaliśmy, że jesteśmy rodzeństwem, by dostać jeden pokój?

Nie chcę tej Szwajcarii...

Ale wiem, że tak będzie lepiej.

I nie mogę pogodzić się z tym, że jesteśmy dorośli i do pewnych spraw podchodzimy racjonalnie zamiast, nie zważając na konsekwencje, rzucić się intuicyjnie tam, gdzie rzucić się chcemy.

Beznadziejny jest ten dorosły świat, co? Pełen odpowiedzialności, zakazów, nakazów. A zobacz, jak byliśmy młodzi, myśleliśmy, że wtedy ograniczeń jest więcej.

Wtedy mogliśmy tak naprawdę wszystko. Zakazy szły z zewnątrz. Od rodziców, ze szkoły. Teraz sami sobie ustalamy, co nam wolno, a czego nie. Łamanie norm ustalanych przez samych siebie jest dużo trudniejsze. I pewnie ma dużo bardziej bolesne konsekwencje. Łamanie zakazów danych nam przez kogoś czasem bywa nawet fascynujące!

Gdy łamiemy swoje własne zakazy, mamy tylko kaca.

Chociaż... Na kaca można wypić zawsze klina.

I złamać zakaz jeszcze raz i jeszcze raz, i potem kolejny.

To jest uzależnienie. I potem odwyk jest też bolesny.

Strasznie trudne to dorosłe życie, prawda?

Chociaż mój przyjaciel, lekarz, mówi, że jeden kieliszek jeszcze nikomu nie zaszkodził. Jednak nie tym razem. Cholerna Szwajcaria!

Pablo

Zrobiło mi się bardzo smutno.

Cholerna Szwajcaria!

Ale najgorsze było to, że Paweł miał stuprocentową rację. We wszystkim.

Jednak krótka przerwa w życiorysie była nam pisana – tylko nieco później. Ale wtedy straciliśmy na to nadzieję. Ja pojechałam sama do Warszawy, on do Genewy. Wojtek został w domu z dziewczynkami.

Wszystko było tak, jak być powinno. I nikt nie ucierpiał. Oprócz naszych marzeń i niegrzecznych planów, o których nawet sobie nawzajem nie powiedzieliśmy.

Cholerna Szwajcaria...

Do tej Warszawy pojechałam sama. Sama przesiedziałam cały wieczór w hotelu.

I po raz pierwszy w życiu samej nie było mi dobrze. Tęskniłam za dziewczynkami, za ich ciepłymi łapkami, które zawsze obejmowały mnie na dobranoc, tęskniłam za moim fotelem, w którym zawsze siadywałam z laptopem na kolanach, za moim kubkiem z kawą o każdej porze dnia i nocy. Na filmach kobiety zawsze schodziły na drinka, by się odprężyć po ciężkim biznesowym dniu. Ja zrzuciłam niewygodne szpilki, zdjęłam rajstopy, spódniczkę i w samej bieliźnie i koszulce siedziałam po turecku na łóżku. Gdyby w takim stroju można było zejść na dół na drinka – zeszyłabym. Jednak te na filmach zawsze schodziły w pełnym makijażu i szpilkach, a potem poznawały czarującego mężczyznę. Czarujących mężczyzn w moim życiu było aż nadto. I na dodatek mówili to samo. Prawie to samo. W odstępie kilku minut.

– Poczekam na ciebie na lotnisku. Zdamy wypić jeszcze kawę albo coś zjeść. Wracam godzinę wcześniej. – Paweł zadzwonił.

Po chwili odebrałam telefon od Wojtka.

– O której mam być na lotnisku? Może byśmy poszli potem na jakiś obiad? Albo kawę? Dziewczyny odwiozę do babci i spędzimy te kilka chwil razem.

I co ja miałam zrobić? Czy wybrać męża, który nagle chciał ze mną spędzać więcej czasu, zupełnie nie wiadomo dlaczego, czy mężczyznę, który obecnie był dla mnie... niespełnionym marzeniem? Byłam kochankiem? Z pewnością „kochanek” to zbyt mało. Kiedyś był dla mnie wszystkim. Poza nim nie liczyło się nic.

– Pablo... Wojtek po mnie przyjedzie. Nie czekaj.

Czekał. Nie zdążyłam się z nim przywitać. Oczywiście zobaczyłam go na lotnisku. Stał z bladą różą w dłoni i na mój widok się uśmiechnął. Chciałam do niego biec, ale z drugiej strony mnie ktoś zawołał. Wojtek.

Poczułam się podle. I wobec jednego i wobec drugiego.

Co ja najlepszego robiłam? I na dodatek tłumaczyłam się sama przed sobą, że jeszcze nic.

Częściowo miałam nadzieję, że to nigdy się nie zmieni, że nigdy nie zburzę tego mojego małego i uporządkowanego świata dwa plus dwa. A z drugiej strony, na samą myśl o namiętnym burzeniu tego świata z Pawłem podnosiły mi się delikatnie włoski na rękach i miałam gęsią skórę.

Wojtek mnie przytulił wtedy na lotnisku. Stałam wtulona w niego i kątem oka obserwowałam Pawła. Patrzył na nas. Idealna rodzina: czekający mąż i stęskniona za nim żona. Wziął pęk róż w dłoń i go zgniótł. Popatrzył na mnie smutno i wyrzucił kwiat do najbliższego kosza na śmieci. Gdy potem przechodziłam z Wojtkiem tuż obok, na zimnej podłodze lotniska leżały samotne płatki róż.

Zabolało.

Ale co miałam zrobić?

Przecież nie mogłam go zawołać, by został. Zaprosić go na kawę, herbatę, obiad czy do

wspólnego życia.

Przecież mu nic nigdy nie obiecywałam!

No, może kiedyś obiecywałam. Ale to były bardzo dawne czasy. Takie, które pamięta się przez mgłę. I pamięta się w zasadzie same dobre rzeczy. Przynajmniej ja moją przeszłość traktowałam selektywnie. Wszystko co złe, wypierałam. I nie uważałam, by istniał jakikolwiek powód, aby do tego wracać. Tak, to było minione życie. Zupełnie inne.

– Mam wrażenie, że ostatnio mi znikasz – powiedział Wojtek. – Dużo pracujesz...
A w domu... Jesteś jakaś nieobecna.

– No łudzę się, że zarobię tyle pieniędzy, że ty nie będziesz musiał pracować.

– Jasne.

– A tak na poważnie to chyba starość – skwitowałam.

– Jasne. To ja zawsze mówiłem, że jestem stary.

– I chyba miałeś rację. – Uśmiechnęłam się. Smutno, bo wciąż przed oczami miałam te zdeptane blad różowe płatki przeznaczonej dla mnie róży.

– To co, idziemy gdzieś na kolację? – zapytał.

– Wiesz, jakoś nie czuję się najlepiej. – Spojrzał na mnie wnikliwie. Nic nie powiedział. Naprawdę nie czułam się najlepiej. Miałam ochotę wziąć długą kąpiel, najlepiej w waniliowej pianie, a potem iść do łóżka. I najlepiej szybko zasnąć, by Wojtek nie chciał skorzystać z wieczoru bez dzieci. – A może pojedziemy po dziewczynki? – zapytałam.

– No nie mów, że się za nimi stęskniłaś.

– Stęskniłam. – Uśmiechnęłam się mechanicznie.

– A za mną nie?

– Za tobą też!

Jechaliśmy chwilę w milczeniu.

– To co z tą kolacją?

– Nie, Wojtek, innym razem.

– Okej. – Wojtek wzruszył ramionami. – Chciałem spędzić z tobą po prostu fajny wieczór.

– Wiem. Przepraszam.

Po Igę i Polę nie pojechaliśmy tamtego wieczoru. Niestety. Wzięłam długą kąpiel, tak jak marzyłam, i nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie pogadam z Pawłem. Przecież nie miał prawa być na mnie zły!

Położyłam się do łóżka z komórką w dłoni. Myślałam, że Wojtek jeszcze będzie siedział. Niestety. Przytulił mnie i zaczął gładzić mój brzuch.

– Wojtek... Naprawdę nie dzisiaj – powiedziałam.

– A może jednak?

– Wojtuś... Proszę cię... – Wstałam z łóżka. – Nie czuję się najlepiej, idę sobie wziąć coś od bólu głowy.

Wojtek pokiwał głową.

– Od lat bóle głowy były wymówką wszystkich kobiet. Tylko sto lat temu nazywano to globusem. Nie spodziewałam się, że to będzie miało miejsce również u nas w domu.

Nie odpowiedziałam. Bo cóż miałam odpowiedzieć? Że ma rację, że to tylko wymówka? Że nie mam ochoty na seks, bo gdy tylko zamknę oczy, widzę stojącego kilka metrów ode mnie Pawła z miną jakby go ktoś skrzywdził? Widzę jego rękę zaciśniętą w pięść i wysypujące się z niej delikatne płatki róży. A potem widzę but Wojtka, który po tych płatkach brutalnie depcze.

Wstałam z łóżka i poszłam do kuchni. Kilka razy trzepnęłam drzwiami szafki, tej gdzie trzymamy lekarstwa, nalałam sobie wody do szklanki. Usiadłam w fotelu z laptopem na kolanach.

Ja: Nie powinieneś tak robić.

Pablo Szadziński: Niby jak?

Ja: Z tą różą.

Pablo Szadziński: Z moją różą mogłem sobie robić to, co chcę.

Ja: To chyba była moja róża?

Pablo Szadziński: Twoja? Nie przypominam sobie, bym ją Ci dawał.

Ja: Ale była dla mnie.

Pablo Szadziński: Cóż. Czasy się zmieniają.

Ja: Jesteś złośliwy.

Pablo Szadziński: Zawsze byłem. Ty też. Złośliwość jest miarą inteligencji.

Ja: Pablo!

Pablo Szadziński: Ty też kiedyś byłaś moja.

Ja: Powinnam Ci napisać to samo, co Ty wcześniej.

Pablo Szadziński: Co?

Ja: Cóż, czasy się zmieniają.

Pablo Szadziński: No widzę właśnie. I my się zmieniamy.

Ja: Chyba tak.

Nie pisałam nic przez dłuższą chwilę. Ja to coś pisałam, to zaraz kasowałam. Nienawidziłam tego uczucia.

Ja: Paweł... Bawimy się w kotka i myszkę.

Pablo Szadziński: Zawsze lubiliśmy te zabawy.

Ja: Możesz ze mną normalnie porozmawiać?

Pablo Szadziński: Nie mogę. Rozmowa przez Fejsa nie jest normalną rozmową.

Ja: Herbata, kolacja?

Pablo Szadziński: Teraz?

Ja: Jest dwudziesta druga, to nie bardzo.

Pablo Szadziński: No widzisz. Nie ma jak, nie ma kiedy.

Ja: Pablo, czego Ty właściwie ode mnie oczekujesz?

Pablo Szadziński: No właśnie chyba niczego nie powinienem.

Ja: No chyba nie.

Pablo Szadziński: No to pa. Było miło, choć nie do końca.

Wylogował się z Facebooka niczym obrażony małolat. Wkurzona kopnęłam stolik. No jak on może z siebie robić urażonego księcia z bajki? Zachowuje się jak mój zazdrosny kochanek, a nawet nim nie był choćby przez chwilę. Czy do niego wciąż nie dotarło, że ja mam męża? I dzieci? I że nie chcę rozwalać swojego małżeństwa?

Oczywiście, chciałam i zjeść ciastko, i mieć ciastko, ale tak w życiu się nie dzieje.

Wściekła poszłam do łazienki. Potem sprawdziłam, czy Wojtek już spał. Spał. Zamknęłam drzwi do sypialni i z powrotem usiadłam w fotelu w salonie.

Wykręciłam numer Pawła.

Odebrał od razu.

– Pablo, proszę cię – zaczęłam.

– O co mnie prosisz?

– Znamy się nie od dzisiaj, czy musimy sobie jakieś fochy strzelać? Przecież zawsze wszystko sobie wyjaśnialiśmy wprost.

– Przyjedź jutro do mnie. To sobie wyjaśnimy wprost.

– O której?

– Czekam od rana. A tak właściwie to czekam od dwudziestu lat.

Uśmiechnęłam się.

– Będę. Obiecuję.

– O której?

– Nie wiem. Postaram się jak najszybciej. Tylko już wyluzuj, okej?

Usłyszałam trzask zza moich pleców. W progu stał Wojtek. Nie wiem, jak długo słuchał naszej rozmowy. Rozłączyłam się szybko.

– Gdzie postarasz się być jak najszybciej? – zapytał. – I kto ma wyluzować?

Przez krótką chwilę starałam się wymyślić najbardziej prawdopodobną odpowiedź.

– A gdzie ja mogę starać się być jak najszybciej?

– Nie wiem. – Pokręcił głową. – Dlatego pytam.

– Dziewczyny chcą pogadać. Wiesz, Agnieszka chyba się rozwodzi, trzeba jej pomóc, Iwona zupełnie odwrotnie, wychodzi za męża i też trzeba jej pomóc. Wszystkie jesteśmy podekscytowane tym małżeństwem. – Uśmiechnęłam się niepewnie.

– Wolałbym byś czasem była podekscytowana naszym małżeństwem – powiedział złośliwie. – Przydałoby się. Chociaż trochę.

– Wojtek! Nie bądź złośliwy!

– Złośliwość podobno jest miarą inteligencji, prawda?

Nic nie odpowiedziałam. Przed chwilą powiedział mi dokładnie to samo ktoś inny. Czyżby Wojtek podejrzwał naszą rozmowę z Facebooka? Niemożliwe. Niemożliwe, by stał tam tak długo i przysłuchiwał się mojej rozmowie telefonicznej bez słowa.

To jest po prostu niemożliwe.

Znowu w myślach zobaczyłam but mojego męża i zdeptane nim blad różowe płatki.

Pożytek z tej całej niemiłej rozmowy był taki, że mogłam odwrócić się do niego w łóżku plecami i nie tłumaczyć się z braku ochoty na seks.

ROZDZIAŁ 5

SZALEŃSTWO

Tak czasem się zastanawiam, jak to jest, że właśnie ten, a nie inny staje się twoim mężem. Czy gdybyś spotkała go wcześniej, też by nim był? Czy po prostu w pewnym wieku dochodzisz do wniosku, że warto założyć rodzinę i akurat łączysz się z tym, który jest najbliżej. Czy gdybym się zakochała w Pawle nie w liceum, ale dopiero na studiach, czy teraz on by ze mną dzielił łóżko każdej nocy?

Jakie czynniki wpływają na to, że dobieramy się w pary? Psychologowie napisali na ten temat już wiele. Podobno kobiety, poszukując kandydata na ojca dziecka, zwracają uwagę na mężczyzn dojrzałych, starszych od nich o kilka lat i wzbudzających zaufanie. Kobiety muszą mieć świadomość, że można na nich polegać.

Liczy się wygląd, liczy się zapach, a co najlepsze – faza cyklu. Wszystko sprowadza się do tego, by potomstwu zapewnić jak najlepsze geny. Czy to jest sprowadzanie mężczyzny tylko do roli reproduktora? A gdzie w tym wszystkim emocje, gdzie uczucia? Gdzie te cholerne motyle w brzuchu?

Ja wybrałam sobie ojca dla moich dzieci idealnego. Z pełną świadomością mówię, że nie chciałabym mieć innego. I co teraz? Czy jak modliszka powinnam go teraz, gdy spełnił swoje zadanie, pożreć? Wykorzystać i porzucić?

Nie chciałam go porzucić.

Zanim odezwałam się do Pawła, chciałam poczuć motyle w brzuchu, a gdy te motyle już czułam, chciałam poprunąć wyżej i wyżej. Chciałam zobaczyć, czy coś zostało z tych młodzińczych uniesień.

Tak sobie myślę, że Paweł z pewnością nie był dobrym kandydatem na ojca dla moich dzieci. I dlatego to wszystko się rozsypało.

Gdy z nim zerwałam, płakał. Mówił, że zamierzał mi się oświadczyć. Że już nawet był oglądać pierścionki.

Pierścionki? Jakie pierścionki?!

On chciał wydać kasę na pierścionek dla mnie w czasie, gdy ja każdą wolną chwilę przeznaczałam na zarobienie pieniędzy, które wspólnie pożyczaliśmy od jego brata. A on chciał wydawać na pierścionek zaręczynowy? Może jeszcze z brylantem?

Tylko mnie zdenerwował tą informacją.

– Mogłem to zrobić pół roku wcześniej – powiedział wtedy. – Może wtedy byś się zgodziła.

Pół roku wcześniej? Wtedy zupełnie nie myślałam o ślubie. Wtedy musiałam twardo stąpać po ziemi i sama, zupełnie sama stawiać czoło temu, co los przeznaczył dla mnie na

mojej drodze życiowej. Ślub nie był mi w głowie. W żadnym wypadku.

Coś w tym było, że na ojca swoich dzieci wybierasz mężczyznę odpowiedzialnego. Pablo z pewnością nie był odpowiedzialny. Z nim można było konie kraść, a potem się kochać na sianie do białego rana. Można było się kąpać nago przy blasku księżyca, nie zważając na zimno i ludzi wokół.

Z Pablem to było szaleństwo. Nie odpowiedzialność.

Ja bardzo chciałam posmakować teraz szczyptę tego szaleństwa. Odpowiedzialność smakowałam codziennie, będąc matką i żoną. Bycie kochanką miało mi zagwarantować szaleństwo.

ROZDZIAŁ 6

CZY INNE ŻYCIE MOŻE BYĆ DZISIAJ WIECZOREM?

Szaleństwo smakowało mi bardzo. Chciałam motyli – miałam motyle. Chciałam fruwać wysoko – fruwałam.

Pierwszy raz prawie pofrunęłam u niego w mieszkaniu. Dzień po tym, jak zgniótł różę i wyrzucił ją do śmietnika.

Rano pojechałam do mojej mamy. A w zasadzie do dzieci. Zostałam nakarmiona kilogramami przepysznego jedzenia, napojona herbatą, wyprytylana przez moje córki, które stwierdziły, że one zostają u babci cały weekend, bo będą piec pyszne ciasteczka i że najlepiej, gdybym po nie przyjechała dopiero nazajutrz wieczorem.

– Niedobrze coś wyglądasz, córeczko – zatroskała się mama.

– No bardzo ci dziękuję. – Roześmiałam się. – Przychodzę do własnej mamy, a ona mówi, że źle wyglądam.

– Zuza, przecież wiesz, martwię się o ciebie. Może za dużo pracujesz? Oczy masz przekrwione, za dużo tego komputera. Powinnaś odpocząć. Zostaw u nas dziewczynki, wyśpij się, odpocznij.

Perspektywa była kusząca. Dwa dni dla siebie. Dzień, noc i dzień.

I Paweł, który chciał ze mną fruwać w tandemie.

I Wojtek, który najwyraźniej coś przeczuwał, ale sam jeszcze nie wiedział co.

Po południu, prosto od mamy pojechałam do Moniki do gabinetu. Miałam nadzieję, że znajdzie dla mnie chwilę, by zrobić mi jakieś czary mary, po których poczuję się piękną kobietą. Najwyraźniej nie było na to szans. Monika siedziała zapłakana na zapleczu.

– Co się stało? – zapytałam. – Awaria? A ty nie dzwonisz?

– Awaria jak cholera. Awaria. – Wycierała nos.

– Z Krzyśkiem coś? Z Julką? – pytałam. Monika tylko kręciła głową. Nie wiedziałam już co wymyślić. Nie chciała nic mówić. – Z twoim zdrowiem coś nie tak? Byłaś u lekarza?

– Byłam! – wykrzyczała niemalże.

– Coś nie tak? Faktycznie menopauza?

Monika zaczęła płakać jeszcze głośniej. Nie wiedziałam, co mam robić, więc przytuliłam ją tylko mocno.

– Monia. Cokolwiek się dzieje, to się leczy. Ważne, że szybko wykryli – pocieszałam ją.

– Zuza, ty nic nie rozumiesz! – Płakała. Faktycznie, nic nie rozumiałam. – Ja jestem w ciąży!

– O fuck – powiedziałam. Już bardziej podejrzewałam menopauzę niż ciążę.

– No właśnie.

– Spokojnie.

– Ja jestem spokojna. Już jestem.

– Krzysiek wie?

Pokręciła głową.

– Wie moja pani ginekolog i teraz ty.

– Który tydzień?

– Nie wiem. Dziewiąty? Dziesiąty?

– O Boże.

– No właśnie. A ja durna cały czas się zamartwiałam menopauzą. – Pokręciła głową. –

Wolałabym już mieć tę cholerną menopauzę! Ja nie mogę mieć teraz dziecka!

– Co postanowiłaś? – zapytałam.

– Jak to, co postanowiłam? – Spojrzała na mnie zaskoczona.

– Spokojnie. Chcę, byś spokojnie usiadła. I zastanowiła się, co chcesz zrobić – powiedziałam powoli. – I chcę byś wiedziała, że cokolwiek postanowisz, będę cię wspierać.

Monika patrzyła na mnie przerażona.

– Ty chyba nie myślisz, że...

– Monia. Ty podejmujesz decyzję. Ja jestem z tobą. Cokolwiek się wydarzy.

– O Boże. Jaki ten świat skomplikowany! I wiesz co jest najgorsze? Że sami go sobie komplikujemy. Sami jesteśmy kowalami swojego losu, a potem narzekamy na ten los! Im jestem starsza, tym bardziej doceniam powiedzonka mojej babci. Dzisiaj cały dzień mam w głowie: „Gdyby kózka nie skakała, to by nóżki nie złamała”. Gdyby nie skakała, to by nie była w ciąży!

– Monia. Powinnaś powiedzieć Krzyśkowi.

– Ja się czuję, jakbym miała jakieś cholerne *déjà vu*! Powtórkę z rozrywki. Dlaczego, powiedz mi, te moje dzieci są tak cholernie uparte i pchają się na świat w zupełnie niewłaściwym momencie? Julka się pospieszyła i maturę zdawałam z brzuchem, a teraz znowu to samo!

– Tym razem chociaż matury nie zdajesz. – Chciałam ją pocieszyć.

– Zuza, ja się cieszyłam, że mogę pożyć. Chodziliśmy z Krzyśkiem po knajpach, imprezowaliśmy, nawet seks był w bramie! Robiliśmy dokładnie to, czego nie mogliśmy robić w odpowiednim ku temu wieku, bo Julka była mała! Gdy wy się bawiliście, ja siedziałam z obolałymi cyckami w depresji poporodowej. Teraz nadrabiałam wszystko!

– Trochę już nadrobiłaś – powiedziałam spokojnie.

– Trochę tak... – Westchnęła.

Przytulałyśmy się do siebie. Kołysałam ją, jak dziecko.

– Zuza... A jak to chłopak? Krzysiek zawsze chciał mieć syna...

– Widzisz? Z pewnością wszystko się ułoży...

– Kupiłabym mu takie małe adidaski. Takie zupełnie malutkie. – Popatrzyłyśmy na siebie i w tym samym momencie zaczęłyśmy płakać obie. Ale chyba tym razem ze wzruszenia.

– A co wam się stało? – Usłyszałyśmy nagle głos Krzyśka. – Przejeżdżałam obok

i przypomniałem sobie, że wożę dla ciebie te lampy w bagażniku.

– Lampy... – powiedziała smutno Monika.

– Lampy cię tak zasmuciły?

– Zostawię was samych. – Wstałam.

Monika przytrzymała mnie za rękę.

– Zostań.

– Co się stało? Ktoś umarł?

Spojrzałyśmy na siebie z Moniką. Ta pokręciła głową.

– Nie. Wręcz przeciwnie – powiedziała.

– Jak to wręcz przeciwnie? Ktoś się urodził i wy ryczycie? Jak się ktoś rodzi, to przecież cieszyć się trzeba!

– Mówisz? – Uśmiechnęła się Monika.

– No tak.

– Jestem w ciąży – powiedziała, patrząc na niego badawczo.

Krzyśkowi zaświeciły się oczy. Nie wyglądał na zbyt przerażonego.

– O kurde. – Uśmiechnął się. – O kurde. Poszaleliśmy, mała!

– Ale nie jesteś zły?

– Zły? Przecież przed chwilą mówiłem, że jak jest dziecko, to trzeba się cieszyć! Monia!

To może wreszcie się ze mną ożenisz?

– Ja was naprawdę samych już zostawię. – Roześmiałam się.

– Kurde. A jak to będzie chłopak, to kupię mu cały strój FC Barcelona. Łącznie z podkolanówkami.

– Wariat.

– Chłopak będzie, prawda?

– Tego nie mogę obiecać.

– No dobra. – Westchnął. Położył rękę na brzuchu Moniki. – Trudno. Jak jesteś dziewczynką, też ci kupię strój FC Barcelona. – Pokręcił głową.

– Idę kochani. – Pomachałam im. Monika się zerwała i odprowadziła mnie do drzwi.

– Dzięki, Zuza.

– Nie ma za co.

– Za to, że byłaś. I powiedziałaś, że jesteś ze mną. To dużo. Gdybym mogła coś dla ciebie zrobić...

– Monia... Możesz... – Pomyślałam przez chwilę. – Czy w razie czego... Czy mogłabym powiedzieć Wojtkowi, że zostaję u ciebie na noc?

Monika spojrzała na mnie pytająco.

– Mam nie pytać?

Pokręciłam głową.

– Nie pytaj.

– Zuza, nie robisz nic głupiego? – zapytała.

– Jeszcze nie.

– Ale masz taki zamiar – stwierdziła bardziej, niż zapytała. Przytaknęłam. – Znam go?

– Odwróciłam od niej wzrok. Nie chciałam, by wiedziała. – O Boże, spotkałaś się z Pawłem. Zuza...

– Cii. Nic nie mów – poprosiłam. – W razie czego mogę powiedzieć, że byłam z tobą?

– Wszystko możesz. – Westchnęła. – Tylko uważaj. Nie rób niczego, czego byś potem żałowała. – Przytuliła mnie. – Pomyśl o tym, nim będzie za późno.

Obawiam się, że już było za późno.

„Jestem potrzebna Monice. Wrócę późno. Dziewczynki chciały zostać u babci”. Napisałam do Wojtka esemesa.

W tym samym momencie poczułam się wolna.

Wsiadłam w samochód i pojechałam do sklepu. Była sobota, późne popołudnie, dużo młodych ludzi stało przed sklepem. Poczułam się jak stara matrona, która usiłuje się dopasować do dzieciaków, by być trendy, ale jej to wcale nie wychodzi.

– Wino poproszę. Półwytrawne. Białe – poprosiłam. – Tak, może być z tych droższych.

To chyba jeden z nielicznych przywilejów tego, że już się nie było studentem. Można było sobie pozwolić na droższe wino.

Zapakowałam butelkę do torby, wsiadłam w samochód i pojechałam do Pawła. Wraz z jego sąsiadami weszłam przez drzwi wejściowe do klatki. Wbiegłam na pierwsze piętro, rozpięłam płaszcz, dwa guziki w mojej koszulowej bluzce i zadzwoniłam do drzwi.

– Czy pan zamawiał wino? – zapytałam.

Bardzo usatysfakcjonował mnie jego zaskoczony wzrok.

Wziął ode mnie butelkę, zdjął ze mnie płaszcz, rozwinął zaplątaną wokół szyi apaszkę i mocno przytulił. Po chwili spojrzął na mnie, musnął lekko moje usta swoimi. Zadrżałam. A to przecież tylko pocałunek. Nie broniłam się. Przyłgnęłam do niego jeszcze bardziej. Staliśmy w tym przedpokoju i całowaliśmy się zupełnie tak, jak dwadzieścia lat temu.

Po raz kolejny w moim życiu to ja decydowałam o tym, co się stanie. On biernie czekał. To ja do niego przyszłam. Ja kupiłam wino, ja rozpięłam te guziki. Czy on mnie do tego namawiał? Nie. To nie on zrobił pierwszy krok. I nie on miał później ponosić konsekwencje tego kroku.

Smakował inaczej niż kiedyś. Może bardziej dojrzałe. Podniecał dużo bardziej. Może to niebezpieczeństwo podnieca? Zakazany owoc? Miał bardziej suche usta i bardziej miękkie.

Sam pocałunek spowodował, że cała drżałam. Nie mogłam złapać tchu.

– Mamy całą noc – powiedziałam. Spojrzął na mnie, jakby prosił o pozwolenie. – Ten jeden raz – wyszeptałam. – Po prostu jeden raz. Jedna noc.

– Cała noc? – upewnił się.

– Cała. Do rana.

– A gdzie...

– Ciii... – Położyłam mu palec na ustach. – Poza nami nikogo nie ma. Znowu mamy

dziewiętnaście lat i przed nami cały świat.

– A potem powiemy, że to sen.

– Potem powiemy, że to jedna część układanki zagubiona w naszym życiorysie. – Zsunęłam buty i weszłam boso do pokoju.

Byłam u niego po raz pierwszy. Typowy męski pokój z aneksem kuchennym. Ciemne kanciaste nowoczesne meble, wielki telewizor na ścianie i sprzęt grający wysokiej jakości. Kolumny na całą ścianę. Włączył muzykę.

– Schubert – powiedział.

– Nigdy nie lubiłeś muzyki klasycznej...

– Gdy myślę, lubię. – odparł.

– To może teraz włączysz coś innego?

– Dlaczego?

– Żebyś za dużo nie myślał? – Uśmiechnęłam się. Nie chciałam, by myślał. Chciałam, by rzucił mnie na łóżko i jak za dawnych czasów kochał się ze mną namiętnie aż do świtu.

– Ważne, byś ty nie myślała zbyt dużo. Nie analizowała wszystkich za i przeciw...

– Przeciw jest dużo. – Wojtek właśnie mi przypomniał, co ja zamierzam zrobić i gdzie jestem. Przez chwilę się zawahałam.

– A za?

– Nie pytaj – powiedziałam.

– Czemu?

– Bo bym musiała powiedzieć prawdę.

– A jaka jest prawda? Przecież mi możesz wszystko powiedzieć. Znamy się już tyle lat.

– Znaliśmy się – poprawiłam. – Teraz poznajemy się na nowo.

– A czy tak bardzo się różnimy od tych „nas” z przeszłości? Przecież tak naprawdę tylko czas upłynął. Trochę siwych włosów, może zmarszczek...

– Blizna na brzuchu po cesarce... Trochę mniej jędrne piersi po karmieniu... – wymieniałam. – Kilkanaście kilogramów na plusie...

– Myślisz, że to ma jakiegokolwiek dla mnie znaczenie?

– Nie mam pojęcia... – Wypiłam łyk wina. – A ma?

– Żadnego...

Przysunął się do mnie bardzo blisko. Tak blisko, że czułam jego oddech na swoim policzku. Całował moją szyję, tak jak tylko on to potrafił. Pożądałam go tak, jak nigdy dotąd. Nawet jego. Czy to właśnie tak smakuje zakazana miłość? Jeszcze nie było za późno, by się wycofać. Jeszcze mogłam zrobić wszystko.

– Pablo... Nie powinniśmy... – Odsunęłam się. – Jednak nie.

Chciałam wstać, ale mi na to nie pozwolił.

– Proszę... Zuza, to wycinek naszego życia. Krótki fragment rzeczywistości, tylko nam znany. Potem głęboko go schowamy, nie wyjdzie na światło dzienne. Tylko raz. Tylko teraz.

Złapał mnie za rękę i przyciągnął do siebie. Osunęłam się na sofę.

– Paweł! Przestań!

Zamarł.

– Przepraszam.

Siedziałam na tapczanie, ciężko oddychając.

– Ja też przepraszam. – Zapinałam nerwowo bluzkę. – Muszę iść.

Pokiwał głową.

– Rozumiem. Ale cholernie chcę, byś została.

– Pablo. W innym życiu. Obiecuję.

– Nie ma innego życia.

Wiedziałam o tym. Wiedziałam, że nie ma innego życia. Czy to moje życie było złe? Nie.

Było dobre. Ale ja chciałam więcej, chciałam lepiej i chciałam wyżej.

Tamtego wieczoru wróciłam do domu. Wojtek jeszcze nie spał, oglądał telewizję. Przyszłam do niego i się do niego przytuliłam.

Schizofrenia.

Od jednego wracam, do drugiego się przytulam. Czego ja, do cholery, w życiu chcę? Czy chcę narobić sobie emocjonalnego bałaganu?

Już narobiłam.

Bałagan trzeba posprzątać, a nie zamykać oczy i udawać, że go nie ma.

Nigdy nie potrafiłam sprzątać. Bałaganu w mojej głowie również.

Tamtej nocy byłam wyjątkowo miła dla męża. Jednak przed oczami miałam kogoś innego.

Zadzwonił dwa dni później, gdy byłam w pracy. Nigdy wcześniej tego nie robił.

– Coś się stało? Dlaczego do mnie dzwonicz?

– Chciałem usłyszeć twój głos. Twój głos i szybka jazda samochodem nocą to mój wentyl bezpieczeństwa. Uzależniasz.

– Paweł...

– Już kończę. Tylko tyle chciałem ci powiedzieć.

Rozłączył się.

Naprawdę starałam się o nim zapomnieć. Uznać wizytę w jego mieszkaniu jako próbę ognia, którą udało nam się przetrwać. Umiałam się wycofać w porę. Czułam się silna.

Po kilku dniach tęskniłam. Pomyślałam, że skoro jestem taka silna, to przecież mogę dalej z nim rozmawiać, utrzymywać kontakt, może trochę nawet poflirtować? Przecież nikogo nie krzywdzę!

Bo przecież nic złego nie robię...

– Nie smakuje mi kawa. – Zadzwoniłam do niego któregoś dnia.

– Dlaczego? – zapytał.

- Nie ma ciebie obok.
- Mógłbym za chwilę być.
- Starbucks na dole? U mnie?
- Daj mi dwadzieścia minut.

Ot, było to bardzo proste.

Czyż nie mogłam wypić kawy ze starym znajomym? Przecież mogłam. Byłam pewna, że kawa będzie smakować wybornie.

Smakowała. Jednak nie piliśmy jej we dwójkę.

Do Starbucksa weszła Agnieszka. Ubrana w jakąś szaroburą bluzkę, bez makijażu, z włosami w nieładzie. Nie wyglądała najlepiej. Zreflektowałam się, że od pewnego czasu w ogóle nie wiem, co u nich słychać.

– Zuzanna? Pablo! – Rzuciła mu się na szyję. – Ty się nic nie zmieniasz! Zuza, nie mówiłaś, że się spotkaliście!

– Bo nie miałam okazji. – Uśmiechnęłam się. Cóż miałam robić, pozory trzeba było zachowywać. Kupiła sobie kawę i przysiadła się do naszego stolika.

– Zanedbujesz nas ostatnio – powiedziała Aga. – Monia się skarżyła, Iwona się skarżyła. Nie masz czasu, pracujesz, a ty się z Pawłem spotykasz.

– Dzisiaj tylko kawa...

– Jesteśmy dzisiaj u Moniki.

– Ale dzieci...

– Nie masz wymówki. Po dwudziestej pierwszej. Już będą spały.

– Okej. Pogadam z Wojtkiem.

– Jak chcesz, to sama do niego zadzwonię.

– A co Aguś u ciebie? – zapytałam.

Agnieszka nerwowo spojrzała na Pawła.

– To wieczorem – powiedziała. – Żyję i oddycham. I to jest najważniejsze. Mimo iż sprawia mi ból. Pogadamy, jak przyjdiesz. Muszę uciekać.

Spojrzałam na komórkę. Dochodziła dwunasta. W południe miałam spotkanie z prezesem.

– Też muszę iść. Miło było. – Spojrzałam na Pawła.

– Do zobaczenia – powiedział. – Mam nadzieję, że szybkiego. – Popatrzył na mnie wymownie. Czyżby miał na myśli dzisiejszy wieczór? Z pewnością.

– Też mam taką nadzieję. – Uścisnęłam mu rękę.

Pobiegłam na górę na spotkanie zarządu. W trakcie spotkania wibrował mój telefon. Esemes. Mogłam go odebrać dopiero po spotkaniu.

Paweł: „Czy mówiąc, że liczysz na szybkie spotkanie, miałaś na myśli to samo co ja?”

Ja: „Nie wiem, co miałeś na myśli...”

Paweł: „To, że dzisiaj wieczorem nie będę sam. To, że mam kupić wino”.

Ja: „Pablo, nie zaczynaj znowu”.

Paweł: „Będę zaczynał codziennie. Mam nadzieję, że kiedyś mi pozwolisz nie tylko zaczynać”.

Ja: „Pablo, już ci mówiłam, w innym życiu”.

Paweł: „Czy inne życie może być dzisiaj wieczorem?”

ROZDZIAŁ 7

PRZERWA W ŻYCIORYSIE

Całował, rozpinając moją koszulę, pospiesznie ściągał ze mnie ubranie. Miałam wrażenie, jakby jego ręce, usta i język nie mogły nacieszyć się moim ciałem.

Miał rację. Nic nie miało znaczenia. Ani upływ czasu, ani zmarszczki, blizny, ślady po macierzyństwie – te na brzuchu i te w sercu.

Nic nie było istotne. Poza tym kawałkiem wyrwanym Wojtkowi z naszego wspólnego życia. Było inaczej. Byliśmy bardziej dojrzały, może mniej zakłopotani seksem niż kiedyś. Bardziej doświadczeni.

Znaliśmy siebie i swoje reakcje sprzed dwudziestu lat, a tamtej nocy sprawdzaliśmy, czy jeszcze pamiętamy. Pamiętaliśmy prawie wszystko. W drobnych szczegółach. Również to, że przytulał mnie tak mocno, że budziłam się kilka razy tamtej nocy – jak dawniej. Również leniwy, niespieszny seks o poranku, na tyle namiętny, by zapomnieć o tym, że to zakazany owoc i na tyle słodki, byśmy z przyjemnością ten owoc zerwali.

Zadzwonił telefon.

Wojtek.

Nie odebrałam, ale nastrój przysł.

A przecież ja nie chciałam zrobić nic złego. Przecież to tylko chwila wycięta z naszego życia. Drobną, nic nieznaczącą chwilą! Telefon po raz kolejny. Dzwoni, dzwoni i dzwoni!

Ktoś dotyka mojego ramienia. Wojtek?

– Ty nie wstajesz dziś do pracy? Budzik dzwoni, a ty nic.

Widać nie chciałam się obudzić. Chciałam być dalej z Pawłem w tym śnie. Kochać się kilka razy do białego rana, do utraty tchu.

Chociaż we śnie. Chociaż we śnie pozwolić sobie na tę ucieczkę od codzienności i latanie w chmurach.

Od: Zuzanna

Data: 20 marca 2016

Temat: Sen

Do: Paweł Szadziński

Śniłeś mi się dziś. Czy mógłbyś mi się śnić tak częściej? I najlepiej dłużej. I jeszcze lepiej w sobotę, by budzik nie dzwonił i nie budził mnie w najciekawszym momencie.

Cudny był ten sen.

Poproszę o BIS.

Da się to załatwić?

Zuza

Od: Paweł Szadziński

Data: 20 marca 2016

Temat: Re: Sen

Do: Mała Zu

Napisz. Albo opowiedz. Kawa? Herbata? Kolacja?

Bardzo chciałbym wiedzieć, co robiłem w tym śnie. Co robiliśmy?

Czy to co myślę?

I jak było?

Pablo

Jak było... Było cudownie. Ale czy powinnam mu o tym pisać?

Nasza senna noc była mieszanką wspomnień, marzeń, tęsknot i niezrealizowanych pragnień. Nie mogło być inaczej niż cudownie. Czy tak byłoby również w rzeczywistości? A może rzeczywistość okazałaby się brutalnie zwyczajna? I po wszystkim żałowałabym, że do tego doszło, a już nie byłoby odwrotu. Już potem zawsze z Wojtkiem bylibyśmy we trójkę w łóżku.

Przeszłości nie dało się wymazać gumką. Już ja i Pablo o tym wiedzieliśmy najlepiej. Można starać się pewne fakty z naszego życia ułożyć pod stertą innych rzeczy w nieotwieranej na co dzień szufladzie, ale trzeba być świadomym, że czasem, przez zupełny przypadek, możemy tę szufladę otworzyć. Czasem może zajrzeć do niej ktoś zupełnie niepowołany, ktoś, komu nigdy nie chcielibyśmy się zwierzać z naszych sekretów. A sekrety ma każdy. My też mieliśmy swoje, takie, o których nawet sami nigdy nie rozmawialiśmy. Kiedyś obiecaliśmy sobie, że nie będziemy o tym mówić i do tej pory dotrzymywaliśmy słowa.

– Naniósłem uwagi do twoich tekstów. – Paweł zadzwonił do mnie któregoś dnia. Codziennie rozmawialiśmy przez internet, ale dzwonił rzadko. W zasadzie tylko w sprawach zawodowych.

– Tak?

– Moglibyśmy się spotkać? Na przykład u mnie, po pracy?

– Czekaj, muszę zorganizować kogoś, kto odbierze dziewczynki ze szkoły... – myślałam na głos. – No chyba, że to potrwa krótko, to bym na chwilę z nimi do ciebie przyszła.

– Wiesz, może lepiej wszystko omówimy, jak będziemy sami.

– Dobrze, poczekaj, zadzwonię do mamy, może je odbierze.

Mama oczywiście z przyjemnością wykorzystwała możliwość spędzenia popołudnia z wnuczkami.

– Wiesz co? To spokojnie sobie pozałatwiał wszystkie sprawy, niech dziewczynki u nas

śpią. Jutro zawiozę je do szkoły.

– Mamo, ale na pewno je zawieziesz?

Ostatnio, jak nocowały, stwierdziła, że jak jeden dzień nie pójdą do szkoły, to świat się nie zawali. No miała rację, świat się nie zawalił, ale my z Wojtkiem nie byliśmy zadowoleni, że uczy dzieci braku odpowiedzialności. Chociaż teraz sobie myślę, że ja też tej odpowiedzialności nie byłam zbyt nauczona.

Sama przed sobą udawałam, że naprawdę idę do Pawła, by porozmawiać z nim tylko i wyłącznie o tekstach, które dla niego pisałam.

Naprawdę w pewnym momencie w to uwierzyłam. Trochę tylko zmyliłam samą siebie, biorąc przed spotkaniem prysznic, depilując nogi i zakładając lepszą bieliznę. Tę z tych wyjściowych. To nie był czas na majtki na rajstopy, które robiły furorę na nierozbieranych przyjęciach czterdziestolatek.

Majtki z golfem, jak mawiał Wojtek. Jemu one nigdy nie przeszkadzały. Widział je wielokrotnie, więc się przyzwyczaił. Paweł mógłby takiego widoku nie przeżyć.

Ale o czym ja myślę?

Teksty. Tylko teksty. I uwagi do nich.

Zadzwoiłam do Wojtka, że dziewczynki u mamy, a ja wychodzę. Zakuło mnie coś w sercu. Tęsknota za naszymi wspólnymi wieczorami? Coraz częściej wychodziłam. Coraz rzadziej byłam z moimi córkami. Przeróżające było to, jak mało czasu mieliśmy dla siebie. Najwięcej godzin spędzałam w biurze z czterdziestoma innymi osobami, które musiały funkcjonować na swoich stanowiskach oddzielonych dyktą w ogromnym open space. Po pracy wracałam zmęczona i bardzo często marzyłam o tym, by moje dzieci poszły spać jak najszybciej, bym mogła odpocząć. Wojtka też najchętniej bym się z domu pozbyła. Bym mogła w spokoju siedzieć i nic nie robić.

Praca, dom, w domu zmęczenie. Weekendy niedospane, bo przecież trzeba nadgonić mnóstwo spraw. I znowu niedużo czasu dla dzieci. Podobnie jak w grze w Simsy, w którą grałam, jak byłam młodsza. Pewnie też ze dwadzieścia lat temu. Tam zawsze było zbyt mało czasu na życie. I ten Sim zawsze był niezadowolony. Miał zbyt mało energii albo był za mało wykształcony, albo rozrywki mu nie dostarczałam. Wszędzie w biegu, w niedoczasie, nieustająco z wyrzutami sumienia. Że można bardziej, więcej, mocniej, lepiej!

Podobno, by wychować dziecko na szczęśliwego człowieka nie potrzeba dużo. Potrzeba zaledwie dwudziestu minut uwagi dziennie za to skoncentrowanej w stu procentach na małym człowieku. Czasem czułam się tak zmęczona, że te dwadzieścia minut to było aż nadto. To miał być mój świat? Takie wymarzone dorosłe życie?

To ja powinnam być zawsze z moimi córkami, uczyć je odpowiedzialności, nie moja mama, która, jak widać, nie ma zbyt dobrych efektów w uczeniu tej odpowiedzialności. Bo jej córka, wydawałoby się całkiem dorosła, prawie czterdziestoletnia, znowu lgnie do obcego faceta jak ćma do światła. Albo jak mucha do lepu.

Ćma czasem wykazuje się instynktem przetrwania i nie spala się w ogniu świecy, ale dla muchy w zasadzie nie ma ratunku. Mądrzeje, jak już jest za późno. I nikt jej nie może

uratować. Zresztą nawet nie chce. Bo i po co ratować muchę?

Naiwna czterdziestolatka.

Po pracy wróciłam do domu, ogoliłam te nogi, wyperfumowałam się i poszłam do Pawła. Czekał na mnie z obiadokolacją. Jakieś spaghetti. Prężył się wtedy jak paw, że coś dla mnie ugotował. Nie znał możliwości Wojtka, które były miksem talentów Jamiego Oliviera z Amaro. Ja znałam te możliwości.

Potrawy Wojtka przypominały najlepsze dania z programu Master Chef, a spaghetti Pawła... Cóż. Było takie jak dwadzieścia lat temu w Kuźnicach na polu namiotowym, gotowane w aluminiowej menażce.

– Przez żołądek do serca – powiedział. Roześmiałam się. – A co? Nie? – zapytał. – Kiedyś ci smakowało.

– Smakuje – potwierdziłam.

– Wina?

– Nie. Przecież samochodem przyjechałam. Omawiać teksty.

– Są świetne – powiedział.

– Super. Możemy o nich pogadać?

– Już pogadaliśmy przecież.

– Kiedy? – Zmarszczyłam brwi.

– Przed chwilą. – Zawiesił głos. – Przecież powiedziałem, że są świetne.

– Pablo... Ty coś kręcisz – stwierdziłam, uśmiechając się.

– Chciałem cię zobaczyć. Ot, po prostu.

– A nie mogłeś tego powiedzieć?

– Nie, bo byś nie przyjechała. Zauważyłem, że jedyny pretekst, jaki skutecznie jest w stanie cię zwabić do mojej jaskini, to praca. Chyba będę musiał przygotować jakąś serię zleceń dla ciebie. I zapraszać cię na zebrania zarządu.

– Ciężko było mi dziś coś dla dzieci zorganizować.

– Widzisz. Dałaś radę. – Uśmiechnął się zadowolony.

Lekko odwzajemniłam uśmiech. To nie tak, że dałam radę. Zawsze daję. Jestem obowiązkowa. Czasem są sprawy ważne i ważniejsze. I dzisiaj ważniejsze były dzieci. Zawsze ważniejsze są dzieci, ale dzisiaj szczególnie sobie to uświadomiłam.

Pola miała być pytana z angielskiego, zupełnie nie wiem, jak jej poszło. Przygotowywałyśmy się poprzedniego dnia. Iga poprzedniego dnia wieczorem płakała, bo koleżanki jej powiedziały kilka słów za dużo. Powinnam być teraz z nimi, a nie jeść rozgotowane spaghetti.

Wyrzut sumienia.

– Muszę na chwilę zadzwonić. – Wyszłam z pokoju i zadzwoniłam do mamy. Dziewczyny się świetnie bawiły, nawet niespecjalnie chciały ze mną rozmawiać. Pogadałam z każdą z nich. Pola bardzo dobrze odpowiedziała w szkole z angielskiego, a po troskach Igi z dnia wczorajszego nie było śladu. Trochę mi ulżyło.

– Najgorsze już za nami? Sytuacja opanowana?

– Wiesz, czasem są takie dni, kiedy czujesz, że lepiej ci będzie pod kocem niż

gdziekolwiek indziej – powiedziałam. – I chyba mam dziś taki dzień.

– Pamiętam, jak miewałaś takie dni. Leżeliśmy wtedy razem na tapczanie. Oglądaliśmy jakiś film albo po prostu tylko leżeliśmy.

– To było dawno, tak dawno, że o tym już zapomniałam.

– Nie zapomina się takich rzeczy – powiedział Paweł i poszedł do sypialni. Po chwili wrócił z grubym puchatym kocem. Położył mnie na sofie, pod głowę podłożył mi poduszkę. Okrył mnie. – I już. Po kłopotcie. – Pogłaskał mnie po policzku. Poczułam, że ktoś się o mnie troszczy. Mały gest. Koc, poduszka. Muśnięcie jego dłoni o mój policzek. Przytulnie jak zawsze z nim. – Herbaty? – zapytał. – Może z imbirem?

– Nie, dziękuję. Tak jest dobrze. – Przytuliłam się do poduszki. – Zaraz zasnę. Jak zasnę, obudzisz mnie, dobrze? Przecież powinnam już wracać do domu.

– Jeszcze chwilę. Zaraz wrócisz. Głaskał moje włosy. Odpocznij. Zrelaksuj się.

Chyba tego potrzebowałam, bo zasnęłam tam u niego pod puszystym kocem. Obudziła mnie jego dłoń na moich piersiach i usta na szyi. Starał się rozpiąć mi guzik u spodni.

– O Boże, która godzina? – Zerwałam się z sofy. Wszystkie guziki mojej bluzki miałam rozpięte. – Paweł, już jest trzecia! Cholera, trzecia w nocy! Miałeś mnie obudzić!

– No właśnie cię budziłem.

– Kurcze, co ja powiem Wojtkowi? – Szybko zapinałam bluzkę. – Czemu mnie tak późno obudziłeś?

– Sam zasnąłem – odpowiedział bez troski.

Wyciągnęłam z torebki telefon. Siedem nieodebranych połączeń. Kurczę. Ostatnie tuż po północy. Szukał mnie.

Cholera!

Wracałam do domu, pędząc szybko ulicami Trójmiasta. Jakby te pięć minut po godzinie trzeciej w nocy mogło cokolwiek zmienić. Wojtek nie był idiotą. Jeżeli już czegoś nie podejrzewa, to na pewno zacznie.

Cholera!

Nad ranem ruchu nie było wcale. Gdyby w ciągu dnia tak było, dojazdy do szkoły z dziewczynami zajmowałyby mi dużo mniej czasu. Zaparkowałam dość krzywo pod blokiem i pobiegłam do domu. Cicho otworzyłam drzwi. Bezszelestnie zajrzałam do sypialni. Wojtek już spał. Szybko przebrałam się w piżamę i wsunęłam do łóżka.

Znowu do niczego, no, prawie do niczego między mną a Pawłem nie doszło. A miałam wyrzuty sumienia. Z jednej strony, poczułam niewysłowioną ulgę, że Wojtek już śpi, że nie czeka na mnie, że nie zadaje kompromitujących pytań, a z drugiej strony, czułam wciąż dotyk dłoni Pawła na moich piersiach. Pewnie, gdyby nie ten czas nieubłagany, zostałabym.

A może to ktoś nade mną czuwa, że nie zostałam? Że już któryś raz z kolei tak daleko idiemy w to, co kiedyś tak dobrze znaliśmy i nagle zdarza się coś, co nas powstrzymuje przed oddaniem się sobie w pełni.

Zamknęłam oczy. Byłam wściekła, że nie zostałam. Wyciągnęłam telefon.

Ja: „Wszystko ok. Jestem w domu, leżę w łóżku”.

Paweł: „Leżysz w niewłaściwym łóżku”.

Ja: „Trzeba było się zastanowić nad tym dwadzieścia lat temu”.

Paweł: „To była twoja decyzja”.

Ja: „Trochę masz racji”.

Miał rację. Ja zerwałam. Tęskniłam za nim cholernie. Ale nie wyobrażałam sobie życia z nim. Wtedy. A czy teraz sobie wyobrażałam? Popatrzyłam na śpiącego Wojtka.

Nie. Nie wyobrażałam sobie życia z nikim innym. Nie wyobrażałam sobie, by moje córki miały z kimś innym mieszkać. Wiedziałam, że póki one będą małe, na pewno nie mogłabym z nikim innym spać w naszym łóżku.

To po co ja w to brnę? Po cholere idę coraz dalej, zasypiam w jego objęciach i budzę się prawie naga? Dlaczego na to pozwalałam? Bo chcę? Bo chcę przekonać się, jak to będzie z nim po tylu latach? Chcę przekonać się, jak smakuje jego ciało, jak pachnie, gdy on mnie pragnie?

Jakie to wszystko jest skomplikowane!

Budzik zadzwonił jak zwykle o świcie. Jęknęłam.

– Dzień dobry – powiedział oschle Wojtek. – O której wróciłaś?

– Nie wiem. Może po dwunastej?

– Nie było cię po dwunastej – stwierdził.

– Nie patrzyłam na zegarek.

– A gdzie ty w ogóle byłaś?

– No mówiłam ci. Spotkałam się w sprawie tych tekstów – tłumaczyłam się.

– A nie możesz się spotykać w dzień? Zresztą pytałem, gdzie byłaś, a nie w jakiej sprawie.

– U Pawła w domu – przyznałam.

– Siedziałaś u jakiegoś kolesia w domu? I co, jego żona nie ma nic przeciwko, że jego była dziewczyna przesiaduje u nich? – Nic nie odpowiedziałam. Przecież Wojtek nie musi wiedzieć, że Pablo nie ma żony. Może nawet lepiej, by nie wiedział. – Nie podoba mi się to!

– Wojtek był zdenerwowany. – Kompletnie mi się to nie podoba, że gdzieś łazisz po nocach. Twoje miejsce jest w domu!

– I co? Może jeszcze przywiążesz mnie do kaloryfera? – zapytałam złośliwie.

– Zastanów się, Zuza. Zastanów się trochę. Rozwalasz wszystko. Nie podoba mi się to. Zastanów się, czego oczekujesz od życia. I czy jest tam dla mnie miejsce.

Zabolało. Wtedy po raz pierwszy zabolało.

Dla Wojtka miejsce było zawsze. Zawsze. To dlaczego mnie coś ciągnęło w stronę Pawła? Jakaś wielka siła – jakbyśmy te dwadzieścia lat temu zostali związani na zawsze, a potem te więzy tylko o sobie przypomniały.

Tak właśnie było. Tylko wtedy ja jeszcze tego nie rozumiałam.

Nie mogłam sama ze sobą dojść do ładu. Maile, esemesy od Pawła, które były coraz bardziej namiętne. Moje im dorównywały. W domu cisza jakby przed wielką burzą.

Starłam się nigdzie nie wychodzić, by nie wzbudzać podejrzeń, nie spotykałam się z Pawłem. Bo i po co?

Wojtek pilnował mnie jakby bardziej. Nie przeglądał esemesów, ale czasem wpadał do mojej pracy w ciągu dnia, jakby chciał sprawdzić, czy na pewno tam jestem.

Zawsze byłam.

Czułam się, jakby mnie ktoś zamknął w szczelnym pudełku i nie pozwalał wyjść, by zaczerpnąć powietrza. Raz poszłam do Pawła. Nie wytrzymałam. Stałam u niego w drzwiach, zupełnie nagle. Bez zapowiedzi. Wojtek poszedł z dziewczynami do kina, a ja wsiadłam w samochód i po prostu pojechałam dobrze znaną już drogą.

Wtedy wiedziałam, czego chcę. Wiedziałam, że muszę po prostu spróbować.

Chyba pracował. Otworzył mi ubrany w dżinsy i koszulę. Rękawy koszuli miał podwinięte, stopy bose. Na nosie okulary w czarnych oprawkach.

– Nie wiedziałam, że nosisz okulary – powiedziałam.

– Tylko do czytania...

– Przyszłam. Mamy trzy godziny. Trzy godziny, które będą naszą tajemnicą.

Paweł zdjął okulary. Wziął mnie za rękę i zaprowadził do pokoju.

– Trzy godziny to dużo, ale zarazem bardzo, bardzo mało – powiedział. Podszedł niespiesznie do radia. Włączył muzykę.

Rozbrzmiała w całym domu. Piękna izraelska piosenka.

– Kobieta ma kochankę. – Przybliżył się do mnie. – On żeni się z inną. – Objął mnie i zaczął lekko się poruszać w rytm muzyki. – Ona prosi go o jeszcze jedną noc.

– Brzmi prawie znajomo – szepnęłam.

– Brzmi. – Bawił się w tańcu moimi włosami, gładził mnie po nich i po karku. – Też chciałbym cię o to prosić – powiedział. – Tylko o jedną noc.

– I co potem?

– Tego nie wiem.

– Myślisz chwilą. – Pocałunek w szyję. Zsunął mi ramiączko bluzki. Całował obojczyk i ramię. – A czego ty właściwie oczekujesz od życia? – zapytałam.

– Ja? Nie wiem. – Rozpiął swoją koszulę. – Chyba nauczyłem się nie oczekiwać niczego.

Pocałunek. Jego dłonie na moich nagich plecach.

– Nie masz planów? Nie dążysz do niczego? Nie zastanawiasz się, jak może wyglądać twoje jutro?

– Wiesz... Nigdy moje „jutro” nie wyglądało tak, jak je sobie wymyśliłem. Zawsze coś stawało na drodze.

– Albo ty stawałeś na drodze – powiedziałam.

– To ty mnie zostawiłaś.

– Wyjechałeś.

– Potem wróciłem.

– Chciałam też do ciebie wrócić, ale powiedziałeś mi, że jest za późno. – Pokręciłam

głową. – Płakałam w poduszkę. Co wieczór.

– Ja też płakałam.

– Minęliśmy się w tym świecie. O włos. – Złapał pasmo moich włosów – A czy teraz się miniemy, tym razem zależy od ciebie.

– Pablo... – Westchnęłam.

– Nie myśl. – Przytulił mnie mocno. Tańczyliśmy tak blisko, że bliżej już nie było można. Całym swoim ciałem czułam jego ciepło, zapach tak kiedyś mi bliski. Boże, co się porobiło? Kiedyś byliśmy pewni, że będziemy razem do końca świata, najlepsi przyjaciele, doskonali kochankowie i nagle nie ma „nas”, jest każdy osobno. Daleko. I nie ma takiego kleju, który z powrotem posklejałby te złamane serca. A nawet jeżeli, zawsze pozostanie bardzo brzydka rysa. Byłam pewna, że serca są złamane. Czułam się winna, że to ja je zламаłam. Bo ja chciałam się rozstać. A potem nie było już powrotu. Czułam się winna, że on wyjechał, a ja po prostu nie chciałam być sama.

– Wiesz sama, że jak chcesz rozśmieszyć Boga, powiedz mu o swych planach.

– Zaczęłaś wierzyć w Boga? Od kiedy? – zdziwiłam się.

– Nie, bardziej zacząłem być na niego wściekły. O ile istnieje.

– Z pewnością ktoś taki jak Bóg istnieje. Możesz go nazywać, jak chcesz. Ale to my jesteśmy kowalami swojego losu. Nic nie dzieje się przez przypadek.

– Teraz też nie? – zapytał, zdejmując mi bluzkę.

– Teraz też nie. – Postanowiłam pozwolić na wszystko.

Niespiesznie zdejmował ze mnie ubranie, jakby chciał zatrzymać te chwile jak najdłużej. Delektował się moim smakiem, zapachem, niczym pysznym tortem, który dostał w prezencie po raz pierwszy od długiego czasu. Poddawałam się jego pieszczotom, chłonąc jego dotyk tak, jakbym chciała go zapamiętać na zawsze.

Izraelska piosenkarka śpiewała w rytm naszych oddechów, a nasze westchnienia stanowiły dla niej doskonały akompaniament.

Gdy wydawało się, że nic nie może nas powstrzymać, zadzwonił telefon. Dzwonek wskazywał na Wojtka.

– Muszę odebrać. Przepraszam. – Zerwałam się z sofy i okrywając koszulą Pawła, podeszłam do telefonu.

– Halo?

– Hej, to ja. – Wojtek był zdenerwowany.

– Już wróciliście z kina? – zapytałam zaskoczona. Czas minął mi zdecydowanie zbyt szybko.

– Wiesz, Iga zwymiotowała, teraz ma gorączkę, chyba wysoką. A nie mamy nic, nie kupowałam, bo myślałam, że jest – mówił. Ja stygłam. Chore dziecko zawsze matkę stawia na baczność. – Zuza, jesteś gdzieś w sklepie? – zapytał.

– Tak, kupię coś. I zaraz będę.

– Dobrze, nie wiem, czy nie trzeba będzie z nią jechać do lekarza.

– Pojedziemy, jak będzie trzeba. Na razie może okład jej zrób. Na kark i czoło. Chłodny. A jedliście coś w tym kinie?

– Nie. Kupiłem popcorn, ale nawet nie ruszyła. Dobra, przyjeżdżaj. Muszę kończyć. Przez słuchawkę usłyszałam płacz Igi. Rozłączyłam się.

Pablo siedział na sofie i mnie obserwował.

– Musisz iść? – zapytał. – Złapał mnie za rękę, próbując mnie zatrzymać.

– Muszę. Iga chora.

– No, ale co, sami sobie nie poradzą? – zapytał.

– Pablo, moje dziecko jest chore! – zawołałam z wyrzutem.

– No, ale przecież nic się nie dzieje. Dzieci co chwilę są chore.

Nic nie odpowiedziałam. Szybko zaczęłam się ubierać. Pablo westchnął teatralnie.

– Przepraszam – powiedziałam. – Może to nie był nasz czas. – Pocałowałam go w czubek głowy i wybiegłam.

Paweł mnie zupełnie nie rozumiał, a ja nie byłam w stanie pojąć dlaczego. Dzieci dla mnie zawsze były i będą priorytetem. Żaden mężczyzna nigdy nie będzie w stanie stanąć na mojej drodze, gdy chodzi o dzieci. Czy to tak trudno zrozumieć?

Pojechałam do apteki, kupiłam co trzeba i wróciłam do domu. Siedzieli we troje na tapczanie pod kocem i oglądali telewizję.

– Pola już też wymiotuje.

– Boże, wirus jakiś – powiedziałam. Zrobiłam herbatę i usiadłam obok nich. Siedzieliśmy przytuleni. Przed nami miski „w razie czego”. Domowa atmosfera.

– Mama masz bluzkę krzywo zapiętą – powiedziała nagle Iga. – Poprawię ci.

Wojtek spojrzał na mnie badawczo.

– Jak tatuś zadzwonił, byłam w sklepie. Mierzyłam bluzkę. – Uśmiechnęłam się. – A potem bardzo szybko musiałam się ubierać, bo chciałam być jak najszybciej z wami.

Wojtek spoglądał na mnie z niedowierzaniem. A może to była drwina?

– Mamuś, a jaką bluzkę?

– Taką różowo-fioletową – powiedziałam.

– Kupiłaś?

– Nie, nie kupiłam.

– To pojedziemy jutro razem i kupimy.

– Dobrze słoneczko... – powiedziałam i poczułam się najgorszą matką na całym świecie.

Od: Paweł Szadziński

Data: 30 marca 2016

Temat: Yasmin Levy – *Una Noche Mas*

Do: Mała Zu

Sólo te ruego que me des

Una noche de amor

Sólo pido una noche más

Que me vuelvas a engañar

Pablo

Dziewczyny już spały, Wojtek też, a ja usiadłam do komputera. Byłam bardzo zmęczona tamtym dniem. Za dużo wydarzeń. Prawie spełnione marzenia z Pawłem, przerwane jednym telefonem. I uczucie, że bardzo się zawiodłam, że on nie rozumie tego, że ja muszę wrócić do dzieci. Natychmiast.

Wyjęłam z barku wino. Nie lubiłam sama pić, ale czułam, że będzie mi potrzebne. Odebrałam maila od Pawła.

Nic nie rozumiałam.

Odtworzyłam piosenkę, którą mi przysłał. To była ta sama, przy której mieliśmy się kochać niespiesznie, przecież mieliśmy całe trzy godziny...

Wkleiłam tekst do wyszukiwarki. Po chwili miałam już polskie tłumaczenie:

Proszę cię jedynie, żebyś mi dał

Jedną noc miłości

Proszę tylko o jeszcze jedną noc

Abyś znów mnie oszukał

Zaczęłam płakać.

Jedna noc miłości. Pełna uniesień, sztucznych ogni i fajerwerków. Moje relacje z Pawłem były tym niebem, pełnym kolorowych wybuchów. Jedna wiadomość na Facebooku o treści „Cześć, co słyhać?” otworzyła pudełko z fajerwerkami. Co chwilę zbliżam się z zapałką i co chwilę los wytrąca mi tę zapałkę z ręki. Te mniejsze wybuchają, rozświetlają niebo mnóstwem kolorów. Do tych większych, które koniecznie chcę sprawdzić, jeszcze nie doszłam. Może powinnam zamknąć to pudło z głośnym hukiem. Niech ktoś inny się bawi w tę niebezpieczną zabawę.

A może powinnam dać szansę? Może dać mu tę jedną noc miłości? Oszukać siebie wzajemnie, że nasza noc będzie trwała wiecznie? Oszukać męża, że jestem dobrą żoną? Oszukać dzieci, tak jak z tą fioletową bluzką, której nie było?

Nie wiedziałam, co mam robić. Czułam się rozdarta.

Teraz sobie myślę, że decyzja była prosta. Ale wtedy zupełnie nie potrafiłam jej podjąć.

Do Pawła przyciągał mnie magnes. Był moją pierwszą prawdziwą miłością. Wyidealizowanym mężczyzną. Bez wad, potknięć i problemów. Kiedyś kochałam go bezgranicznie. Za nim mogłam pójść do piekła. I poszłam.

ROZDZIAŁ 8

PLECACZKI Z PLUSZAKAMI

– Całkiem nas zaniedbujesz. – Monika zadzwoniła do mnie któreś soboty. – Nam brzuchy rosną, a Ty nic.

– Ostatnio nie miałam głowy do tego. – Uśmiechnęłam się. – A co? Dzisiaj macie zlot czarownic? – zapytałam.

– Tak. Będziemy wszystkie u mnie. Przyjedź.

– Postaram się być – zapewniłam. I po chwili dodałam głośniejszym głosem, patrząc na Wojtkę. – O ile mnie mąż puści. – Wojtek wzruszył ramionami. – Pa, Monia. – Rozłączyłam się. – Muszę pogadać z dziewczynami. Ostatnio je trochę zaniedbałam – mówiłam Wojtkowi. – Położę dziewczynki i pojedę, dobrze? Postaram się wrócić... – Pomyślałam o Pawle. – No, jak najszybciej. Ale wiesz...

– Nie tłumacz się. Przecież nie wychodzisz pierwszy raz wieczorem.

Czy było to złośliwe? Być może.

Nie wychodziłam pierwszy raz. Ale czułam nieodpartą potrzebę wytłumaczenia się przed własnym mężem, gdzie idę, z kim idę i po co. Zupełnie niepotrzebnie.

– Bez sensu te mity. Bez sensu! – krzyczała moja córka w łóżku, przeglądając książkę. – Wolę już wszystko inne, ale nie mity! Mamo, po co ja mam to czytać? To mi się w życiu do niczego nie przyda! – Użyła argumentu, który zwykle przytaczałam w momencie, gdy oglądały głupie bajki w telewizji.

Sięgnęłam po książkę. Zaczęłam im czytać na głos. Mit o Dedalu i Ikarze.

Samo życie.

Ja też, niczym ten mitologiczny Ikar, zaczynałam być zbyt zachwycona lataniem. I przez to mniej ostrożna. Coraz bardziej zdawałam sobie sprawę, że jeżeli uniosę się zbyt wysoko, spadanie będzie bolało bardziej. Nie wiedziałam wtedy, że aż tak bardzo. I nie wiedziałam, że aby upaść, nie trzeba dolecieć do samego słońca, można się tylko zbyt długo grzać w jego promieniach.

– Dwa śluby i pogrzeb – oświadczyła Agnieszka, gdy się pojawiłam u Moniki. – A co u ciebie? – Siedziały już i czekały na mnie z herbatą.

Wypiłam łyk i skrzywiłam się.

– Co to?

– Zielona.

– Jakaś taką mocną mi zrobiłyście.

– Zielona najzdrowsza – powiedziała Iwona.

– Jezu, wiem, ale na coś trzeba umrzeć. – Wzruszyłam ramionami.

– Byleby nie za szybko – powiedziała Monika.

– Wiesz już na kiedy masz termin? – zapytała Iwona.

– Piąty sierpnia. – Uśmiechnęła się Monika.

– O! A ja szósty! – powiedziała Iwona.

– Widać na tej samej imprezie byliście – stwierdziła z przekąsem Agnieszka. – Nie spotkałyście tam czasem mojego męża?

– A co, ta jego lafirynda też ma termin na początek sierpnia? – zażartowała Monika. Agnieszka nawet się nie uśmiechnęła. – Jezu. Przepraszam. – Monika westchnęła. – Wiesz, że ja z wszystkiego żartuję.

– Wiem. Przewrażliwiona jestem – przyznała cicho, a po chwili dodała: – Tristan wyprowadził się z domu.

– Jak to? Nic nie mówiłaś.

– Właśnie mówię. Nie udało mi się go zatrzymać. Robiłam wszystko, co mogłam.

– Kiedy?

– Przedwczoraj. – Westchnęła. – Spakował to, co najpotrzebniejsze i się wyniósł. A ja durna za nim wołałam, że zapomniał swojego irygatora.

– Irygatora? – Skrzywiłam się.

– A po cholere mu irygator? – zapytała Monika.

– No, do zębów.

– Jezu... Ty to świętą powinnaś zostać. Facet ma cię w dupie, a ty za nim biegiesz, bo się boisz, że zębów sobie nie domyje. Jakiś absurd. Miłosierna cierpiętnica.

Agnieszka wzruszyła ramionami.

– Zejdźcie ze mnie, okej? – powiedziała.

– Ty się chyba nie łudzisz, że on wróci do ciebie? – zapytałam. Aga siedziała cicho. – Boże, ty się łudzisz.

– Ze względu na Kordiana – przyznała.

– Kordian ma już piętnaście lat! Tristan nie musi go niańczyć!

– No właśnie. Najgorszy, najbardziej głupi wiek. On teraz bardzo potrzebuje ojca. Nie wiem, nie wiem, co mam robić. – Pokręciła głową.

– Poczekać – poradziłam. – Może jest jeszcze jakaś szansa? Białe blondynki szybko się nudzą – dodałam.

– One się nudzą, czy nimi się nudzą? – Iwona się zainteresowała.

– I tak, i tak – stwierdziła autorytatywnie Monika.

– Dobra. Zmiana tematu – powiedziała najwyraźniej wyczerpana Aga. – Nie zgadniecie, kogo spotkałam z naszą Zuzanką na kawce! Wprawdzie już dawno, ale zapomniałam wam powiedzieć.

– Ja wiem, ja wiem! – powiedziała Monika.

– No kogo? – zapytała Agnieszka.

– Pawła?

– Wszystko mi popsulaś. – Aga się skrzywiła. – Miałam nadzieję, że nie zgadniecie.

Skąd wiedziałaś?

Monika uśmiechnęła się konspiracyjnie i spojrzała na mnie znacząco.

– Bo to chyba nie pierwsza kawka, prawda? Było ich później zdecydowanie więcej... – powiedziała z czarującym, wiele znaczącym uśmiechem.

– Monia! – Próbowałam ją powstrzymać.

– Albo może kawka pierwsza... Ale kolacja z pewnością też była. Czy nawet nie było kolacji? Może od razu śniadanie?

Dziewczyny patrzyły zdezorientowane.

– Monia! – krzyknęłam ze złością.

– Teraz gadaj – zarządziła Iwona.

– No spotkałam się z nim kilka razy – przyznałam się. – Jakaś robotę dla niego robiłam.

– W nocy – dodała Monika z bardzo wkurzającym uśmiechem.

– Monia!

– Jak to w nocy? – Iwona była ciekawa.

– Mogę im powiedzieć? Mogę? – prosiła Monika.

Wzruszyłam ramionami. Byłam zła. I tak za dużo już wiedziały. Nie chciałam, by ktokolwiek to komentował.

Monika uznała moje wzruszenie ramion za przyzwolenie.

– W dniu, kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży, Zuza była tutaj. Ratowała mnie z opresji, za co jej jestem bardzo wdzięczna. I potem pojechała do Pawła.

– I tyle? – Iwona była najwyraźniej zawiedziona.

– Na całą noc, prosząc mnie, bym nic nie mówiła Wojtkowi.

– Zuza! – Iwona niedowierzała.

Agnieszka siedziała z zaciśniętymi ustami. Patrzyła na mnie złowrogo.

– To nie było tak – zaczęłam. – Do niczego między nami nie doszło... Kilka razy się z nim spotkałam, może nawet chciałam, by do czegoś doszło... Ale nie doszło w zasadzie do niczego.

– W zasadzie nie doszło – przedrzeźniała mnie Agnieszka. – Wiesz co? – powiedziała. – Mogłabyś chociaż się nie tłumaczyć. – Pokręciła głową. – Mogłybyście sobie chociaż odpuścić to przy mnie. – Była wściekła. – Nie ogarniam tego, że wy z durnymi uśmiezkami opowiadacie o spotkaniach Zuzy z Pawłem. Byłam przekonana, że oni się spotkali na kawę, a się okazało, że ja durna przeszkodziłam w jakiejś miłosnej randce pieprzonych kochanków – mówiła. – Ja normalnie tego nie ogarniam.

– Agnieszka, nie przesadzaj! – zwróciła jej uwagę Iwona.

– Ja przesadzam? Najpierw wspólnie ryczycie ze mną, że mój mąż rozwalił rodzinę, że spotyka się z jakąś babą, że zwariował na jej punkcie, a teraz akceptujecie to, że Zuza robi dokładnie to samo? I żadna z was nie ma ochoty nią potrząsnąć, by się opamiętała? Zuza, czy ty się nad sobą zastanowiłaś? Masz dwie córki, co będzie, jak rozwalisz rodzinę? Co ty im potem powiesz? Czy ty to sobie wyobrażałaś? – Agnieszka była wzburzona. – Czy wyobraziłaś sobie to, jak usypiasz je wieczorem i one pytają, kiedy przyjdzie tata?

I mówią ci, że taty już dawno nie widziały? Może wyobraź sobie, jak co drugi weekend pakujesz im piżamki w małe plecaczki, bo mają akurat weekend z tatą. Czy do ciebie to w ogóle dociera? Czy potrafisz to sobie wyobrazić? Te cholerne małe plecaczki?

Agnieszka ciskała we mnie słowami, jak nabojami z karabinu.

– Aga... Posłuchaj...

– Nie, kochana. Ty teraz posłuchaj. Ja rozumiem, jak ludzie się rozstają, bo nie mogą się dogadać. Ja zdaję sobie sprawę, że czasem nawet dla dzieci jest lepiej, gdy rodzice są osobno. Nie mieszkają razem, ale w zgodzie starają się wychowywać dzieci. Ale naprawdę nie jestem w stanie skumać, jak myślisz macicą. Myślałam, że tylko faceci są zdolni, by myśleć fiutem. Byłam pewna, że tylko mężczyźni w tym wieku są tacy beznadziejni. Szukają tylko okazji, by wyrwać się ze swojego doskonale poukładanego i bezpiecznego świata w domu, by poczuć gwiazdy, motyle, iskry, Bóg wie co. Myślałam, że kobiety mają więcej oleju w głowie. Ale po tobie widzę, że kobiety są dokładnie takie same.

– Agnieszka. Nie znasz sytuacji.

– Nie znam? Może i nie znam twojej sytuacji. Ale wiem, jak ja się poczułam, jak odkryłam romans mojego męża. Wiesz, wcześniej wydawało mi się, że wcale go aż tak nie kocham. Że mógłby być, mogłoby go nie być i byłoby mi wszystko jedno. Jednak myliłam się. Zdrada cholernie boli. A wiem, że Wojtek cię bardzo kocha. I zastanów się dziesięć razy, zanim zrobisz coś, czego będziesz żałowała. O ile jeszcze nie jest za późno. Gdańsk wbrew pozorom jest mały, wszyscy wszystkich znają i prędzej czy później to się wyda. Nie można działać na dwa fronty. Poza tym może to ciebie wykończyć.

Nie spodziewałam się, że do tego dojdzie nasze spotkanie. Najgorsze w tym wszystkim było, że miała rację.

– Dziewczyny, ja już będę szła – powiedziałam. Nie mogłam dłużej słuchać Agnieszki. Powiedziała dużo. Ale ja przed oczami miałam moje córki, jak pakują plecaki ze swoimi piżamkami po to, by iść na weekend do taty. Taki symbol. Iga miała plecak różowy, Pola seledynowy. Na pewno znalazłby się tam miś Igi i pluszowy kotek Poli. Pewnie łapki i ogony pluszaków wystawałyby smętnie z plecaka. Widziałam oczyma wyobraźni, jak odchodzą ode mnie z tymi plecakami na szczupłych plecach. Takie małe, drobne i smutne.

– Do zobaczenia. Kiedyś tam. – Wstałam z fotela.

– Do zobaczenia – powiedziała kąśliwie Agnieszka. – Pamiętaj, gdzie mieszkasz. Byś nie zabłądziła dzisiaj wieczorem – dodała złośliwie.

Iwona i Monika nic nie odpowiedziały. Ja również. Wstałam i wyszłam z gabinetu. Babski wieczór zdecydowanie się nie udał. Przez krótki czas nadawałyśmy na tych samych falach, a potem znowu wszystko się zmieniło. Iwona będzie mężatką, Agnieszka rozwódką, Agnieszka była zdradzana, ja byłam na najlepszej drodze ku temu, by rozwalić sobie małżeństwo. Ot, ironia losu. Znowu przestałyśmy do siebie pasować. Zupełnie jak po liceum.

Tamtego dnia nie pojechałam do Pawła. Oczywiście przed spotkaniem z dziewczynami miałam taki zamiar. Nawet wydawało mi się, że wcześniej się wyrwę ze spotkania z nimi, że coś wymyślę. Że pojedę do niego i... No właśnie. I nie wiem co. Ja do końca nie

wiedziałam, czego od niego oczekuję. Zainteresowania? Czułości? Seksu? Znowu tego samego?

W dalszym ciągu nie wiedziałam, czego chcę. Nie chciałam zmieniać partnera na całe życie. Chciałam po kryjomu poczęstować się jedną czekoladką z bombonierki i pójść z powrotem w swoją stronę. Bez żadnych konsekwencji. Nie wzięłam tylko pod uwagę, że nawet jedna czekoladka za dużo może bardzo zaszkodzić.

ROZDZIAŁ 9

OSTATNI POCAŁUNEK

Agnieszka się do mnie nie odzywała, Iwona była zajęta swoimi sprawami. Monika miała humory ciężowe i naprawdę nie miałam ochoty żadnej z nich widzieć. Nie miałam ochoty widzieć nikogo.

Miałam wrażenie, że żyję w dwóch równoległych światach. Z jednej strony, przykładna matka i żona, a z drugiej, stęskniona, na dodatek niespełniona kochanka, która nic złego nie zrobiła.

Paweł był na mnie zły, bo przestałam się odzywać, Wojtek był niezadowolony, bo w domu warczałam, nawet dzieci były poszkodowane w jakiś sposób.

– Masz jakieś kłopoty? – pytał Wojtek.

Zamiast odpowiedzieć mu rzeczowo i konkretnie, zaczynałam go atakować, że się czepia. Przestał. A potem do pracy przyszedł Pablo z bukietem kwiatów. Raz, drugi, trzeci.

Wszystkie te kwiaty nosiłam do domu, grzecznie przyznając Wojtkowi, że dostaję je od znajomego. Za pierwszym razem nic nie powiedział. Kwiaty stały dumnie na środku stołu w salonie. Za drugim razem też nic nie powiedział, ale się skrzywił. Za trzecim razem bez słowa wziął bukiet i wyrzucił go do wiadra ze śmieciami.

– Co ty wyprawiasz? – zapytałam. – Dlaczego moje kwiaty wyrzuciłeś?

– Nie podoba mi się to, że moja żona dostaje kwiaty od jakiegoś obcego koleśia – powiedział.

– Może jakby od ciebie dostawała, to obcy koleś nie musiałby jej dawać? – powiedziałam zaczepnie. – A może wcale ten koleś nie jest jej obcy? – dodałam zupełnie nie wiadomo po co.

– I po co mi to mówisz?

– Nie podoba mi się to, że wyrzucasz rzeczy należące do mnie. Moje książki też wyrzucisz? Biżuterię? Bieliznę? Co będzie kolejne?

– Nie przesadzaj.

– Nie przesadzam. Ty przesadziłeś.

Byłam na niego wściekła. Nie odzywałam się do niego cały wieczór i następny dzień. Oczywiście Paweł doskonale wyczuł moment.

Ja: „Wojtek wyrzucił kwiaty”.

Paweł Szadziński: „Dlaczego???”

Ja: „Bo nie były od niego”.

Paweł Szadziński: „A on ci kupuje kwiaty?”

Ja: „Nie. Bez okazji nie”.

Paweł Szadziński: „Będą na ciebie jutro czekały w biurze”.

Następnego dnia czekało na mnie dwanaście czerwonych róż. Oczywiście złośliwie przyniosłam je do domu. Mogłam tego nie robić. Sprowokowałam zupełnie niepotrzebnie sytuację. To był piątek, dziewczynki chciały jechać na noc do babci. Zawiozłam je i wróciłam do domu. Róże ułożyłam w wazonie na środku stołu. Zrobiłam im zdjęcie i wysłałam do Pawła. Dopisałam tylko „dziękuję, są piękne” czy coś w tym stylu. Potem do domu przyszedł Wojtek, oczywiście zobaczył kwiaty, nic nie powiedział.

Wyszłam na chwilę z pokoju, gdy wróciłam, wszystkie róże miały pourywane łebki. Wojtek siedział z moim telefonem w dłoni z dziwnym wyrazem twarzy.

– Paweł Szadziński to ten Paweł?

– Jaki „ten Paweł”? – zapytałam.

– Stara miłość nie rdzewieje, co?

Zaczęłam się zastanawiać, co takiego Wojtek mógł znaleźć w moim telefonie. Trzymał go w dłoniach i czytał:

„Dziękuję za cudowny wieczór”.

„Nie wiedziałem, czy po północy wolisz herbatę czy kawę, dlatego wybrałem herbatę”.

„Zuza, jesteśmy wciąż tacy sami. Blizna po cesarce tego nie zmieni. I inne blizny, te na ciele i na duszy również nie”.

– Mam czytać dalej? – zapytał. – Sam w to nie wierzę. To się nie dzieje naprawdę. – Pokręcił głową.

– Wojtek. Wszystko ci wytłumaczę – powiedziałam.

– Ale co ty w ogóle chcesz mi wytłumaczyć? Jakiś facet opowiada o twojej bliźnie po cesarce, wysyła kwiaty, dziękuje za cudowny wieczór i serwuje herbatę po północy. Idiotę ze mnie robisz. – Wzruszył ramionami.

– Wojtek. Posłuchaj. Do niczego między nami nie doszło. – Próbowałam go uspokoić. – Faktycznie odnalazł mnie – skłamałam. – Spotkałam się z nim kilka razy. Dużo rozmawialiśmy, kupował mi kwiaty, ale do niczego naprawdę nie doszło. Pogubiłam się trochę w tym wszystkim. Przez pewien czas chciałam euforii, chciałam motyli...

– Jak ci brakowało motyli, to sobie je, kurwa, mogłaś narysować! – powiedział, rzucając moim telefonem w podłogę. – Ot, rozwaliłem dowód rzeczowy.

– Wojtek...

– Wiesz co... Nie mamy naprawdę o czym rozmawiać. Przynajmniej dzisiaj. Nie, ja w ogóle nie chcę z tobą rozmawiać.

– Wojtek, ty mi nie wierzysz...

– Oczywiście, że ci nie wierzę! Teraz dopiero zaczyna mi się składać ta cała układanka!

– Wojtek. Chodźmy spać. Jutro rano porozmawiamy na spokojnie – prosiłam.

– Zuza. Ja nigdy o tym nie będę mógł rozmawiać spokojnie. I chyba nie sądzisz, że teraz będę z tobą spał. Pewnie jeszcze nim pachniesz – powiedział.

Poszedł do sypialni, wziął swoją kołdrę i poduszkę i przeniósł się na tapczan.

– Wojtek. – Usiadłam tuż przy nim. – Ja ci wszystko wytłumaczę.

– Ale ja nie chcę, byś mi tłumaczyła – powiedział.

– Wojtek.

– Możesz mi zgasić światło? Chcę już spać. Jak będziesz szła do sypialni, możesz wyrzucić te badyle. Działają mi na nerwy. Przez okno, do kibla, gdziekolwiek chcesz. Wywal je w cholerę. Sama też możesz tam iść – dodał ciszej.

Przygryzłam wargi.

Bez słowa poszłam do sypialni. Dziwnie wyglądało to puste miejsce po mojej prawej stronie. Nie chciałam, by było puste. Nie chciałam również, by było przeznaczone dla innego mężczyzny niż Wojtek.

Byłam tego pewna.

Podjęłam decyzję, że spotkam się z Pawłem ostatni raz. Zacisnę zęby i powiem mu, że to koniec. Czy byłam przekonana do tej mojej decyzji?

Nie. Nie byłam. Pewnie gdybym się zatrzymała na tym etapie nadal bym za nim tęskniła całe życie. Nadal bym myślała, że był wyśnionym, niedoścignionym ideałem, który kompletnie nie ma wad. Pewnie tęskniłabym za nim i za dziesięć lat, i za dwadzieścia. Opowiadałabym swoim wnukom o mojej wielkiej niespełnionej miłości. Pewnie wszystkie lata żyłabym tęsknotą. Teraz wiem, że bardzo go idealizowałam. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że jest on normalnym facetem z licznymi wadami. A na pewno większymi niż mój mąż.

Miałam się o tym dowiedzieć już wkrótce. Wcześniej jednak się z nim spotkałam. I pewnie gdybym wiedziała, do czego doprowadzi to spotkanie, nigdy bym tego nie zrobiła.

Czytałam niedawno, że – jak twierdzi jeden z przedstawicieli psychoanalizy interpersonalnej, niejaki Stephen Mitchell – romans i więź erotyczna w małżeństwie ulegają osłabieniu, bo stają się coraz bardziej niebezpieczne. Zdziwiło mnie to, no bo jak to niebezpieczne? W małżeństwie? Otóż tak, bo partner, który przez dłuższy czas zaspokaja nasze pragnienia, staje się niebezpieczny. Stajemy się od niego zależni, zaczynamy go potrzebować do zaspokojenia naszych potrzeb i taka zależność powoduje, że czujemy się bezbronni. Obawiamy się, że my się od niego uzależnimy, a przecież on może w każdej chwili stracić nami zainteresowanie. Podświadomie próbujemy się więc zabezpieczyć na tę okoliczność, zdradzając.

Często w małżeństwie pozwalamy, by seksualne pożądanie umarło. Koncentrujemy się na poświęceniu, bezpieczeństwie, stabilności, a zapominamy o przygodzie. Teraz już jestem mądrzejsza. Mogłam chociaż spróbować poszukać przygody w moim małżeństwie. Niestety, znalezienie jej tam wydawało mi się nierealne. Wolałam szukać przygód z Pablem.

Ale tamtego dnia naprawdę chciałam to skończyć. Zamknąć pewien etap mojego życia i już nigdy nie oglądać się za siebie.

Pojechałam do Pawła następnego dnia. Wzięłam dziewczyny i zostawiłam je u babci. Jak

zawsze były przeszczęśliwe z tego powodu. Wojtek się do mnie nie odzywał. Powiedziałam mamie, że jadę do Moniki i pojechałam prosto do Pawła.

– Musimy to skończyć Pablo – powiedziałam stanowczo. – Tak dalej nie może być. To jest bez sensu. Nie da się budować szczęścia na nieszczęściu innych.

Paweł sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał, co do niego mówię.

– Ale...

– Pablo. Koniec. Koniec z kwiatami, koniec z mailami, telefonami, esemesami. Ze wszystkim koniec – wymieniałam.

– Porozmawiajmy.

– Właśnie rozmawiamy.

– Zuza...

– Paweł, ja wiem i ty wiesz, że gdybym była wolna, to już wylądowalibyśmy w łóżku i z niego nie wychodzili przez najbliższy tydzień. Jednak tak nie jest. Pewnie to, co czujemy, to chwilowa fascynacja...

– Zuza... Ja cię kocham...

– Paweł. Nie mów mi tego. Proszę cię, nie mów mi tego. – Kręciłam głową. Nie chciałam tego słyszeć. Nie mogłam tego słyszeć.

– Zuza...

– Ja nie mogę myśleć teraz o tobie. Ja muszę myśleć o mojej rodzinie. Bo nasze zabawy spowodowały, że jest bliska rozsypania się w drobny mak. Teraz nie będę myślała o tobie – powiedziałam. I chyba w tamtym momencie zaczęłam sobie coś uświadamiać. Coś, co dopiero wyszło jakiś czas później w gabinecie u terapeutki.

Paweł zaczął płakać. Wzruszało mnie to dwadzieścia lat temu. Teraz nie. Teraz ja mogłam płakać. Nad własną głupotą. Nie nad nim.

– Spotkamy się kiedyś jeszcze? – zapytał.

– Nie. – Pokręciłam głową.

– Mogę cię przytulić? – zapytał niepewnie.

Zawahałam się. Czy lepiej ten nałóg, jakim, bez wątpienia, był Paweł lepiej rzucać szybko czy powoli? Lepiej odstawiać nagle czy sukcesywnie?

Łzy pociekły mi do oczu.

– Możesz – pozwoliłam.

Przytulił mnie mocno. Staliśmy przez chwilę.

– Odprowadzę cię do samochodu – powiedział.

Pokiwałam głową.

Wziął mnie za rękę, zesliśmy ze schodów. W tym samym mieszkaniu, w którym zbiegaliśmy ze schodów wielokrotnie z uśmiechem dwadzieścia lat temu.

– Pójdę już.

– Mogę do ciebie napisać list?

– Nie.

– Proszę.

– Nie – ucięłam. – Tak będzie mi łatwiej.

– Ale mi nie będzie.

Wzruszyłam ramionami. Kiedyś Wojtek kupił mi bransoletkę z napisem „Jesteś najważniejszą osobą w swoim życiu. Dbaj o siebie”. Teraz właśnie dbałam.

Stanęliśmy przy moim samochodzie.

– Zawsze cię kochałem – powiedział Paweł. Odwróciłam głowę. Przełykałam łzy. Objął mnie i przytulił. – Mogę cię pocałować ten ostatni raz? By pamiętać?

Wtedy podjęłam jedną z najgorszych decyzji mojego życia. Pozwoliłam na ten pocałunek. Smakował moje usta, nasze języki splatały się w tańcu niczym artyści na scenie.

Odepchnęłam go od siebie w tym samym momencie, gdy kątem oka zauważyłam stojący nieopodal samochód mojego męża. Wojtek był świadkiem tej sceny.

Jak to musiało z zewnątrz wyglądać? Jak cholerna schadzka dwojga kochanków.

Nasze spojrzenia się skrzyżowały. Jego było zimne jak lód. Moje – pełne rozpacz.

W pierwszej chwili miałam wrażenie, jakby chciał wysiąść i doskoczyć do Pabła, by załatwić sprawę po męsku. Chciałam do niego pobiec, ale widocznie zmienił zdanie i odjechał z piskiem opon. Pablo zobaczył, co się dzieje, chciał swoim zwyczajem przytulać, głaskać, pocieszać, ale ja nie miałam czasu. Musiałam reagować. Wsiadłam w samochód i pojechałam za Wojtkiem. Pojechał nad morze. Tam, gdzie mi się oświadczał, gdzie często chodziliśmy razem, by po prostu być.

– Wojtek! – zawołałam.

Na szczęście na plaży nie było ludzi. Lekko padał deszcz, ale to wystarczyło, by wszystkich skutecznie odstraszyć.

– Nie wierzę. Po prostu nie wierzę w to, co zobaczyłem. – Siedział na piasku z twarzą zanurzoną w swoich dłoniach. – Nie wierzę – powtarzał.

– Wojtku, to tak nie jest.

– Wiesz co, Zuza, ty nie powinnaś się w ogóle do mnie odzywać.

– Wojtek...

– Odbiło ci. Kompletnie ci odbiło. Ja nie wiem, co mam robić! Ja muszę się wynieść – mówił. – Wyniosę się, to może wreszcie się zastanowisz, o co ci, do cholery, w życiu chodzi!

– Wojtek....

– Daj mi dwie godziny. Spakuję co najpotrzebniejsze. Nie chcę, by to widziały dziewczynki. – Kręcił głową. – Nie mogę w to, Zuza, uwierzyć, że rozwaliłaś naszą rodzinę!

– Ale... Ale gdzie ty pójdziesz?

– Czy ciebie teraz to powinno obchodzić? Jakoś jak byłaś z tym gościem, nie obchodziło cię, co ja robię! Teraz coś zacząłem podejrzewać. Byłem u twoich rodziców, powiedzieli mi, że jesteś u Moni. Zadzwoiłem do Moni, powiedziała, że jesteś w łazience, że za chwilę oddzwonisz. Zadzwoiłem, siedząc pod jej gabinetem. Czy muszę mówić, że nie było cię w łazience? Ale pewnie masz dziesięć rozpaczliwych telefonów od twojej przyjaciółki, że mąż szuka, że trzeba mieć alibi. Potem Iwona też twierdziła, że jesteś u niej. Pewnie jakbym zadzwonił do Agnieszki, też opowiadałaby mi bajki. Pamiętałem, jak mówiłaś,

gdzie on mieszka. Pojechałem i mam za swoje. Może lepiej by było, gdybym tego nigdy nie zobaczył. Rozwaliłaś rodzinę, Zuza. I zastanów się, jak to wytłumaczymy dzieciom.

Jego słowa szumiały mi cały czas w głowie. Miał rację. Miał cholerną rację! Zachciało mi się motyli. Tak jak mi kiedyś powiedział, że jak mi się zachciało motyli, mogłam sobie je, kurwa, narysować!

Nie pozwolił mi wrócić do domu. Nie posłuchałam go. Pobiegłam za nim do naszego wspólnego domu. Prosiłam, błagałam, by został.

Życie mnie nauczyło, że jeżeli kogoś kochasz, nie ma rzeczy, której byś nie zrobiła, by z nim być.

– Wojtek, proszę cię. Wysłuchaj mnie tylko.

Nic nie odpowiadał. Wyciągnął wielką walizkę. Ostatni raz była z nami na Wyspach Kanaryjskich. Miała przywieszoną jeszcze informację lotniskową.

– Wojtek, powiedziałam Pawłowi, że nic z tego nie będzie. – Płakałam, próbując się tłumaczyć. – Poprosił mnie o ostatni pocałunek. To był ten ostatni. – Spojrzał na mnie drwiąco. Miał rację. Bzdura. Gdyby on całował jakąś kobietę, nawet po raz ostatni, też bym się wściekła. – Wojtek... Proszę cię, obiecaj, że to przemyślisz – prosiłam. – Gdzie ty w ogóle pójdziesz?

– To nie powinno cię interesować.

– Wojtek, jesteś ojcem moich dzieci!

– Szkoda, że o tym wcześniej nie pomyślałaś – powiedział.

Plecaczki. Cholera. Plecaczki z pluszakami w środku.

Ukryłam twarz w dłoniach.

– Pojadę do mieszkania Marzeny. Nie ma teraz lokatorów.

– Wojtek, ale tam nawet mebli nie ma.

Próbowałam go przytulić, ale mnie odepchnął. Wziął walizkę i wyszedł za drzwi.

Dochodziła siedemnasta. Musiałam się pospieszyć, by dziewczynki odebrać ze świetlicy. Czas nie chciał poczekać, aż się wypłaczę, aż przejdzie mi ból rozstania z Wojtkiem. Biegł nieubłaganie, niezależnie od innych okoliczności.

Boże! Co ja narobiłam!

– Taty nie ma? – zapytała Pola, gdy wróciłyśmy do domu.

– Nie, kochanie.

– A kiedy wróci? Chciałam mu pokazać rysunek.

– Pokaż mi. – Uśmiechnęłam się.

– Mama, ty się nie znasz na komputerach. Nie będziesz wiedziała, co to za maszyna.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem. Pewnie czeka mnie wiele takich rozmów.

Kątem oka obserwowałam nasze mieszkanie. Kilku codziennych, osobistych rzeczy Wojtka brakowało, ale wiele rzeczy zostało. Poczulałam nadzieję, że może jednak wróci.

– No dobra, to mu jutro ten rysunek pokażę – powiedziała moja córka.

Potem jeszcze wielokrotnie mnie pytały, gdzie jest tata.

Boże. Nie mogłam tego znieść. Przypomniały mi się słowa Agnieszki o pakowaniu malutkich plecaczków raz na dwa tygodnie. Znowu zobaczyłam moje córki, jak wyprowadzają się z domu co drugi weekend, by spędzić czas z ojcem, który przecież je kochał najbardziej na świecie i powinien być z nimi cały czas.

Wojtek nie dzwonił.

– Mamo... – zapytała mnie Pola. – Tata się wyprowadził, prawda? – Westchnęłam. – Ja wiem, bo tata Kamili też się wyprowadził. I potem Kamila miała taką ciocię i brata. I jej nie lubiła, bo ona była macochą, a macochy są złe. – Westchnęłam. – Mama, ja nie chcę chyba już brata. Mi Iga wystarczy.

Przytuliłam wtedy je mocno. Całą noc płakałam. Telefon dzwonił kilka razy. Za każdym razem z nadzieją sprawdzałam, czy to Wojtek. Za każdym razem okazywało się, że to Paweł. Odrzucałam połączenie.

Myślałam, że nasz rozdział zostanie zamknięty. Wtedy byłam pewna, że został zamknięty. Nie spodziewałam się, że zamknę go dopiero później, jak zrozumie pewne mechanizmy. I jak wszystko zacznie układać mi się w całość.

ROZDZIAŁ 10

TAJEMNICE

Nie mogłam sobie z tym wszystkim poradzić. Byłam sama, czułam się samotna.

Moje poukładane do tej pory życie legło w gruzach, a najgorsze było to, że ja sama podłożyłam bombę pod ten nasz stabilny rodzinny mur. Nie mogłam winić nikogo. To nie tylko kryzys połowy życia doświadczał mnie tak dotkliwie. Bardziej życie na moją własną prośbę. Moje koleżanki przeszczęśliwe, tylko ja i Agnieszka na rozdrożu. Tylko ja się zupełnie świadomie wpakowałam w to bagno, które teraz mnie otaczało, a Agnieszkę wpakował w nie mąż. I dlatego też nie mogła mnie zrozumieć. W końcu zrozumiała. Chociaż trochę.

– Powinnaś iść do Marty – powiedziała stanowczo.

– Kim jest Marta?

– Moją terapeutką.

Agnieszka była u mnie któregoś samotnego weekendu. Dziewczyny spędzały wieczór u taty, a ja po prostu nie chciałam, nie umiałam być sama. Z niedowierzaniem wspominałam te chwile, kiedy wydawało mi się, że samotność jest szczęściem. Gdy siedziałam w fotelu w ciszy, wszyscy spali, a mi szkoda było iść spać, bo chłonełam samotność.

Różnica była znacząca.

Wtedy nie byłam samotna. Wtedy miałam śpiącego spokojnie męża, do którego mogłam się w każdym momencie przytulić. U góry spały córki. Gdybym wsunęła się do łóżka którejkolwiek z nich, natychmiast któraś z kończyn wylądowałaby na moim brzuchu. Podświadomie się przytulały do mnie, nawet we śnie.

Samotna byłam dopiero na swoje własne życzenie od niedawna. Według ustaleń – co drugi weekend, kiedy to Wojtek zabierał dziewczyny do siebie.

Ten weekend, w którym Agnieszka powiedziała mi o swojej terapeutce, był drugim samotnym weekendem.

O dwa samotne weekendy w moim życiu za dużo.

– I co ja jej powiem? Że po raz kolejny nabroiliam w swoim życiu? Że zachciało mi się latać zbyt wysoko i nie zauważyłam, że płoną mi skrzydła? Mam jej powiedzieć, że upadek bardzo boli? Niech boli! Zasłużyłam!

Kilka dni później siedziałam u Marty w gabinecie na brązowej skórzanej i bardzo mało przyjaznej kanapie. Terapeuci powinni mieć ciepły puszysty koc albo miękką wygodną pufę, w której człowiek może się cały ukryć, wręcz się w nią wtopić.

– Bo ja tak naprawdę nie wierzę w psychologów... – zaczęłam. Kobieta popatrzyła na

mnie z zaciekawieniem. Pewnie nie pierwszy raz to słyszała. – Nie ufam terapeutom. Nikt w zasadzie mi nie pomógł – mówiłam. – Po prostu myślę, że jak sama sobie nie poradzę z życiem, to nikt mi nie jest w stanie poradzić. – Wytarłam głośno nos. Czułam, że zaraz się rozplączę. – Nabałaganiałam strasznie. W ogóle wszystko do niczego. Ale to wszystko bez sensu. – Pokręciłam głową. – Tak naprawdę nie wiem, dlaczego tutaj w ogóle siedzę. Ja już chyba powinnam sobie pójść.

– Spokojnie. – Zatrzymała mnie. – Wszystko po kolei. Wykonała pani pierwszy krok... Jest pani u mnie...

– Bo mam wrażenie, że ja się w tym wszystkim pogubiłam, że sobie nie poradzę. A potem zaraz myślę, że sobie poradzę i po co ja tutaj pani opowiadam o moim życiu. Co tak naprawdę panią to obchodzi? – powiedziałam może niezbyt sympatycznie. – Co panią obchodzi, jak jakiejś czterdziestoletniej babie w niecały rok udało się spieprzyć sobie życie? Nic. I z pewnością nie uda się pani mi pomóc...

Rozmawiałam z nią długo. Nie patrzyła na zegarek, miała dla mnie czas. Byłam pewna, że wizyta dobiega końca, gdy psycholog złapała mnie za rękę, popatrzyła mi głęboko w oczy i zapytała nagle, zupełnie bez ostrzeżenia:

– Zuzanno, dlaczego ty tak siebie ranisz? – Patrzyła na mnie wnikliwie. – Czy ty kogoś w życiu zabiłaś?

I w tym momencie wszystko we mnie pękło. Cały misternie, skrupulatnie składany, skrupulatnie zlepiany przez kilka lat świat rozpadł się na bardzo, bardzo drobne kawałki.

Zrozumiałam, o co ona pyta.

Skąd ona wie? Skąd ona wszystko, do cholery, wie? Patrzyłam na nią z przerażeniem. I jakim prawem mnie o to pyta?

To były pierwsze myśli.

Potem zaczęłam płakać. Szlochać. Nie mogłam się uspokoić. Terapeutka przytuliła mnie niczym małe dziecko. Nie wiem, jak długo płakałam. Nie mogłam przez dłuższą chwilę nic mówić.

Potem nagle w tym całym emocjonalnym bałaganie poczułam spokój. Spokój i ulgę, że mogę wreszcie o wszystkim komuś opowiedzieć. Że ktoś mnie wysłucha, nie będzie oceniał. Byłam pewna, że ta spowiedź przyniesie mi ukojenie.

ROZDZIAŁ 11

DŁACZEGO TAK SIEBIE RANISZ?

Gdy myślę o wydarzeniach z mojego życia, o których za chwilę opowiem, cały czas mam w uszach piosenkę Happysad o miłości. Chyba jedną z najważniejszych dla mnie. Najbardziej prawdziwą.

„Bo miłość to żaden film w żadnym kinie

Ani róże ani całusy małe duże

Ale miłość kiedy jedno spada w dół

Drugie ciągnie je ku górze”.

Tak sobie myślę, że zarówno w związku z Pawłem, jak i z Wojtkiem nie umieliśmy siebie ciągnąć w górę. Gdy ja spadałam bardzo szybko i bardzo gwałtownie, chociaż za każdym razem z innego powodu, moi mężczyźni nie stawali na wysokości zadania. O ile w przypadku Wojtka było to zupełnie zrozumiałe, to do Pawła mam spory żal. Miałam spory żal. Po tylu latach minął i bogatsza o doświadczenia życiowe doskonale rozumiem go sprzed lat. Jego przerażenie na tyle duże, że sam sobie z tym wszystkim nie dał rady.

Może tak miało być, by to moje życie ułożyło się tak, a nie inaczej? Pablo pokazał, że mimo osiągnięcia pełnoletności był dużym dzieciakiem, który kompletnie nie poradził sobie z tą całą sytuacją. Ja musiałam sobie radzić, jak umiałam. Nie zastanawiałam się nad innymi wariantami rozwiązań. Nie zrobiłam niczego wbrew swojej woli, teraz myślę, że do końca nie wiedziałam, czego właściwie chcę. On też mnie do niczego nie namawiał. Najgorsze chyba w tym wszystkim było to, że sama musiałam podjąć tę decyzję.

Ale od początku. Oboje z Pawłem byliśmy ambitni. No, może ja trochę mniej, bo polonistyczne studia według moich rodziców nie były niczym ambitnym. Według mojego ojca były kompletnie bezsensowne, a według mojej mamy bezsensem już było pójście do liceum.

– Ale dlaczego do liceum? – Pamiętam jej zaskoczoną minę, gdy poinformowałam ją, jaką szkołę wybrałam.

– Po prostu. Potem chcę iść na studia.

– Ale dziecko, po liceum jesteś nikim. Nie masz zawodu, nie masz przyszłości.

Moi rodzice mieli zawód. Czy mieli przyszłość? Mama z krawcowej po szkole zawodowej stała się główną księgową w niewielkiej firmie. Skończyła technikum ekonomiczne i zaocznie zrobiła studia licencjackie. Pracowała, wychowywała mnie i nie miała nigdy na nic czasu. Tata podobnie. Szkoła zawodowa, potem technikum samochodowe. Studiów nie skończył. Prowadził warsztat samochodowy i był zdania, że nawet matura do niczego mu się nie przydała.

– Najważniejsze to być dobrym człowiekiem – mówił. – Nieważne, czy jesteś lekarzem czy sprzątaczką. Trzeba iść przez życie uczciwie, nie robić nikomu krzywdy.

Oboje podążali przez wspólne życie, kierując się zasadami moralnymi i dużo pracując, by zapewnić rodzinie wszystko, czego według nich rodzina potrzebowała. Mama była często zmęczona. Po pracy zasypiała na kanapie, przykrywałam ją wtedy kocem, by wypoczęła. Tata pracował jeszcze więcej. Prawie wcale go nie było w domu. Jego warsztat cieszył się bardzo dobrą renomą i przyjeżdżało do niego całe Trójmiasto.

Moja polonistyka była dla nich tematem zupełnie oderwanym od rzeczywistości. Po kilku latach studiów dla mnie też. Bo kim mogłam zostać? W zasadzie tylko nauczycielką. W klasie maturalnej nie miałam chyba pomysłu na siebie. I za bardzo nie miał mi kto podsunąć tych pomysłów. Pablo, z którym już wtedy się spotykałam, szedł na prawo. Był pewien, że będzie prokuratorem albo adwokatem. Chyba zdawał egzaminy z historii, z wiedzy o społeczeństwie i jeszcze z czegoś. Teraz nie pamiętam, tyle czasu już upłynęło. W każdym razie uczył się na okrągło.

– Jeżeli mnie rzucisz przed maturą, zawałę wszystko – powiedział, spoglądając na mnie znad książki o historii współczesnej.

– Nie rzucę, no co ty! – powiedziałam oburzona.

– Tak myślę. Tylko mówię, że jakby co... Powstrzymaj się do wakacji. Okej?

Roześmiałam się wtedy. Rozstanie z nim było bardzo abstrakcyjne. Niemożliwe wręcz.

– Nie wiem, co by musiało się stać, bym cię rzuciła, głuptasie.

– Uspokoilaś mnie. Wracam zatem do zamieszek sierpniowych.

– Wracaj. Ja czytam dalej *Granice* Nałkowskiej.

– To sobie nie pogadamy. – Wzruszył ramionami.

– Nie tym razem. – Roześmiałam się.

Leżeliśmy na tapczanie w moim pokoju obłożeni książkami. Gdy moi rodzice nagle wchodzili do pokoju, zrywaliśmy się z miejsca, jakbyśmy robili coś bardzo złego. W maturalnej klasie byłam bardzo grzeczna. Nie wyszliśmy poza przytulanie i pocałunki. Paweł rozsądnie stwierdził, że za bardzo by go to rozpraszało w przygotowaniach do matury. Nie był to właściwy czas. Chcieliśmy, by ten nasz wspólny pierwszy raz był wyjątkowy. I taki był. Ale o tym później.

Rozstaliśmy się dopiero kilka lat później. Na trzecim roku. On wyjechał na stypendium zagraniczne, a ja zostałam w Polsce. Tuż przed jego wyjazdem podjęliśmy tę trudną dla nas decyzję. Teraz jestem przekonana, że ta decyzja była ścisłym następstwem zdarzeń, które miały miejsce rok wcześniej.

Prawo dla Pawła było wszystkim. Oczywiście on twierdził, że to ja byłam wszystkim, ale i tak wydawało mi się, że jestem na przegranej pozycji. Pierwszy raz widziałam, by ktoś dla przyjemności czytał kodeks karny. Prosił, bym wymyślała najrozmaitsze wykroczenia i przestępstwa, a on z lubością podkładał pod to odpowiednie paragrafy i, niczym sprawiedliwy sędzia, wymierzał kary.

Na początku drugiego roku przyszedł do mnie i przyniósł mi odbitą na ksero ulotkę.

– Zobacz – powiedział z błyskiem w oczach.

– Co to? – zapytałam.

– Przeczytaj.

Rozłożyłam złożoną kartkę i zaczęłam czytać:

Zapraszamy do składania wniosków w konkursie o wyjazdy studentów na uczelnie zagraniczne w ramach programu Erasmus w bieżącym roku akademickim. Na studentów WPiA UG czekają 23 partnerskie uniwersytety w 12 państwach. Szczegóły konkursu w dziekanacie.

O wyjazd na studia zagraniczne w ramach programu Erasmus może ubiegać się student WPiA UG co najmniej II roku studiów I stopnia, który spełnia następujące warunki:

1) wyróżnia się dobrymi wynikami w nauce, przy czym średnia ocen z dotychczasowego okresu studiów na dzień zgłoszenia kandydatury do udziału w programie Erasmus wynosi co najmniej 3,75 (trzy i siedemdziesiąt pięć setnych);

2) posiada udokumentowaną, dobrą znajomość języka obcego, będącego językiem wykładowym programu studiów zagranicznych na uczelni, o wyjazd do której się ubiega.

– Co to jest? – zapytałam niepewnie. – Chcesz jechać na stypendium?

– Myślałem o tym – potwierdził.

– Na jak długo? – Przełknęłam ślinę.

– Na pół roku. Jak się uda to na rok.

– Na rok? – powtórzyłam. Moje serce właśnie zostało rozdarte na pół. – A co z nami?

– Może też byś mogła pojechać? – zapytał.

– Niby jak sobie wyobrażasz stypendium zagraniczne na filologii polskiej? – powiedziałam zdenerwowana. Wiedziałam, że powinnam go wspierać, powinnam zachęcać do rozwoju, cieszyć się, że los przed nim otwiera drzwi prowadzące do nowych możliwości, ale ja naprawdę nie umiałam. I z tego powodu również czułam się źle. – Kiedy? – zapytałam.

– Jak się uda to od września.

– Pół roku. – Westchnęłam.

Pokiwał głową.

– Bardzo mi na tym zależy. – Pogłaskał mnie. – Będziesz czekała?

– Jestem wściekła – przyznałam. – Wściekła na ciebie, że jedziesz, wkurzona do granic możliwości na siebie, że nie potrafię się cieszyć, że masz przed sobą życiową szansę. – Pokręciłam głową. – Naprawdę chciałabym się cieszyć, ale nie mogę. Nie umiem. Nawet przez chwilę pomyślałam, że jest szansa, że się nie dostaniesz, ale przecież nie mogę tak myśleć!

Byłam wtedy rozerwana pomiędzy dwoma sprzecznymi uczuciami.

– Wiesz co... Chyba muszę zostać chwilę sama.

– Rozumiem – powiedział i zaczął zbierać swoje rzeczy. Spakował je, pocałował mnie na pożegnanie i po prostu wyszedł. Nie odprowadziłam go nawet do drzwi.

Chyba wtedy po raz pierwszy w życiu przekonałam się, iż mężczyźni naprawdę mają

mniej skomplikowaną konstrukcją. Ja tak naprawdę nie chciałam być sama. Chciałam, by on ze mną został, przytulał mnie i przekonywał, że wszystko będzie dobrze. To dlatego mu wysłałam tak jasny komunikat: „chcę być sama”? I jakim prawem miałam jeszcze pretensje, że tak szybko przyjął to do wiadomości i sobie poszedł? Dzisiaj to rozumiem. Wtedy wcale. Dzisiaj wiem, że mnie kochał i po prostu chciał zrobić wszystko, bym poczuła się dobrze. „Chcę być sama” w języku mężczyzn znaczy po prostu „Chcę być sama”. Dziwne, że w języku kobiet może znaczyć zupełnie coś innego. Wtedy było rozpaczliwą prośbą „Nie odchodź”.

Nie miałam prawa jednak od niego wymagać, by rozumiał język kobiet w stopniu zaawansowanym. Wydawałoby się, że w takiej konwersacji wystarczy stopień komunikatywny. Najwyraźniej tak nie było. Paweł wyszedł i nie odzywał się do mnie chyba dwa dni. Przedtem spotykaliśmy się niemalże codziennie i codziennie do siebie po kilka razy dzwoniliśmy. Teraz cisza. Ja myślałam, że to koniec, a on sam nie wiedział, co ma myśleć. Przecież chciałam być sama. A przynajmniej tak mówiłam.

– Kochasz mnie jeszcze? – zadzwoniłam w końcu do niego.

– Jasne, że cię Kocham! – potwierdził. – Tęskniłem. Bardzo tęskniłem.

Przyjechał do mnie i na moim wąskim tapczanie, przykrytym kocem w czerwoną kratkę udowadniał mi, jak bardzo mnie kocha.

Tydzień później miał rozmowę kwalifikacyjną na stypendium. Nie byłby sobą, gdyby mu nie poszło znakomicie.

Miesiąc później przeczytałam na tablicy ogłoszeń przy jego dziekanacie, że Paweł Szadziński zakwalifikował się do programu i pojedzie na uniwersytet do Heidelbergu. Stałam pod tą tablicą i nie wiedziałam: śmiać się, czy płakać. Bardziej chciało mi się wrzeszczeć. Gdybym miała chłopaka pracującego z moim ojcem w warsztacie samochodowym z pewnością byłby zawsze na wyciągnięcie ręki i nie musiałabym się z nim rozstawać na cały rok.

Zobaczyłam w oddali Pawła. Uśmiechnął się na mój widok i pomachał do mnie. Zamienił kilka słów z kolegą i szybko poszedł w moim kierunku.

– Gratulacje – powiedziałam, siląc się na uśmiech.

– Bo? – zapytał.

Wskazałam na tablicę ogłoszeń. Nie było mi do śmiechu.

– O kurcze! – przeczytał zaskoczony.

– O kurcze – powtórzyłam.

Przytulił mnie mocno, a ja po prostu zaczęłam płakać. Wydawało mi się, że świat mi się wali. Nie wyobrażałam sobie tygodnia bez Pawła, a co dopiero kilku miesięcy. Wiedziałam, że nie będziemy się widywać, bo skąd pieniądze na bilety? Skąd kasa na drogie rozmowy telefoniczne? Wtedy nie było Facebooka ani rozmów przez Skype. To wszystko wydawało mi się tak trudne. Dziś myślę, że moja reakcja była przesadzona, ale cóż, każdy wiek rządzi się własnymi prawami.

– Od października?

– Najwyraźniej. Poczekaj tutaj, wejdę i zapytam.

Usiadłam pod dziekanatem i zza niedomkniętych drzwi słyszałam pełny ekscytacji głos mojego chłopaka i radosny śmiech pani z dziekanatu.

Gratulacje, gratulacje, gratulacje.

Paweł żył tym wyjazdem. Intensywnie uczył się niemieckiego, non stop oglądał ZDF i RTL. Natomiast ja, gdy tylko słyszałam twarde brzmienie tego języka, zamierałam.

Trzy tygodnie później w studenckiej toalecie, tuż po pierwszym wykładzie, zwymiotowałam kanapkę z jajkiem, którą do tej pory jadłam niemalże codziennie.

– Źle się czuję – powiedziała Pawłowi, gdy przyszedł do mnie. – Muszę się położyć.

Zasnęłam, a on w słuchawkach na uszach siedział obok mnie i mnie głaskał.

– Czymś dziwnym pachniesz – mruknęłam.

– Tym, co zawsze – powiedział.

– Jakoś dziwnie – stwierdziłam i zasnęłam.

Byłam młoda i moje samopoczucie nie wzbudziło we mnie podejrzeń. Paweł też uważał, że jestem osłabiona albo przeziębiona.

Było jednak inaczej.

Spóźniał mi się okres. Piersi były wrażliwe, bolały nawet, gdy delikatnie muskała je bluzka.

– Paweł... Ja chyba jestem w ciąży... – powiedziałam.

– Ale... Jak to? – Przestraszył się. – Przecież to niemożliwe!

– Muszę sprawdzić.

Teraz poszłabym po prostu do apteki i kupiła test ciążowy. Czy wtedy były już testy ciążowe? Nie wiem. Nie miałam się nawet o to kogo zapytać. O naszych podejrzaniach wiedzieliśmy tylko Paweł i ja. Przecież byliśmy dla siebie całym światem.

W marcowy poranek w laboratorium pobrano mi krew. Następnego dnia trzymałam w rękę zamkniętą kopertę z wynikiem.

– Boję się otworzyć – powiedziałam. Miałam dwadzieścia lat i naprawdę bałam się świata.

– Chodź nad morze.

Pojechaliśmy tramwajem do Jelitkowa, usiedliśmy na jeszcze zimnym piasku. Trzymałam kopertę w dłoni.

– A co będzie, jeżeli się okaże, że tak? – Nawet bałam się nazwać rzecz po imieniu. Paweł nie odpowiedział. – Otworzysz i przeczytasz pierwszy?

Pokiwał głową. Rozerwał kopertę ze stoickim spokojem. Przeczytał wynik i spojrzał na mnie. Już wiedziałam wszystko.

– Pozytywny – wyjąkał.

Przytuleni siedzieliśmy na plaży. Kompletnie nie wiedziałam, co mam robić. Wtedy po raz pierwszy, odkąd spotykałam się z Pawłem, poczułam się kompletnie osamotniona.

Nie wiem, ile dni upłynęło, chyba wymazałam to wszystko z mojej pamięci. Chciałam wymazać. Nie potrafię teraz powiedzieć, czy minął tydzień, czy dwa dni. Nie pamiętam, czy myślałam o ciąży, czy nie. Typowy mechanizm wyparcia. W każdym razie przyszedł do mnie Paweł. Wyciągnął mnie na spacer i ze stoickim spokojem powiedział, że chciał się

ze mną pożegnać.

– Pożegnać? – zapytałam.

– Dasz sobie radę – powiedział.

– Dam sobie radę? – zapytałam, w ogóle nie poznając uśmiechającego się pobłażliwie Pawła. Miał wyraz twarzy szaleńca, który knuje coś bardzo niebezpiecznego.

– Nie mogę sobie z tym wszystkim poradzić. Nie mogę. – Łzy zaczęły mu kapać z oczu i spływać po policzkach.

– Zostawiasz mnie? – Wydawało mi się to niewiarygodne.

– Nie zostawiam ciebie, Zuza. Zostawiam wszystko.

– Jak to zostawiasz wszystko? – Powoli docierało do mnie, co on chce przez to powiedzieć. Zaczynałam go rozumieć. Jego świat się walił, marzenia, ideały, on po prostu nie chciał dłużej mieć z tym światem do czynienia!

– Pablo! – krzyknęłam. – Czy ty chcesz sobie coś zrobić?

– Kocham cię – powiedział z tym swoim okropnym uśmiechem.

Wtedy po raz pierwszy i jedyny w moim życiu uderzyłam mężczyznę w twarz. Chciałam go obudzić z tego przekłętego amoku samozniszczenia.

– Paweł. – Podjęłam decyzję. – Jakoś to załatwimy.

Wiem, że ciężko zrozumieć, ale potraktowałam to jak kolejną pracę do zaliczenia na studiach. Kolejny projekt do oddania w bardzo ściśle określonym terminie. Wróciłam do domu, otworzyłam książkę telefoniczną.

G. Ginekologzy.

Pierwszy telefon był najtrudniejszy. Potem było już dużo łatwiej.

– Dzień dobry. Jestem w ciąży. I... Nie mogę być teraz w ciąży. Czy mógłby mi pan pomóc?

Nie wiem, dlaczego wybierałam samych mężczyzn. Pierwszy grzecznie odpowiedział, że nie może. Drugi mnie wyzwał od najgorszych. Trzeci się rozłączył.

– Myślę, że mogę pani pomóc – powiedział któryś z kolei. Nawet nie wiem, czy był dwudziesty, czy siedemdziesiąty piąty.

Podał adres. Gabinet był w Redzie, tuż za Gdynią. Nawet nie pamiętam, ile to wtedy kosztowało. Zapisałam adres i autentycznie poczułam ulgę. Nie zastanawiałam się, czy chcę dziecka, czy nie. Najważniejsze dla mnie wtedy było to, że Paweł nic złego sobie nie zrobi, bo tymi kilkoma telefonami rozwiązałam największy problem jego życia. Albo wszystko wskazywało na to, że ten problem zostanie rozwiązany.

Tydzień później jechaliśmy samochodem jego ojca do Redy. Pablo skłamał, że ma przewieźć jakieś kartony znajomemu i ojciec pożyczył mu samochód. Pieniądze pożyczył od starszego brata. Niby wpisowe na stypendium, na które ma jechać. Brat nie wnikał. Słuszny cel. Nawet go popierał.

Bardzo mało pamiętam z tego okresu. Udawałam, że nic się nie zmieniło. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że mogłabym mieć dziecko. Myślałam szaleńczo tylko o Pawle, dzwoniąc do niego co chwilę i kontrolując, czy wszystko u niego w porządku. Czy na pewno nie zakończył swojego życia w jakiś durny sposób.

Gabinet nie był starą, brudną rudera, jak często przedstawiało się to w mediach. Znajdował się w małym białym domku z ogrodem na granicy Rumii i Redy. Kwitły tulipany w intensywnym żółtym kolorze. Nigdy później nie kupiłam do domu żółtych tulipanów. Nie specjalnie, ale może podświadomie?

Lekarz zbadał mnie, powiedział, że mam się zjawić kilka dni później, dał wydrukowaną karteczkę z instrukcją, jak się przygotować do zabiegu ginekologicznego.

Ogolić się, nie jeść i takie tam...

Nikt mnie nie pytał, czy jestem pewna swojej decyzji. Ja byłam przeświadczona o jedynym słusznym wyjściu z tej sytuacji. Nie brałam w ogóle innych możliwości pod uwagę. Jedynie być albo nie być. Dla mnie, ale przede wszystkim dla Pawła.

Już kilka dobrych lat później przeczytałam *Dużą książkę o aborcji* Szczuki i Bratkowskiej. Do tej pory ciężko wymówić mi to słowo na „A”. Nie umiem, nie chcę. Tam było napisanych wiele mądrych rzeczy. Nieoceniających, nienegujących, niepowodujących, że pierwszą myślą, jaka pojawiała się po przebudzeniu, była myśl, że najlepiej wspiąć się na dziesiąte piętro najbliższego wieżowca i rzucić prosto w dół.

Potrzebujesz kogoś, kto pomoże Ci w spokoju przemyśleć różne scenariusze Twojego życia. Kogoś, komu naprawdę ufasz.

Wtedy ufałam wyłącznie Pawłowi. Ale nie pomógł mi przemyśleć w spokoju scenariuszy mojego życia. No, może scenariusze były dwa.

Nie usunę natychmiast, on się wypisuje z tego świata.

Usunę, to uśmiechnie się niczym nakarmione i zadowolone z siebie dziecko i będziemy żyli długo i szczęśliwie.

Dla mnie scenariusz był jeden. Zachowałam się jak miliony kobiet, które z miłości robią wiele. A nawet wszystko. Sama chyba zaczynam sobie zazdrościć takiej miłości. Nie mogę powiedzieć, że to było poświęcenie. Nie. Dla mnie po prostu było oczywiste, że powinnam tak postąpić ze względu na Pawła i innego scenariusza w ogóle nie rozważałam.

Paweł zwiął po prostu do swojego domu na pyszny obiadek do mamusi, zostawiając mnie samą z moim problemem, z jego problemem. Bo czy ja powinnam pokutować za to, że w tamtym momencie on był takim idiotą i chciał zakończyć swoje życie? Czy nie powinnam powiedzieć mu, żeby się ogarnął, żeby był mężczyzną, bo już koniec zabawy w dorosłość? I że dorosłe życie nie polega na uciekaniu od problemów, tylko na tym, że trzeba stawić im czoła?

Dlaczego nie zwróciłam się do mamy? Wtedy nawet o tym nie pomyślałam. Teraz wiem, że ona pierwsza powinna o tym wiedzieć. Nawet wcześniej niż Paweł.

Może nie chciałam jej zawracać głowy? Nie. Chyba nie. Ja po prostu o niej w ogóle nie pomyślałam w tamtym momencie.

Miesiąc u mojej mamy dzielił się na „przed dwudziestym”, kiedy dopinała wszystkie swoje księgowo sprawy na ostatni guzik i „po dwudziestym”, gdy zmęczona odpoczywała po minionych, bardzo pracowitych dniach. Najwyraźniej ten czas, w którym najbardziej jej potrzebowałam, był w okolicach dwudziestego. Nie mam do niej żalu. Bo skąd miała wiedzieć? Cięża nie jest wypisana na czole.

U nas w domu w ogóle nie rozmawiało się na temat seksu czy ciąży. Gdy dostałam okres, mama wręczyła mi podpaskę i kazała iść się umyć. Żadnego tłumaczenia, uświadamiania. Tak naprawdę zrobiły to koleżanki i Paweł. Jak widać niezupełnie skutecznie.

Kiedy moje córki będą dojrzywać, powiem im, że seks powinno się zacząć uprawiać dopiero w momencie, gdy sobie wyobrażą sytuację, że zachodzą w ciążę i wiedzą, co zrobić. Gdy potencjalna ciąża nie powoduje, że chcą sobie na szyi zawiązać linę i podwiesić ją pod sufitem oraz kopnąć krzesło, na którym stoją.

Pablo był niedojrzałym gówniarzem. Dotarło to do mnie dopiero w momencie, gdy przeczytałam tę książkę.

Wtedy, te kilka dni później, gdy poszłam drugi raz do gabinetu ginekologa, usiadłam na fotel i poczułam małe ukłucie w żyłę. Potem się obudziłam, zobaczyłam przed sobą spokojną twarz lekarza, który mówił mi, że wszystko w porządku. Byłam bardzo wdzięczna, że on mi pomógł.

Teraz myślę, że uratował jedno życie kosztem drugiego.

Czy żałuję? Nie wiem. Jeszcze do niedawna w ogóle o tym nie myślałam. Nie dopuszczałam do siebie tego, co wtedy się zdarzyło. Wyparłam to z siebie.

Wyszłam z gabinetu bez słowa. Za bramą ogrodu czekał Pablo. I wszędzie te żółte tulipany. Nienawidzę żółtych tulipanów.

Przytuliłam się do niego. Całą drogę z Redy do Gdańska przejechaliśmy w ciszy. Trzymałam dłoń na jego dłoni, gdy zmieniał biegi. W ciszy wróciliśmy do domu, położyłam się na tapczanie, przykryłam kocem w czerwoną kratkę, tym samym, który był świadkiem naszej namiętności. Spałam dwie godziny. Obudziłam się na dźwięk budzika. Paweł spojrzał na mnie zaskoczony znad książki.

– Korepetycje – powiedziałam. Od początku studiów dorabiałam korepetycjami. Przygotowywałam ósmoklasistów do egzaminów wstępnych i maturzystów do matury.

– Nie odwołałaś?

– Nie. Przecież musimy oddać kasę twojemu bratu – powiedziałam.

Teraz mam wrażenie, że zachowywałam się jak wyprany z jakichkolwiek emocji robot. Włączył mi się tryb zadaniowy. Pracowałam jak szalona. Paweł próbował też zdobyć pieniądze, ale mu to gorzej wychodziło.

Teraz sobie myślę, że byłam w tym wszystkim bardzo samotna. Sama sobie to wszystko załatwiłam, sama na to zarobiłam swoją ciężką pracą. Pewnie sama bym się też tam zawiozła i wróciła, ale niestety nie miałam prawa jazdy, a kolejką się obawiałam jechać.

Nie mogę nikogo za to winić. Czy winię siebie? Nie. Po prostu tak było. Ta historia nauczyła mnie, że nigdy, przenigdy nie należy nikogo osądzać. Że sytuacja, z której my znajdujemy wyjście, może dla kogoś być sytuacją podbramkową i niemożliwą do pokonania. Każdy medal ma dwie strony. Z zewnątrz nie widać każdej ze stron. Gdy medal trzymamy blisko siebie, w dłoni, dokładnie możemy obejrzeć za i przeciw. Wtedy nie widziałam żadnego „za”. Czy dzisiaj widzę? Może to dziwne, ale dzisiaj również przekonana jestem o tym, że to było jedyne możliwe wyjście z tamtej sytuacji. Czuję się

winna tylko temu, że ta decyzja była w zasadzie podjęta wyłącznie przeze mnie. Pablo mnie do niczego nie namawiał. Nie prosił, nie groził. On po prostu powiedział, że chce odejść z tego świata. A ja? Szaleńczo go kochałam i nie mogłam na to pozwolić.

Teraz sobie myślę, że jednak to, co się stało miało wpływ na to, kim jestem dzisiaj. Jaka jestem matką, jaką byłam żoną.

Czy jestem dobrym człowiekiem?

Staram się. Staram się być ze wszystkimi w zgodzie. Zawsze tak było. Dlatego po tym wszystkim chciałam być w zgodzie z Panem Bogiem również.

Nie byłam nigdy specjalnie religijna. Moja rodzina również nie. Mama Pawła chodziła do kościoła co niedzielę, ale on był wojującym ateistą. Wielokrotnie kłóciliśmy się. Ja mu mówiłam, że Bóg istnieje, a on starał się zaprzeczać moim tezom. Po wielu godzinach kłótni doszliśmy do wniosku, że chodzi nam zupełnie o to samo. Wierzyliśmy w siłę wyższą, która czuwa nad wszechświatem, tylko ja nazywałam tę siłę Bogiem, a on nie. Doszliśmy do wniosku, że w zasadzie w każdej religii chodzi o to samo. Jest ktoś, kto stworzył ten cały ziemski bałagan i teraz próbuje nad nim mieć kontrolę. Z różnym skutkiem.

Z różnym skutkiem, bo dał nam wolną wolę. I z tą wolną wolą robimy dokładnie to, na co mamy ochotę. Albo to, do czego jesteśmy, albo wydaje nam się, że jesteśmy zmuszani.

Robimy błędy, podejmujemy różnorakie decyzje z pełną świadomością konsekwencji.

Kilka dni po zabiegu uznałam zatem, że muszę być w porządku z Panem Bogiem.

– Chcę iść do spowiedzi – powiedziałam. – Zawieszysz mnie?

Spojrzał na mnie zaskoczony. Jednak wtedy zrobiłby wszystko, czego bym od niego oczekiwała. Gdybym chciała, poszedłby nawet do tej spowiedzi. Nie chciałam. Ja czułam taką potrzebę. Musiałam wiedzieć, że skoro nie poukładałam sobie życia tutaj na ziemi, to o życie po śmierci jeszcze mogę zadbać.

Pamiętam jak przez mgłę ten ciemny kościół i konfesjonał, w którym ksiądz bez twarzy słuchał, jak mi się życie poplątało. Czy już kiedyś wcześniej to słyszał?

Nie wiedziałam.

Ekskomunika.

Na rok.

Wykluczenie ze wspólnoty kościoła.

Ja, zawsze grzeczna córeczka, bardzo dobra uczennica, świetna studentka. I chyba w gruncie rzeczy dobry człowiek.

Brzmiało to strasznie. Pamiętam, że przez rok po tamtej spowiedzi szaleńczo bałam się, że umrze ktoś z mojej bliskiej rodziny albo ktoś z dalszej poprosi mnie bym była chrzestną, świadkiem czy kimkolwiek, gdzie jest wymagane aktywne uczestnictwo w kościele. Popełniłam błąd i musiałam za te błędy płacić.

Po roku poszłam znowu do spowiedzi.

Poczułam niewysłowioną ulgę. I już. Po wszystkim.

Znowu byłam w porządku ze światem. Ale wtedy już Pawła nie było obok mnie. Byłam sama i miałam wyzerowany licznik. I na ziemi i przed Bogiem również.

Temat uznałam za zamknięty. Nie wracałam do niego nigdy potem. Zresztą obiecaliśmy sobie z Pawłem, że do niego nie wrócimy. Wymazaliśmy go z naszej pamięci bardzo skutecznie. Żadnych śladów. A przynajmniej tak nam się wydawało do czasu, gdy spotkałam Martę.

Marta postawiła Agnieszkę na nogi. Postanowiłam wtedy też spróbować. Poszłam na wizytę i usłyszałam to straszne pytanie.



– Dlaczego tak siebie ranisz? Czy ty kogoś zabiłaś?

ROZDZIAŁ 12

SŁOWO NA „A”

Z Martą rozmawiałam wiele razy. Dużo też czytałam na ten temat. Wciąż boję się nazywać to „słowem na a”. Unikam tego słowa.

Psychiatrzy nie są zgodni, czy gorsze następstwa mogą mieć ewentualne negatywne skutki psychiczne wynikające z niechcianej lub nieuświadomionej ciąży, czy też skutki jej przerwania. Zdaniem niektórych syndrom poaborcyjny jest tylko chwytem propagandowym lub efektem wmawiania w kobiety poczucia winy za dokonaną aborcję.

Umiem już o tym rozmawiać. Oczywiście nie z każdym. Nie będę manifestowała i afiszowała się tym, co zrobiłam. To jest moja prywatna sprawa. W tamtym czasie tak zadecydowałam. Nie mogę rozpatrywać tego w kategorii żałuję czy nie żałuję. Uważam, że każda kobieta powinna mieć prawo o sobie decydować. Nigdy nie wiemy, co nią powoduje, że podejmuje takie czy inne decyzje. Na zewnątrz może świecić słońce, a w środku panować nieokiełznany chaos. I bardzo, bardzo smutne jest to, że często tkwi sama w tym chaosie.

Ja nauczyłam się żyć z moim chaosem.

Podobno bardzo duży wpływ na psychikę i działania człowieka ma rodzina, z której się wywodzi. Rodzice, rodzeństwo, dziadkowie i nawet dzieci, które nie przyszły na świat wskutek aborcji i poronień. Ja i Paweł zawsze będziemy w to uwikłani. Według Hellingera na nasze klęski w związkach partnerskich szczególnie negatywnie wpływa fakt wykluczenia, odrzucenia kogoś z rodziny. Ja tak wyparłam tamte zdarzenia sprzed prawie dwudziestu lat.

Marta mi tłumaczyła, że jeśli się kogoś odrzuci, to w systemie tworzonym przez rodzinę pojawia się puste miejsce. Zaburzony zostaje pewnego rodzaju porządek. Żeby go przywrócić, trzeba zaakceptować to, co się stało.

Wydaje mi się, iż zaakceptowałam.

Rozmowy z Martą uświadomiły mi, że bardzo kocham mojego męża. Uświadomiły mi również, że może być już za późno.

Jak los płata dziwne figle.

Myślałam, że mój mąż jest zwykłym, nudnym mężczyzną, czasem siedzącym przed telewizorem i zaśmiewającym się przy durnym serialu, że nie ma inicjatywy, że zbyt dużo marudzi. Że nie wnosi po tylu latach nic do mojego życia. Gdy wspominałam Pawła, to oprócz szaleństwa i romantyzmu czułam się pewnie, stabilnie i bezpiecznie.

Przecież to jest jedna wielka bzdura.

Teraz kompletnie siebie nie rozumiem. Nie rozumiem swoich snów o Pawle, nie

rozumiem tęsknoty za nim. Jak on mógł kojarzyć mi się z bezpieczeństwem, stabilnością oraz spokojem? Facet, który zostawił mnie w jednym z najtrudniejszych momentów mojego życia. Wrócił do domu z mocnym postanowieniem, że się wypisuje z tego świata, że zwiewa bez żadnych konsekwencji. Zamyka za sobą drzwi, głośno trzaskając, bym na pewno usłyszała i nic poza tym go nie obchodzi. Ani ja, ani jego dziecko, ani brat, matka, ojciec. Nic go nie obchodzi! Tylko on jest ważny. On jest w centrum wydarzeń. Egocentryk! Chce zakończyć to wszystko, będąc na środku sceny, tak by wszyscy o nim i tylko o nim jeszcze długo, długo mówili.

Owszem, może i przytulił mnie wtedy, może nawet się ze mną popłakał. Ale zdecydowanie nie stanął na wysokości zadania. Zachował się jak rasowy polityk. Pełen obietnic, których wcale nie miał zamiaru zrealizować.

Dopiero teraz zrozumiałam, jak stabilnie było z Wojtkiem. Może mniej romantycznie, ale za każdym razem, gdy działo się cokolwiek złego, albo gdy potrzebowałam jego pomocy – był. Stał przy mnie niczym skała. I bronił zawsze swojej rodziny jak lew.

Czy skały są z natury romantyczne? Nie. Są zimne. Ale lepiej w czasie ulewy czy niebezpieczeństwa schronić się w jaskini niż na łące pełnej pachnących kwiatów.

Są zimne i twarde, ale o to, by było mi ciepło i miękko jestem w stanie sama zadbać.

Mój mąż był fundamentem mojego życia. Twardym, nie do ruszenia. Zimnymi ścianami? Może trochę. Ale nie każdy potrafi te ściany tak dobrze zbudować. Czasem dostajesz zaproszenie do szałasów zrobionych z ukwieconych gałęzi. Jest cudnie, pięknie pierwszej nocy, kolejnej, a przy pierwszym deszczu wszystko spływa. Zostajesz sama ze zwiędniętym kwiatem we włosach.

Fundamenty postawione przez Wojtka mogły służyć długie lata. Może mogą jeszcze służyć dalej?

Sama wypchnęłam go z tych ścian, które razem budowaliśmy. Mam nadzieję, że jeszcze nie jest za późno. Mam nadzieję, że wróci. Że nie zaczął budować sobie kolejnych fundamentów nowego życia.

Moje czterdzieste urodziny miałam spędzać zupełnie inaczej. Miałam bawić się, cieszyć. Myślałam, że wokół będzie wielu przyjaciół, którzy stoją za mną murem. Tak naprawdę największym przyjacielem był zawsze Wojtek. Nie było go teraz przy mnie. Siedziałam sama z kieliszkiem w dłoni i miałam zamiar napisać dwa najważniejsze listy w moim życiu. Oba do ojców moich dzieci.

Do Pawła, który nie dorósł do roli ojca i do Wojtka, który był najlepszym ojcem na świecie.

Do Wojtka list na pewno wyślę. Czy wyślę go do Pawła? Nie wiem. Najważniejsze, że uporałam się z demonami przeszłości. Zaakceptowałam tę przeszłość taką, jaka była. W wieku czterdziestu lat pokochałam siebie. Taką zwykłą, nieidealną.

Któregoś dnia znowu czytałam córkom mity greckie. Potem zaczęłam czytać je sama. Ile tam życiowej prawdy. Bo czy wędrówka Odyseusza nie była doskonałym studium życia ludzkiego?

Odyseusz mąż i ojciec, najpierw wojownik, zwycięzca spod Troi. Chciał wrócić do domu,

do bezpiecznej przystani, jednak porty, do jakich zawijał kusily go swoimi urokami i skutecznie odcigały od domu rodzinnego. Walczył ze światem zewnętrznym, ale też z własnymi słabościami. W końcu wrócił...

My nieustajaco walczymy ze słabościami. Gdy jesteŃmy bardzo młodzi, chcemy zdobywać świat. Czasem naiwnie wierząc, że uda się to nam bez żadnych wyrzeczeń. Gdy jesteŃmy nieco starsi, potrafimy juŹ zdiagnozować przeszkody. Od nas i od naszych bliskich zależy, czy te przeszkody będziemy w stanie pokonać.

To był bardzo trudny rok. Pełen zwrotów akcji dla mnie i dla moich przyjaciółek. Gdy spotykałyŃmy się dwadzieścia lat po maturze, żadna z nas nie przypuszczała, jak jej życie przez ten rok się zmieni. Każda miała poukładany swój własny świat, w którym siedziała cicho, bardziej lub mniej szczęśliwa.

Historia Iwony nauczyła mnie, że zawsze jest nadzieja na spełnienie marzeń, że miłości tak naprawdę nie obchodzi data urodzenia, a tę też można obejść. I nauczyła nas, że na miłość nigdy nie jest za późno.

Monika pokazała mi, że coŃ, co wydaje się największą tragedią moŹe obrócić się w wielkie szczęście. Jeżeli masz przy sobie kogoŃ, komu moŹesz zaufać, zawsze znajdziesz rozwiązanie.

Historia Agnieszki jeszcze czeka na swój happy end. MoŹe Agnieszka nas też czymŃ zaskoczy?

A ja?

DziŃ wiem i widzę juŹ nieco więcej. Nauczyłam się patrzeć, ale umiem też przymykać oczy. Ze strachu, że popełnię błąd.

Jestem taka jak inne, to wiem na pewno. Matki, żony i kochanki. Kobiety w połowie życia. Mądrzejsze niŹ 20 lat temu, ale za to z bagażem doŃwiadczeń. Pełne głęboko skrywanych tajemnic, o które nikt nas nie podejrzewa.

Czasem tęsknię za czymŃ, czego nie potrafię nazwać, uŃmiecham się do ludzi, chociaŹ w sercu mam bałagan. MoŹe coŃ tracę, zyskujac spokój.

Bardzo dbam, by nie padły słowa, których nie moŹna wymazać.

Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, jak niebezpieczne moŹe być: „CzeŃ, co słychać”.

Od: Zuzanna

Data: 4 sierpnia 2016

Temat: Oczyszczenie

Do: Paweł Szadziński

Zupełnie nie wiem, jak zacząć ten list. Nie zacznę go od „CzeŃ, co słychać”, bo jak wiemy moŹe być to niebezpieczne... Więć zacznę go. Po prostu. Bez żadnych wstępow i dłuŹyzn. Bo jak mam napisać „Kochany Pablo”, „Drogi Pablo”? Nie wiem. Teraz jesteŃ obcym mi mężczyzną, którego znałam bardzo dawno temu...

Mężczyzną, który chyba w niczym nie przypomina tamtego chłopaka, którego tak bardzo kochałam.

Chyba przełom życia to taki czas w życiu każdego człowieka, kiedy zaczynamy się zastanawiać nad wszystkim po kolei. Robimy pewne podsumowanie. Co zrobiliŃmy w życiu dobrego, co złego. Co mogliŃmy zrobić lepiej.

Chyba dlatego też ten list. Takie podsumowanie? A może rozliczenie z przeszłością? Może po prostu potrzebowałam zebrać wszystkie najważniejsze wydarzenia w moim życiu i je sobie po kolei w głowie uporządkować.

Najważniejsze jest tu i teraz. I o to będę dbała.

Ale przeszłość również nauczyłam się akceptować. Z trudem. Nie było łatwo.

Byłeś dla mnie jednym z najważniejszych mężczyzn w moim życiu. To była niesamowita miłość. Ślepa, bezinteresowna, pierwsza i bardzo, bardzo zachłanna. Nie potrzebowaliśmy nikogo i niczego. Wydawałoby się, że potrzebujemy tylko siebie. Zrobiłabym wtedy dla Ciebie wszystko. I tak też robiłam.

Pewnie wiesz, co mam na myśli.

TO też zrobiłam ze względu na Ciebie. Tylko i wyłącznie na Ciebie, bo ja pewnie i tak bym zrobiła to, co byś wtedy postanowił.

Byłeś stanowczy w swojej decyzji. Poblążliwie stanowczy.

Wtedy po raz pierwszy i jedyny uderzyłam Cię w twarz. Pamiętam ten dźwięk. Wiesz, że nigdy potem nie zrobiłam tego żadnemu mężczyźnie?

Chciałam, byś się otrząsnął. Byś zszokowany wreszcie wydorósł. Nadal patrzyłeś na mnie z lekkim uśmiechem i mówiłeś, że chcesz odejść z tego świata.

Nie mogłam na to pozwolić.

Nigdy nawet nie rozmawialiśmy na ten temat. Nie było okazji. Nie pamiętam, może nawet obiecaliśmy sobie nie rozmawiać? Zupełnie nie wiedzieliśmy, co robić, by to nas nie bolało. A może Ciebie nie bolało? Może to było zupełnie obok Ciebie? Może uznałeś, że Ciebie to zupełnie nie dotyczyło?

Ja bardzo szybko z siebie to wyparłam.

Zapomniałam.

Chyba chciałam zapomnieć.

Zupełnie nie pamiętam tamtego czasu. Jak przez mgłę, telefony do lekarzy, umawianie się, słuchanie wyzwisk od tych mniej „tolerancyjnych”. Nie pamiętam zabiegu, nie pamiętam dni przed i po. Wszystko to zlewa mi się w jedną bezkształtną masę.

Nawet nie wiem, ile to trwało. Czy załatwiliśmy to wszystko w ciągu tygodnia, czy dwóch. Teraz to nieistotne.

Czy wiesz, że dopiero po tylu latach doszło do mnie, że Ciebie wtedy ze mną nie było? Owszem, pogłaskałeś, mówiłeś, że wspierasz. Być może nawet twierdziłeś, że kochasz.

Ale nie było Cię przy mnie. Nie pomagałeś mi w działaniu. Byłeś bierny. Długi czas brałam tę winę tylko na siebie.

Tak. Czułam się winna. Teraz już chyba się nie czuję.

Do tej pory nie mogę uwierzyć, że zostawiłeś mnie z tym wszystkim samą... Dlaczego ja to wszystko załatwiałam?

Dlaczego nie Ty siedziałeś na tym cholernym kręconym fotelu w biurze mojego ojca, nie Ty wertowałeś gazety i książki telefoniczne i nie Ty dzwoniłeś do lekarzy z pytaniem, czy mogą nam pomóc?

Dlaczego nie Ty dzwoniłeś pod numery pod hasłem AAAAA Zabiegi dyskretnie?

Dlaczego pozwoliłeś mi się tak upokarzać?

Dlaczego zrzuciłeś na mnie całą odpowiedzialność za to?

Dlaczego nie rozważałeś innych możliwości? Jasne. Zapomniałam. Rozważałeś. Chciałeś wypisać się z tego świata. Najprostsze rozwiązanie dla dorosłego mężczyzny.

Pamiętam ten moment, jak pewien lekarz powiedział mi przez telefon, że może mi pomóc. Umówiłam się z nim. Zaraz potem zadzwoniłam do Ciebie z niebywałą z radością w głosie i z niewysłowioną ulgą. Ulgą, bo wiedziałam już, że jesteś bezpieczny. Że sam siebie nie skrzywdzisz. Ja w tym wszystkim kompletnie nie myślałam o sobie! Ja autentycznie się cieszyłam, że problem zostanie rozwiązany.

Jak teraz o tym myślę, to wydaje mi się niewiarygodne. Jakbym wtedy była marionetką w Twoich rękach. Marionetką, która sama nie umie funkcjonować.

Bo chyba nie potrafiłam.

Najpierw wypierałam to z siebie. Nikomu nie powiedziałam. Potem udało mi się to z siebie wyrzucić. Czy wiesz, że terapeutka wprost zapytała mnie, czy kogoś zabiłam? Czy możesz sobie wyobrazić, co wtedy poczułam?

Płakałam u niej, a ona mnie przytulała.

Właśnie wtedy doszło do mnie, co się stało. Jakby ktoś otworzył nigdy nieotwierane drzwi prowadzące do najdalszych zakamarków mojej pamięci.

Zaakceptowałam naszą przeszłość. Zaakceptowałam to, co się stało.

Postawiłam świeczkę w jej intencji. Bo myślę, że była to ONA. Zapalałam ją kilka dni. Myślałam o niej, o tym wszystkim, co się wtedy w naszym życiu wydarzyło.

Tak, też mi się to wydawało idiotyczne, palić świeczkę dla kogoś, kogo w ogóle nigdy nie było.

Była. Terapeutka powiedziała, że potrzebuję dużo przestrzeni w moim życiu, bo przecież po moim domu biega trójka dzieci!

Jaka trójka, do cholery?

Potem zrozumiałam. Poczytałam. Zaakceptowałam.

Najbardziej chyba przemawia do mnie Hellinger, chociaż nigdy nie uczestniczyłam w ustawieniach.

Wiesz? Nasze dziecko jest w systemie. A my już zawsze będziemy w jakiś sposób ze sobą związani. Czy chcemy, czy nie chcemy.

Teraz jest piąta nad ranem, piszę do Ciebie ten list. Chciałabym wiele Ci powiedzieć, dokładnie opowiedzieć, jak to było. Chociaż po tym wszystkim, jak przerobiłam moje życie sama ze sobą, mam coraz mniejszą ochotę na ten list.

Dzisiaj miałyby ile lat? Osiemnaście, dziewiętnaście?

Pewnie nie bylibyśmy razem.

Chociaż może? Może znaleźlibyśmy szczęście?

Ale po tym wszystkim też nie moglibyśmy być razem. Nasz związek zakończył się w momencie, gdy podjęliśmy tę decyzję. A może powinnam napisać „podjąłeś”? Bo ja za Tobą bym wskoczyła wtedy w ogień. I wskoczyłam.

Ślepo wskoczyłam, na nic nie patrząc i nie bacząc na żadne konsekwencje. Jak zahipnotyzowana.

Terapia uzmysłowiła mi, że to, co się stało, to nie była moja wina. Uświadomiła mi też, że przez dwadzieścia lat wymyśliłam sobie ciebie na nowo. Idealnego, bez wad.

Śniłeś mi się wielokrotnie, a ja za każdym razem budziłam się szczęśliwa, że mi się śniłeś. Wydawałeś mi się najbezpieczniejszą przystanią. I chyba nie dostrzegałam solidnego portu w moim mężu.

Dziękuję Ci za to, że wreszcie dostrzegłam.

Chciałabym, byś wiedział, że Ci przebaczam. Bądź szczęśliwy. Zawsze będę się cieszyła Twoim szczęściem.

Może kiedyś, za kolejne dwadzieścia lat uda nam się spotkać we dwoje. Wyjaśnić sobie pewne sprawy, może nawet razem popłakać...

Nigdy jednak nie napiszę „Cześć, co słychać”. Bo jak wiesz, to bardzo niebezpieczna historia. Poza tym w bufecie życia nie ma dokładek.

Zuzanna

Skończyłam pisać ten list. Płakałam. Tak bardzo chciałam być z Wojtkiem. Mężczyzną, który mnie nigdy nie zawiódł. Przede mną był najtrudniejszy list. List do męża. Tak bardzo chciałam zapytać go, co słychać...

EPILOG

Od: Zuzanna

Data: 04 czerwiec 2016

Temat: Cześć, co słycać?

Do: Wojtek

Cześć, co słycać? Dawno się nie widzieliśmy...

Czasem mijam przez przypadek kogoś, kto pachnie Tobą. Odwracam głowę, chcę chwycić za ramię, by zatrzymać chociaż ten zapach przy sobie. Niestety to nie ty. Zamykam wtedy oczy i chociaż przez chwilę w moich myślach jesteś przy mnie.

Czasem zwykłe codzienne czynności przypominają mi Ciebie. Takie zupełnie niepozorne, takie na które wcześniej wcale nie zwracałam uwagi.

Dawno się nie widzieliśmy. Dawno jest pojęciem względnym. W naszym przypadku, gdy budziliśmy się przy sobie każdego ranka, a teraz nie widzimy się prawie wcale, mogę napisać, że bardzo dawno się nie widzieliśmy. Wieki.

Co u Ciebie słycać?

Może znowu spróbujemy kroczyć tą samą ścieżką? Wyboistą, krętą, przeważnie pod górę, ale razem?

Kocham Cię.

Zuzanna

Wybrałam numer telefonu mojego męża.

– Halo? – Usłyszałam.

– Cześć...

SŁOWO OD ANNY CHOIŃSKIEJ

Wraz z odejściem dziecka umiera fragment Duszy Kobiety.

Ona pamięta. Ona czuje. Ona doskonale wie, co się stało.

Jednak nie zawsze ma siłę stawić temu czoła.

Czasami wręcz musi nauczyć się zapominać.

Z bólu.

Z naznaczenia.

Z braku wsparcia.

Z przekonania, że to jedyna i słuszna decyzja, lepsze zło.

Wyrwa pozostaje.

Jakaś luka w sercu oraz poczucie winy, samotności, żalu, straty, braku godności.

A jeśli to Los? Twój. Wasz, jako Rodziców. Dziecka.

Tu zawsze chodzi o kobietę i mężczyznę.

Oboje czują i wiedzą doskonale.

Tylko ta miłość ma różne oblicza

i każdy z Rodziców dotyka śmierci Dziecka inaczej.

Nigdy lepiej i nigdy gorzej.

Wszystko inne jest tylko oceną i osądem

wykrzykiwanym nad symbolicznym grobem.

Tak, tak było, kochane Dziecko. I to mnie / nas bardzo bolało.

Teraz przyjmuję Cię już do mojego serca jako Twoja Mama.

Teraz przyjmuję Cię już do mojego serca jako Twój Tato.

Możesz nas mieć jako Rodziców.

Dziś już stawiamy temu czoła i otwieramy nasze serce na Ciebie.

Masz swoje miejsce wśród nas. Możesz spać spokojnie.

A my będziemy dziś już żyć spokojnie.

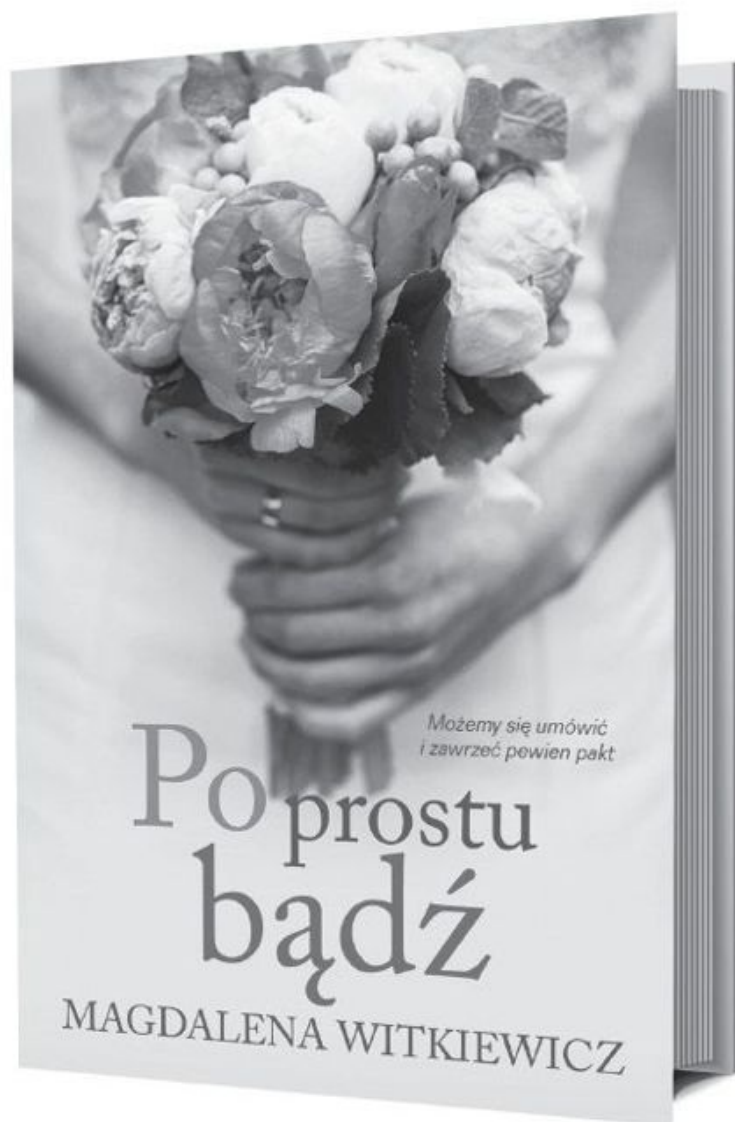
Żeby nic nie poszło na darmo, moje Dziecko.

Ani to, co było moim Losem jako Matki.

Ani to, co było Losem Twojego Taty.

Ani też Twoim, żeby odejść tak szybko.

Najpiękniejsza historia
o miłości



*Możemy się umówić
i zawrzeć pewien pakt*

FILIA

Powieści Magdaleny Witkiewicz:

Awaria małżeńska (wspólnie z Nataszą Sochą)

Po prostu bądź

Moralność pani Piontek

Pierwsza na liście

Szczęście pachnące wanilią

Panny roztropne

Pensjonat marzeń

Szkoła żon

Milaczek

Zamek z piasku

Opowieść niewiernej

**Opowiadania Magdaleny Witkiewicz
znajdą Państwo również w zbiorach:**

Siedem życzeń

Cicha 5

SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

PROLOG

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1. To już dwadzieścia lat

ROZDZIAŁ 2. Skok na bungee

ROZDZIAŁ 3. Rysa na szkle

ROZDZIAŁ 4. Spotkanie po latach

ROZDZIAŁ 5. Kocham Cię i takie tam

ROZDZIAŁ 6. Zawartość zielonego pudełka

ROZDZIAŁ 7. Zza firanki

ROZDZIAŁ 8. Szczęśliwe chwile to motyle

ROZDZIAŁ 9. Cześć, co słyszeć?

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 1. Beżowe szpilki zamiast trampek

ROZDZIAŁ 2. Przed pierwszą randką

ROZDZIAŁ 3. Dzień spania w miejscach publicznych

ROZDZIAŁ 4. Bładoróżowe płatki róż

ROZDZIAŁ 5. Szaleństwo

ROZDZIAŁ 6. Czy inne życie może być dzisiaj wieczorem?

ROZDZIAŁ 7. Przerwa w życiorysie

ROZDZIAŁ 8. Plecaczki z pluszakami

ROZDZIAŁ 9. Ostatni pocałunek

ROZDZIAŁ 10. Tajemnice

ROZDZIAŁ 11. Dlaczego tak siebie ranisz?

ROZDZIAŁ 12. Słowo na „a”

EPILOG

SŁOWO OD ANNY CHOIŃSKIEJ

Reklama

[Powieści Magdaleny Witkiewicz](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © by Magdalena Witkiewicz, 2016
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2016

Projekt okładki: Olga Reszelska
Zdjęcie na okładce: © Nina Masic / Trevillion Images (górze),
© Elly Schuurman- de vries/Arcangel (dół)


Redakcja: Natalia Musiał
Korekta: Kinga Zalejarz
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-117-0

FILIA

Wydawnictwo Filia
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl



*Jestem taka jak inne, to wiem na pewno.
Matki, żony i kochanki. Kobiety w połowie życia...*

MAGDALENA
WITKIEWICZ

Cześć,
co słychać?

